Andrzej Stasiuk

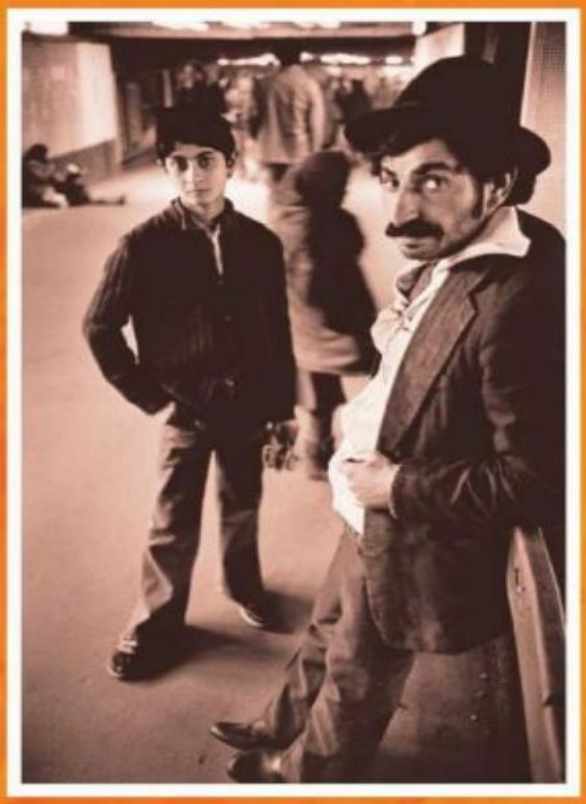

JADĄC DO BABADAG

Andrzej Stasiuk

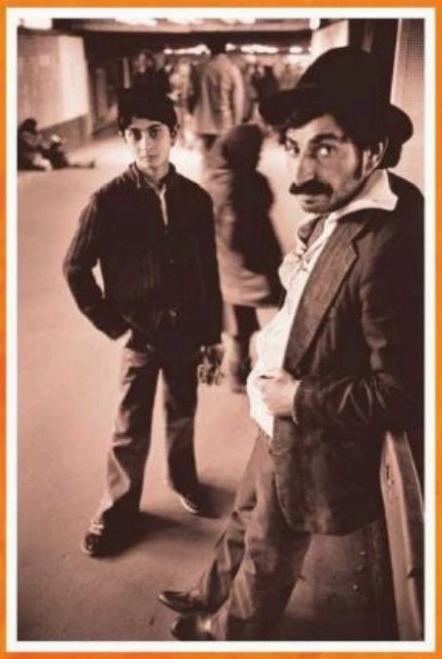

JADĄC DO BABADAG

Andrzej Stasiuk

JADĄC DO BABADAG

Wołowiec 2011

Projekt okładki i stron tytułowych KAMIL TARGOSZ
Zdjęcie na okładce i s. 5 © by WITOLD KRASSOWSKI / EK PICTURES

Zdjęcie Andre Kertesza na s. 207 © by MINISTERE DE LA CULTURE - FRANCE

Zdjęcie na IV stronie okładki © by WOJCIECH PRAŻMOWSKI

Copyright © by ANDRZEJ STASIUK, 2004

Projekt typograficzny i skład ROBERT OLEŚ Redakcja FILIP MODRZEJEWSKI, MONIKA SZNAJDERMAN Korekta AGNIESZKA JURAK, JOANNA MŁODZIŃSKA

ISBN 978-83-7536-301-2 Cena: 20 zł

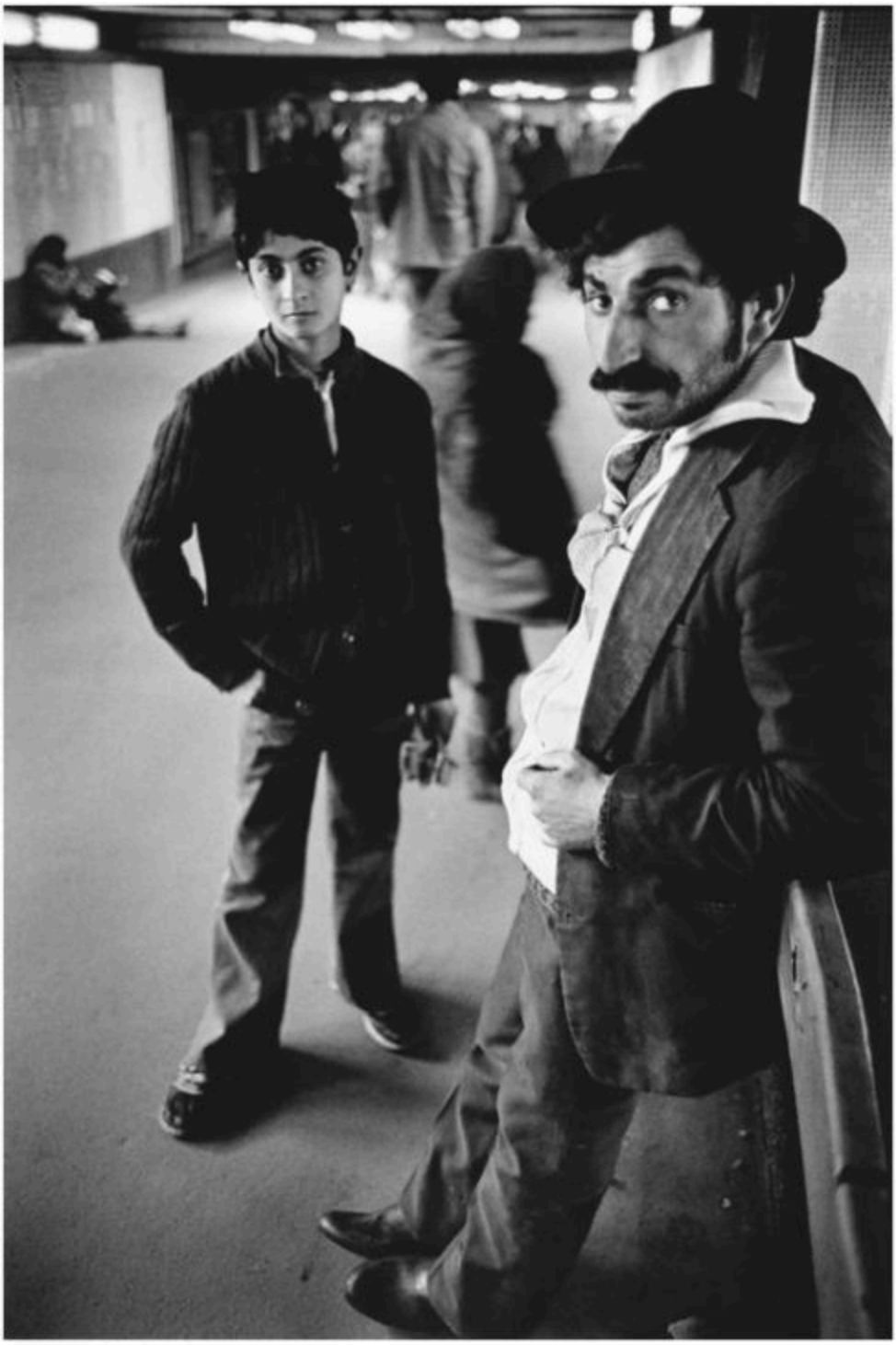

Dla M.

Konwersja do formatu EPUB: Virtualo Sp. z o.o.
virtualo.eu

Spis treści

TEN LĘK

SŁOWACKA DWUSETKA

RĂŞINARI

NASZ BAT’KO

OPIS PODRÓŻY PRZEZ WSCHODNIE WĘGRY NA UKRAINĘ

ŢARA SECUILOR, SZEKELYFOLD, SZEKLERLAND

SHQIPERIA

MOLDOVA

NAMIOT ROZBITY W NOWYM MIEJSCU

DELTA

JADĄC DO BABADAG

NOTY

PODZIĘKOWANIA

TEN LĘK

Tak, to tylko ten lęk, te poszukiwania, ślady, historie, które mają przesłonić nieosiągalną linię widnokręgu. Znowu jest noc i wszystko oddala się, przepada, przykryte czarnym niebem. Jestem sam i muszę przypominać sobie zdarzenia, ponieważ dopada mnie strach przed nieskończonością. Dusza rozpuszcza się w przestrzeni jak kropla w otchłani morza, a ja jestem zbyt tchórzliwy, żeby w to uwierzyć, zbyt stary, by pogodzić się ze stratą, i wierzę, że tylko poprzez widzialne można zaznać ukojenia, że tylko w ciele świata moje ciało odnajdzie schronienie. Chciałbym być pochowany w tych wszystkich miejscach, gdzie byłem i jeszcze będę. Głowa wśród zielonych wzgórz Zemplen, serce gdzieś w Siedmiogrodzie, prawa dłoń w Czarnohorze, lewa w Białej Spiskiej, wzrok na Bukowinie, węch w Răşinari, myśli może gdzieś tutaj… Tak sobie to wyobrażam tej nocy, gdy w ciemności huczy potok i odwilż zmywa białe plamy śniegu. Przypominam sobie te dawne czasy, gdy tak wielu wyruszało w drogę, wymawiając nazwy dalekich miast, które brzmiały jak zaklęcia — Paryż, Londyn, Berlin, Nowy Jork, Sydney. Dla mnie to były miejsca na mapie, czerwone albo czarne punkty zagubione wśród zielonych i błękitnych bezkresów. Nie potrafiłem pożądać czystych dźwięków. Historie, które się z nimi łączyły, były fikcją. Wypełniały czas i zabijały nudę. W tych dawnych czasach

każda daleka podróż wyglądała na ucieczkę. Pachniała histerią i desperacją.

Któregoś dnia latem osiemdziesiątego trzeciego lub czwartego dojechałem stopem do Słubic i po drugiej stronie rzeki zobaczyłem Frankfurt. Było późne popołudnie. Nad wodą wisiało wilgotne niebieskoszare powietrze. Enerdowskie wieżowce i fabryczne kominy wyglądały ponuro i nierealnie. Bure słońce świeciło tak, jakby zaraz miało zgasnąć. Tamta strona była zupełnie martwa i nieruchoma, jakby dogasała po wielkim pożarze. Tylko zapach rzeki miał w sobie coś ludzkiego — zbutwiałość, rozkład, rybią mulistość — ale byłem pewien, że tam, po drugiej stronie, ta woń nagle się urywa. W każdym razie zawróciłem i jeszcze tego wieczoru na powrót wyszedłem na trasę, by ruszyć na wschód. Jak pies obwąchałem obcy rewir i poszedłem swoją drogą.

Oczywiście, nie miałem wtedy paszportu, ale nigdy też nie przychodziło mi do głowy, żeby się o niego postarać. Połączenie dwóch słów: „wolność” i „paszport”, brzmiało dość elegancko, ale kompletnie nieprzekonywająco. Konkret „paszportu” nie pasował do „wolności”, która wydawała się zaprzeczeniem konkretu. Niewykluczone, że w okolicach Gorzowa moje myśli układały się we frazę w rodzaju: wolność albo jest, albo jej nie ma, i tyle. Mój kraj zwyczajnie mi wystarczał, ponieważ nie interesowały mnie jego granice. Żyłem w jego wnętrzu, w jego środku, a środek przemieszczał się wraz ze mną. Nie stawiałem przestrzeni żadnych wymagań i niczego od niej nie

oczekiwałem. Wychodziłem przed świtem, by złapać żółto-niebieski pociąg do Żyrardowa. Ruszał ze Wschodniego, przejeżdżał Śródmieście, za oknami rozwijały się złote i srebrne wstążki świateł. Robiło się coraz ciaśniej. Mężczyźni mieli na sobie znoszone marynarki. Większość z nich wysiadała w Ursusie i szła w stronę lodowatego blasku fabryki. Dziesiątki, setki ciemnych postaci, ledwo widzialnych w mroku, i dopiero za bramą ogarniała ich rtęciowa światłość, jakby wchodzili do gigantycznego kościoła. Zostawałem prawie sam. Następni wsiadali gdzieś w Milanówku, w Grodzisku, ale wśród nich zjawiało się coraz więcej kobiet, bo Żyrardów to było włókiennictwo, tkalnie, szwalnie i co tam jeszcze. Czarny tytoń, plastikowy kwaśny zapach aktówek z kanapkami mieszały się z wonią tanich perfum i mydła. Noc odrywała się od ziemi i w rosnącej szczelinie dnia widać było chałupinki dróżników, na baczność prezentujących pomarańczowe chorągiewki, krowy stojące po brzuchy we mgle i ostatnie zapomniane światła w domach. Żyrardów był czerwony i ceglany. Wysiadałem ze wszystkimi. Byłem wałkoniem, ale to, co robiłem, stanowiło rodzaj hołdu dla wszystkich, którzy muszą wstawać przed świtem, ponieważ bez nich świat byłby tylko grą barw albo meteorologicznym dramatem. Piłem mocną herbatę w dworcowym barze i jechałem z powrotem, by za dzień, dwa wyruszyć na północ albo na wschód, pozornie bez celu. Któregoś lata jechałem siedemdziesiąt dwie godziny bez przerwy. Rozmawiałem z kierowcami ciężarówek. Ich słowa brzmiały w kabinach jak

gigantyczne powolne monologi, spływające gdzieś z przestworzy — tak działało zmęczenie i bezsenność. Pejzaż za szybą to się przybliżał, to oddalał, by na koniec zastygnąć, znieruchomieć, jakby czas nareszcie dał za wygraną. Świt gdzieś w Pucku na poboczu drogi i rozciągnięte wąskie chmury nad Zatoką, spod których wyślizgiwało się jasne ostrze wstającego dnia i zimny zapach morza poprzetykany skrzekiem mew. Bardzo możliwe, że dotarłem wtedy na sam brzeg, bardzo możliwe, że po paru godzinach snu gdzieś obok drogi nadjechała furgonetka i facet powiedział, że jedzie przez cały kraj, na południe, i to było stokroć bardziej pociągające niż nuda przypływów i odpływów, więc wskoczyłem na pakę i zawinięty w koc drzemałem pod łopoczącą plandeką, a w półśnie nawiedzały mnie minione pejzaże pomieszane z fantasmagoriami, jakbym oglądał rzeczy, które widzi ktoś obcy. Warszawa umknęła niczym obce miasto, a ja nie poczułem żadnego drgnienia w sercu. W zębach zgrzytał kurz unoszący się z desek podłogi. Przemierzałem kraj, tak jak przemierza się nieznany ląd. Terra incognita między Radomiem i Sandomierzem. Niebo, drzewa, domy, ziemia — to wszystko mogło znajdować się gdziekolwiek indziej. Poruszałem się w przestrzeni, która nie miała żadnej historii, żadnych dziejów, żadnych wartych wspomnienia dokonań. Byłem pierwszym człowiekiem gdzieś u stóp Gór Pieprzowych i wszystko zaczynało się od mojej obecności. Czas zaczynał płynąć, a rzeczy i krajobrazy zaczynały się starzeć dopiero w chwili, gdy dotykałem ich wzrokiem. Za

Tarnobrzegiem zastukałem w blachę szoferki. Poraził mnie ogrom siarkowej odkrywki i musiałem wysiąść. Gigantyczne koparki stały na dnie otchłani. Guzik mnie obchodziło, skąd się wzięły. Mogłem sobie wyobrażać, że spadły z nieba, by wgryźć się w ziemię, przebić ją, przekopać na drugą stronę, na antypody, z których przez olbrzymi szyb spłynie bezmiar wód i zatopi wszystko, a z tamtej strony zostanie pustynia. Smród piekieł unosił się nad okolicą, a ja nie mogłem oderwać wzroku od monstrualnej jamy, której martwota kazała myśleć o mogile, wysypisku ciał, o chłodnym infernie. Nic tam się nie poruszało. Mogła być niedziela, jeśli w takim miejscu w ogóle działał kalendarz.

No więc to w ogóle nie była Polska, ten ciąg obrazów, to nie był żaden kraj, to był pretekst. Bardzo możliwe, że człowiek odczuwa swoje istnienie dopiero wtedy, gdy czuje na skórze dotyk bezimiennej przestrzeni, która łączy nas z najdawniejszym czasem, ze wszystkimi umarłymi, z prehistorią, gdy umysł dopiero oddzielał się od świata i jeszcze nie zdawał sobie sprawy ze swojego sieroctwa. Wystawiało się dłoń z okna ciężarówki i między palcami przesuwało się najstarsze. Tak, to nie była Polska, to była pierwotna samotność. To mogło być Timbuktu albo Cape Cod. Z prawej Baranów, „perła renesansu”, mijałem go pewnie w tamtych czasach z dziesięć razy, lecz nigdy nie przyszło mi do głowy, by stanąć na chwilę i mu się przyjrzeć. Każde miejsce było dobre, ponieważ mogłem je opuścić bez żalu. Nie musiało nawet w ogóle się nazywać. Nieustanny wydatek, nieustanna strata, rozrzutność, jakiej

świat nie widział, karnawał, rozkurz, trwonienie i ani śladu akumulacji. Rano Wybrzeże, wieczorem lasy nad Sanem, faceci nad kuflami jak zjawy w wiejskiej knajpie, jak fantomy zastygłe na mój widok w ćwierć gestu. Tak ich pamiętam, ale równie dobrze mogło się to wydarzyć koło Legnicy albo czterdzieści kilometrów na północny wschód od Siedlec rok wcześniej albo później w jakiejś wsi. Paliliśmy ognisko, a z mroku wynurzały się wiejskie chłopaki i chyba pierwszy raz w życiu widzieli kogoś obcego. Nie byliśmy dla nich realni ani oni dla nas. Stali, patrzyli, w ciemnościach połyskiwały masywne klamry pasów z głową byka albo skrzyżowanymi coltami. W końcu siadali obok, ale rozmowa miała smak halucynacji i nawet wino, które przynieśli, nie sprowadziło nas na ziemię. O świcie wstali i odeszli. Niewykluczone, że dzień albo dwa później stałem dziesięć godzin w Złoczowie i nic mnie nie wzięło. Pamiętam żywopłot i kamienną balustradę mostku, chociaż tego pierwszego nie jestem pewien, żywopłot mógł być gdzieś indziej, tak jak większość rzeczy, które istnieją w pamięci, ponieważ je zapamiętałem, wyrwałem z krajobrazu, na zawsze składając z nich własną mapę, własną fantastyczną geografię.

A któregoś dnia jechałem do Poznania na odkrytej pace stara. Kierowca krzyknął: „Wskakuj, tylko uważaj na ryby!”. Leżałem wśród ogromnych foliowych worków wypełnionych wodą. W środku pływały rybki nie większe niż paznokieć. Setki, tysiące rybek. Woda była lodowata i musiałem zawinąć się w koc. We Wrześni ryby skręcały na Gniezno i

zostałem sam o świcie na pustej szosie. Słońce jeszcze nie wzeszło i było zimno. Niewykluczone, że przez Poznań jechałem do Wrocławia. Prawdopodobnie po to, by za dzień, dwa wyruszyć na Wybrzeże albo w Bieszczady. W tym drugim wypadku gdzieś nad Osławą w środku lasu zobaczyłem nagiego mężczyznę. Stał w rzece i mył się. Na mój widok po prostu odwrócił się tyłem. A jeśli jednak Wybrzeże, to, zdaje się, Jastrzębia Góra i był wieczór, pusta plaża, szedłem boso w stronę Karwi i na tle czerwonego nieba widziałem czarne megality Stonehenge. Nie miałem gdzie spać i te ruiny spadły jak z nieba. Zrobione były z desek, dykty i grubego płótna. W tamtych czasach zdarzały się takie rzeczy. Ktoś je wybudował i zostawił, pewnie telewizja. Wczołgałem się przez dziurę do jednego z pionowych głazów i zasnąłem.

SŁOWACKA DWUSETKA

Najlepsza mapa, jaką posiadam, to słowacka dwusetka. Jest tak dokładna, że wydostałem się kiedyś za jej pomocą z bezkresnych kukurydzianych pól gdzieś u podnóża Gór Zemplen. Na wielkiej, obejmującej cały kraj płachcie zaznaczono nawet polne ścieżki. Jest podarta i postrzępiona. Miejscami przez płaski wizerunek ziemi i nielicznych tutaj wód przeziera nicość. Ale zawsze ją zabieram, chociaż jest nieporęczna i zajmuje dużo miejsca. Przypomina to trochę magię, bo przecież drogę do Koszyc i potem do Sâtoraljaujhely znam właściwie na pamięć. No ale zabieram ją, ponieważ ciekawi mnie właśnie jej rozpad, jej zniszczenie. Przetarła się najpierw na złożeniach. Pęknięcia i załamania ułożyły się w nową siatkę, znacznie wyraźniejszą niż ta kartograficzna, którą naniesiono za pomocą delikatnych błękitnych linii. Miasta i wsie powoli przestają istnieć, zużywają się w miarę składania i rozkładania, w miarę upychania w zakamarkach auta albo plecaka. Przepadają Michalovce, przepada Stropkov, dziurawa nicość sięga na przedmieścia Użhorodu. Niedługo zniknie Humenne, przetrze się Vranov nad Toplą i zetleje Cigând nad Cisą.

Właściwie dopiero parę lat temu zacząłem przyglądać się mapom tak uważnie. Wcześniej traktowałem je, powiedzmy, jak ozdoby albo anachroniczne symboliczne wizerunki,

które trwają w epoce konkretu i bezpośredniej kawa na ławę relacji z najdalszych krain. Wszystko zaczęło się od wojny na Bałkanach. U nas wszystko zaczyna się od wojny albo na wojnie kończy, więc nie ma w tym żadnej ekstrawagancji. Po prostu chciałem wiedzieć, w co celuje artyleria i co oglądają piloci samolotów. Na schematycznych namiastkach map w gazetach wszystko wyglądało zbyt elegancko i zbyt sterylnie: nazwa miejscowości, a obok stylizowany rozbłysk eksplozji. Ani śladu rzek, żadnej rzeźby terenu, żadnej topografii, żadnych śladów natury ani cywilizacji, nic, tylko naga nazwa i wybuch. Musiałem odszukać Wojwodinę, bo ona była najbliżej. Wojna zawsze podnieca chłopców, nawet gdy ich przeraża. Czerwone ognie wzdłuż Dunaju — Belgrad, Batajnica, Nowy Sad, Vukovar, Sombor — dwadzieścia kilometrów od węgierskiej granicy i jakieś czterysta pięćdziesiąt od mojego domu. Tylko prawdziwa mapa może sprawić, że zaczniemy nasłuchiwać dalekich odgłosów. Ani telewizja, ani gazeta nie są w stanie odwzorować czegoś tak konkretnego jak odległość.

Może dlatego zniszczenie mojej słowackiej mapy tak łatwo przywiodło mi na myśl zniszczenie w ogóle. Czerwone płomyki wzdłuż Dunaju zaczynają trawić papier, ogień wychodzi z Wojwodiny, wychodzi z Banatu i wtacza się na Nizinę Węgierską, zagarnia Siedmiogród, by w końcu przelać się przez krawędź Karpat.

To wszystko zniknie, przepali się jak żarówka i zostanie tylko kulista próżnia, którą wypełnią jakieś nowe kształty,

ale nie jestem ich zupełnie ciekaw, ponieważ będą to coraz bardziej skundlone wersje codzienności udającej święto i nędzy przebranej za bogactwo, festyniarski syf, śmieciarska multiplikacja, plastik, który psuje się natychmiast, lecz jako odpad i wysypisko trwa niemal wiecznie, dopóki nie pochłonie go ogień, a inne żywioły są wobec niego bezradne. Takie myśli miałem, gdy jechaliśmy przez Leordinę, Vişeu de Jos, Vişeu de Sus w stronę przełęczy Prislop. Na szosie nie było prawie żadnych aut, lecz ludzie wylegali setkami. Stali, siedzieli, spacerowali, ubrani odświętnie i dostojnie. Wychodzili ze swoich drewnianych, pokrytych gontową łuską domów, łączyli się, jak pojedyncze krople łączą się w strumyki, i w końcu rozlewali szeroką falą na poboczach drogi, na samym asfalcie, na dnie doliny. Białe koszule, ciemne suknie i marynarki, kapelusze i chustki. Przez uchylone okna wpadał zapach naftaliny, święta i tanich perfum. W Vişeu de Sus było tak gęsto, że niemal stanęliśmy w miejscu, a tłum przesuwał się z obu stron. Staliśmy w miejscu, ale podróż trwała. Odświętna ciżba wchłaniała nas coraz głębiej i to było jak wyprawa pod prąd czasu. Nikt nic nie sprzedawał ani nie kupował. W każdym razie nie widzieliśmy. W oddali wznosił się bury masyw Pietrosula. Na szczycie leżał śnieg. Był trzeci dzień prawosławnej Wielkanocy i święto oznaczało łagodny bezwład materii. Ludzkie ciała poddawały się grawitacji, jakby chciały powrócić do pierwotnego stanu, gdy duch nie był jeszcze uwięziony, nie szamotał się, nie próbował formować gnuśnej powłoki na jakie takie podobieństwo.

Za Moisei zatrzymaliśmy się. Na pustkowiu przy szosie siedziała czwórka starych wieśniaków. Wskazywali gdzieś daleko przed siebie, coś nam pokazywali na odległym lesistym zboczu. Zrozumieliśmy, że tam jest monastyr. Wśród drzew rozpoznaliśmy szczyt wieży. Oni po prostu siedzieli i patrzyli w tamtą stronę, jakby to siedzenie miało im zastąpić uczestnictwo w uroczystej liturgii. Zachęcali nas, żebyśmy się tam wybrali. Ale nam się spieszyło. Zostawiliśmy ich półleżących, nieruchomych, wpatrzonych i nasłuchujących. Niewykluczone, że czekali, aż odezwie się dzwon, aż coś się poruszy w zastygłej przestrzeni święta.

To wszystko miało zniknąć. Nocą na głównej ulicy w Gura Humorului piętnastoletni chłopcy chcieli nam sprzedać niemieckie tablice rejestracyjne. Przekonywali nas, że zdjęte są z bmw. Wszystko miało przepaść i zmienić się w resztę świata. Tak, pierwszego dnia w Rumunii spadł na mnie cały smutek kontynentu. Wszędzie widziałem schyłek i nie mogłem wyobrazić sobie odrodzenia. Na stacji w Cîmpulung benzyniarz nosił broń w kaburze. Wynurzył się z półmroku i na migi pokazywał, że nic dla nas nie ma. Ale kilometr dalej była następna i jaśniała jak karnawał pośród starodawnej nocy. Tam mieli wszystko, a pistolety do nalewania mieściły się w szyjkach plastikowych butelek po coli. Podchodzili mężczyźni z jedną albo dwiema flaszkami, a potem szli w ciemność, by odszukać swoje zamarłe pojazdy.

Maramuresz był za nami. Pokryta zeskorupiałym śniegiem przełęcz też i ten smagły mężczyzna w starym

audi na niemieckich numerach. Otworzył bagażnik i wyjął z niego dziecięcy motocykl, pomniejszoną kopię jakiegoś suzuki czy kawasaki, a potem posadził na nim paroletniego chłopca i pstrykał zdjęcie za zdjęciem. Przez przełęcz ciągnął lodowaty wiatr i prócz nas nie było nikogo. Nic, tylko zimna, piękna pustka, słońce staczało się nad bagna między Carei i Satu Mare i słyszałem trzask migawki, chłopak miał poważną minę, zaczerwienione policzki, a potem ojciec spakował zabawkę i ruszyli w dół, na zachód, pewnie w stronę domu. My też pojechaliśmy, bo na tym podniebnym wygwizdowie grabiały ręce i szczypały policzki. Opuszczaliśmy się serpentynami w dolinę Bystrzycy, w głąb coraz ciemniejszego powietrza.

Teraz widzę, jak niewiele zapamiętałem, i właściwie wszystko, co się stało, mogło się wydarzyć gdzie indziej. Podróż z kraju króla Ubu do kraju wampira Drakuli nie może zawierać wspomnień, w które potem można wierzyć, tak jak się wierzy na przykład w Paryż, Stonehenge czy plac świętego Marka. W końcu Sygiet Marmaroski najbardziej ze wszystkiego przypominał sen. Przejechaliśmy wskroś niego szybko, bez zatrzymywania, i nic nie potrafię powiedzieć o jego kształcie ponad to, że wyglądał jak wyrafinowana fikcja. W każdym razie skończył się bardzo prędko, na horyzoncie znów podniosły się zielone góry, a ja natychmiast poczułem żal i tęsknotę. Dokładnie tak jak po przebudzeniu, gdy dotyka nas pragnienie powrotu do onirycznej konfabulacji, która pozbawia nas wolnej woli, dając w zamian absolutną wolność niespodziewanego. Tak

dzieje się w miejscach, których rzadko dotyka wzrok obcego, oko przybysza. Spojrzenia wygładzają rzeczy i krajobrazy. Zniszczenie i rozpad nadejdą z tej właśnie strony. Świat zużyje się i wytrze jak stara mapa od nadmiaru spojrzeń.

Wjeżdżaliśmy do okręgu Sinistra. Wszystko tutaj należało do strzelców górskich, do pułkownika Puiu Borcana, a potem, gdy umarł, do Izoldy Mavrodin-Mahmudii, również w randze pułkownika, zwanej zdrobniale Coką. Z przełęczy Baba Rotunda roztaczał się widok na Popa Ivana, w dole pełzły wąskotorowe, opalane drewnem lokomotywy. Mieszkańcy Sinistry nosili na piersiach wojskowe nieśmiertelniki. Każdy przybysz, który tu zostawał na dłużej, dostawał nowe imię. Coca od czasu do czasu urządzała pod Popem Ivanem zasadzki na Mustafę Mukkermana, który woził swoją ciężarówką baraninę gdzieś z ukraińskiej strony aż do Tesalonik albo nawet na Rodos, ale prócz baraniny zdarzało mu się przewozić w chłodni ciepło ubranych ludzi. Towarzysze z Polski informowali Cokę o zamiarach Mukkermana — trzystukilogramowego pół-Turka, pół-Niemca. Rozcieńczonego denaturatu używało się tutaj do moczenia suszonych grzybów, a piło się go ze sfermentowanym sokiem z leśnych owoców. Matowe szyby do sinistrzańskiego więzienia robił Gabriel Dunka w swoim warsztacie: wkładał taflę szkła do skrzyni z piaskiem i deptał ją bosymi stopami przez długie godziny. Miał trzydzieści siedem lat i był karłem. Któregoś deszczowego

dnia zabrał do swojej furgonetki nagą Elvirę Spiridon i pierwszy raz w życiu poczuł zapach kobiecego ciała, ale lojalność zwyciężyła pragnienie i zadenuncjował ją, ponieważ tylko przypadek sprawił, że nie wsiadła do ciężarówki Mukkermana.

To wszystko miało się odbyć za Sygietem Marmaroskim i pewnie się odbywało. Lecz dowiedziałem się o tym dwa lata później z *Okręgu Sinistra* Adama Bodora i prześladuje mnie to do tej pory. Prześladuje i przesłania płaską przestrzeń mapy. Znów widzialne blaknie wobec opowiedzianego. Blaknie, lecz nie znika zupełnie. Traci tylko wyrazistość, ubywa mu nieznośnej oczywistości. To jest specjalność krajów pomocniczych, narodów drugiego rzutu i ludów rezerwowych. To jest ta migotliwość, ta zdwojona, potrojona fikcja, krzywe zwierciadło, magiczna latarnia, fatamorgana, fantastyka i fantasmagoria, która wślizguje się litościwie między to, jak jest, a to, jak być powinno. To jest ta autoironia, która pozwala igrać z własnym losem, przedrzeźniać go, papugować, zmieniać upadek w heroikomiczną legendę, a zmyślenie przeinaczać w coś na kształt zbawienia.

Tam, gdzie wylądowaliśmy w końcu na nocleg, nie było wody. Gospodarz świecił latarką i prowadził nas przez chłodne korytarze. Tłumaczył, że pompa się zepsuła, a mechanik już trzeci tydzień jedzie gdzieś z Suczawy albo i z Jass. Tłumaczył, że mężczyzna, który mieszka w tym domu, jest tutaj obcy, przyjechał z dalekich stron, i żeby poradzić

sobie z samotnością, pije tutejszą tanią wódkę, i dlatego nie dba o dom, ale mechanik pewnie wkrótce przyjedzie.

Było chłodno. Położyliśmy się w ubraniach, zgasiliśmy światło i przez okno weszła rumuńska noc. Próbowałem zasnąć, ale zamiast iść z biegiem czasu i snu, w myślach wciąż płynąłem pod prąd tego długiego dnia, gdy przejeżdżaliśmy przez granicę w Petea. Na upalnej równinie stały czarne strażnicze wieże. Wkrótce zaczęło się Satu Mare z murami złuszczonymi ze starości i gorąca, z cieniem ogromnych drzew wzdłuż ulic i kopułami cerkwi w długich zielonych perspektywach. Węgry natomiast zostały z tyłu, został z tyłu nizinny smutek Erdóhat, i chociaż po drugiej stronie granicy było równie płasko, to czułem wyraźną zmianę, czułem w powietrzu inny zapach, a blask nieba z każdym kilometrem nabierał bezwzględności. Daleki cień Karpat na horyzoncie ograniczał tę jasność, zamykał ją, i jechaliśmy w gęstej świetlistej zawiesinie. Szosą toczyły się konne wozy. Zwierzęta lśniły od potu. Starodawne auto wiozło na dachu piramidę worków wypchanych owczą wełną. Ludzie mieli ciemne błyszczące ciała. Wiał wiatr. Może dlatego ich domy wyglądały tak ubogo i nietrwale na wielkiej równinie.

Leżałem w zimnym pokoju i przypominałem sobie to wszystko, tak jak teraz próbuję sobie przypomnieć ten zimny pokój i potem ranek, gdy wstałem i wyszedłem na zewnątrz, by dostrzec, że w nocy był przymrozek i teraz jego resztki znikały w słonecznych plamach. Ludzie szli z wiadrami do studzien i przyglądali mi się, udając, że nie

patrzą, że zajęci są swoimi sprawami, że oślepia ich blask wstającego dnia. Teraz przypominam sobie to wszystko i widzę, że na przykład właśnie tam mogła się zacząć jakaś opowieść. Na przykład: „Tego dnia, kiedy widziałem ojca po raz ostatni, bo trzech mężczyzn wsadziło go do samochodu i dokądś zabrało, tego dnia dotknąłem piersi Andrei Nopritz”. Albo: „Tego dnia Gizella Weisz ruszyła w drogę, wszyscy ją chwalili. Nawet wielki towarzysz Onaga spojrzał jej głęboko w oczy i rzekł: To rozumiem. Ma towarzyszka wspaniałe zamiary i szczytne plany”. No więc tego dnia, tego poranka, mógł się zjawić mężczyzna, który popsuł pompę. Mógł nadejść wąską wiejską uliczką wśród drewnianych płotów i zapytać, co właściwie robię przed domem, w którym mieszka. Opuchnięty, z zaczerwienionymi oczyma, w wymiętym ubraniu, niczym bukowińska wersja Geoffreya Firmina, wspierając się nonszalancko o sztachety, mógłby dociekać, co, u diabła, przyniosło mnie do tej, powiedzmy, Pîrtestii de Jos albo Pîrtestii de Sus, do domu, w którym mieszka, żeby oglądać go w tym stanie o szóstej trzydzieści rano, gdy zza płotów popatrują zniemczeni Polacy, zrumunizowani Niemcy, spolszczeni Ukraińcy, cała ta pograniczna hybryda, ten złoty sen wyznawców kultu multikulti... No więc mógłby się zacząć jakiś cyniczny monolog albo nerwowy dialog, mógłby się zacząć od pobrzękiwania wiader przy studniach, od tych wszystkich porannych dźwięków właściwych zapomnianym okolicom — gdakanie kur, rąbanie drewna, człapanie, poklepywanie krowich zadów — a szósta trzydzieści pięć dnem doliny

przetoczyłby się zardzewiały osobowy do Suczawy. To byłby dobry początek, rozwinięcie opowieści i losu, wędrówka wstecz czasu, gdy zdarzenia nabierają blasku, w miarę jak odsuwają się od teraźniejszości. Ale człowiek od zepsutej pompy nie nadszedł i jego życie pozostało w sferze domniemania, czyli całkowitej wolności.

Podszedłem więc do realnego mężczyzny, który spokojnie stał za swoim płotem i palił. Zaczęliśmy rozmawiać. Osobowy do Suczawy rzeczywiście przetoczył się dnem doliny. Mężczyzna miał około sześćdziesiątki, był zwalisty i ubrany w sprany cajgowy strój. Przypominał większość mężczyzn, których widziałem w życiu. Dym z jego papierosa błękitniał, a potem szarzał i znikał. Był rozmowny. Słuchałem i potakiwałem. Mówił, że teraz jest źle, że kiedy rządził Ceausescu, było lepiej, że wtedy była sprawiedliwość, ponieważ była równość, była praca i porządek na ulicach. Znałem tę opowieść, ale znów słuchałem z zapartym oddechem, bo jest coś pięknego w tym, że odjeżdżamy tak daleko od domu, a tak niewiele się zmienia. Opowiadał o nocnych wizytach Securitate i jednym tchem o zamykanych teraz fabrykach. Zapytałem go, czy wiedział o tych słynnych przesiedleniach, o tym, że siedem tysięcy wsi miało zniknąć, a ludzie mieli się przenieść do betonowych bloków. Tak, wiedział, widział nawet samoloty, z których wykonywano zdjęcia mające pomóc w zaplanowaniu całej operacji, lecz dla sprawiedliwości czyli dla równości nie ma zbyt wysokiej ceny. No więc nie mówiłem już nic, bo cóż mogłem powiedzieć, skoro

zjawiłem się tutaj, przy tym płocie, jako widomy znak nierówności, zjawiłem się i odjadę, kiedy tylko zechcę, zostawiając tego starego mężczyznę w zniszczonym ubraniu, z tanim papierosem dopalającym się w palcach, na wyboistej drodze między pięknymi wiekowymi domami z drewna, które ocalały przez kaprys historii, chociaż ich mieszkańcy wcale tak bardzo tego nie pragnęli. Nie odzywałem się już. Słuchałem opowieści o tęsknocie za dyktatorem. Władza musi się objawiać poprzez konkretne wcielenie i kiedy już ma swoją realną postać, przebywa poza dobrem i złem. Wszyscy jesteśmy osieroconymi dziećmi jakiegoś cesarza albo dyktatora. Poczęstowałem mężczyznę sobieskim super light. Słońce wznosiło się ponad zieloną linię wzgórz, a ja czułem, że moja wolność przyjazdu i odjazdu gówno tutaj naprawdę znaczy i nic nie jest warta.

Pożegnaliśmy się i poszedłem po wiadro, żeby nabrać wody ze studni.

Jest noc, pada deszcz i przypominam sobie to wszystko nie wiadomo który już raz. Adam Bodor i Sinistra nakładają się przejrzyście na realny Maramuresz i Bukowinę, a do jednego i drugiego przylega prześwitująca i żywa materia moich myśli, mojej miłości i mojego strachu. Po prostu Sinistra nie daje mi spać. Na półce stoją obok siebie *Historia Ukrainy, Historia Bułgarii, Historia Węgier,* stoi mnóstwo pomniejszych historii i historyjek, łącznie z *Dziejami Słowacji* i *Rumunami* Eliadego, ale nic z tego nie wynika. Czytam to wszystko przed snem, i w końcu

zasypiam, lecz nigdy jeszcze nie przyśnił mi się Jan Hunyady ani car Ferdynand, ani Vasile Nicola Ursu, zwany Horią, ani Vlad Ţapes, ani ksiądz Hlinka, ani Taras Szewczenko. Śni mi się najwyżej jakiś wysoce enigmatyczny okręg Sinistra. Jakieś mundury nieistniejących armii i stare wojny, w których nikt nie ginie naprawdę. Śnią mi się białe wapienne ruiny i wąsaci strażnicy granic, po których przekroczeniu wszystko się zmienia i zarazem nie zmienia się nic. Śnią mi się banknoty z podobiznami herosów z jednej i pejzażami romantycznych wygwizdowów z drugiej. I bilon też mi się śni. I opakowania papierosów, których nigdy nie paliłem. Śnią mi się stacje benzynowe na równinach — wszystkie podobne do tej na przedmieściach Slovenskego Novego Mesta — i śni mi się red bull z napisem: „...špecialne vyvinuty pre obdobie zvyšenej psychickej alebo fyzyckej namahy”. Śnią mi się butwiejące wieże strażnicze na pustkowiach i cykliści prowadzący pordzewiałe rowery w pagórkowatym pejzażu od miejscowości do miejscowości, których nazwy można wymówić w trzech przynajmniej językach, śnią mi się konne zaprzęgi i ludzie, i jedzenie, i hybrydy krajobrazów, i cała reszta.

Tak, deszcz pada na te wszystkie miejsca, pada na Maramuresz, na sny, na Sinistrę, pada na Spiskie Podgrodzie w tamten dzień, w piątek 21 lipca, gdy zatrzymaliśmy się na błotnistym parkingu nad Morgeczanką. Parterowa zabudowa ciągnęła się wzdłuż jednej jedynej ulicy. Poszliśmy przed siebie wąskim

chodnikiem. Znaleźliśmy żółtą synagogę. Jej fronton wieńczyły cztery blaszane kuliste kopuły. Sklepione okna były czarne i martwe. Wyglądały jak przeniesione z jakiejś dziewiętnastowiecznej fabryki. W prześwicie między świątynią a domami widać było pagórki i dalekie wieże Spiskiej Kapituły. Na wzgórzu nad miasteczkiem bielały ruiny zamku. Budowla była tak wielka i jasna, że przypominała jakiś meteorologiczny kaprys, kanciaste spiętrzenie cumulusów albo miraż przyniesiony z krainy, która dawno przestała istnieć. Przejechał samochód, potem drugi, i wszystko ucichło. Szary tył skody niknął w zielonym cieniu drzew, ale tak naprawdę znikał w czasie. Auto sunęło tunelem wydrążonym w nieruchomości. Szosa przebijała się przez miasteczko jak przez wnętrze góry, jak przez interior, jak przez obce terytorium, które łaskawie zezwala na tranzyt. Z niskiego domu na zakręcie wyszła smagła gruba kobieta, chlusnęła mydlinami na asfalt i zmyła wszelki ślad po pojazdach. Parę kroków dalej w otwartym niskim oknie zobaczyłem wnętrze wielkiego pokoju. Ktoś zaczął robotę i ją przerwał. Przez środek pomieszczenia ciągnął się świeży ceglany mur. Gdzieś w głębi grał telewizor. Błękitne błyski zapalały się i gasły w półmroku. Obok wznoszonej ściany stał stół do bilardu. Kilka kul zatrzymało się w połowie rozgrywki. Było zbyt ciemno i nie mogłem dostrzec ich kolorów. Czułem tylko zapach mokrego wapna i butwienia. Gdzieś poza ścianą, poza ciemnością, poza gadaniną telewizora słychać było podniesione męskie głosy. Potem ich zobaczyłem w wąskim prześwicie między domami.

Spierali się nad odwróconym do góry kołami wózkiem. Jeden obracał obręcz ze szprychami, a drugi kręcił głową i gestykulował, że to szmelc, nic z niego nie będzie i wszystko trzeba zaczynać od początku.

Byli smagli, krępi i żywi, jakby ich ciała nie odczuwały tej nieruchomości wokół, jakby przebywały w innej, nieważkiej przestrzeni. Zapewne tak było. Żyli w dawnej żydowskiej dzielnicy, na skraju słowackiego miasteczka u stóp węgierskiego zamku, więc żeby istnieć, żeby nie zniknąć, musieli ustalić jakieś własne zasady, osobliwą teorię względności, regułę grawitacyjną, która utrzyma ich na powierzchni ziemi i nie pozwoli przepaść w pustce kosmosu, w otchłani niepamięci.

Wróciliśmy do auta i ruszyliśmy dalej. Tęga kobieta znów wychodziła ze swojego domu z miednicą pełną mydlin. Morgeczanka płynęła w dole po prawej. Z lewej wznosił się grzbiet Drevernka. Za miastem na zboczu, na wyrytych w pochyłości tarasach, stały ich domy. Już nie cudze, nie dawne i po kimś pozostałe, ale ich własne. Przypominały dziecięce rysunki — tak były proste, małe i kruche. Wyglądały jak idee, które dopiero zaczęły się materializować. Zrobione były z ledwo okorowanych sosnowych okrąglaków, właściwie żerdzi, nie grubszych niż ramię mężczyzny, i pokryte dwuspadowymi smolistymi dachami. Były tak skromne, że co najwyżej dało się w nich siedzieć i przeczekiwać czas między jednym i drugim zdarzeniem. Przylegały do siebie, wspinały się i spiętrzały niczym drewniane pueblo. Z cienkich kominów snuł się

żywiczny dym. Rozgardiasz podwórek, rupieciarnia, żywa, skłębiona substancja rzeczy pozornie martwych i zużytych pokrywała ziemię jak postindustrialna roślinność. To mógł być równie dobrze dzień, w którym się zjawili, jak i ten, w którym mają ruszyć w drogę. W dole, wzdłuż cienistej drogi, bawiły się dzieci. Dorośli stali i rozmawiali o swoich sprawach, a może o obcych przejeżdżających tędy od czasu do czasu. Tutaj wszystko należało do nich. Nie miałem pojęcia, że przestrzeń można tak jednoznacznie i nieodwołalnie wziąć w posiadanie, nie wyrządzając jej przy tym krzywdy. Trochę dalej, całkiem samotnie, stała dziewczyna w czerwonej sukience. Zdaje się, że była bardzo piękna. Patrzyła gdzieś w bok, w stronę, gdzie nic się nie działo. Widziałem ją przez moment, a potem czerwony płomyk zgasł we wstecznym lusterku.

RĂŞINARI

„(...) Zawszeni i pogodni, powinniśmy trzymać się towarzystwa zwierząt, kucać sobie u ich boku jeszcze przez tysiąclecia, wdychać woń stajni raczej niż laboratoriów, umierać z chorób, a nie z lekarstw, kręcić się wokół naszej pustki i łagodnie w nią zapadać”.

Cały dzień wiało z południa. Pod błękitnym szkliwem nieba suche światło zakreślało wokół rzeczy czarne kontury. W takie dni świat jest wyrazisty jak wycinanka. Nie da się patrzeć w jedno miejsce, bo można oślepnąć. Powietrze niesie ze sobą blask, do jakiego nie jesteśmy tutaj przyzwyczajeni. Afrykańska, śródziemnomorska światłość przelewa się przez karpacki grzbiet i spada na wieś. Pejzaż jest nagi i przejrzysty. Wśród bezlistnych gałęzi widać opuszczone ptasie gniazda. Wysoko, skrajem zrudziałych łąk, idzie stado krów. Zaraz znikną w lesie. Tam jest cicho, ciemno i płożą się zielone ostrężyny. Zwierzęta cofają się kilka tysięcy lat wstecz, porzucają nasze towarzystwo i na powrót stają się sobą do czasu, gdy za dzień, dwa ktoś je odnajdzie i przygna z powrotem.

„(...) powinniśmy trzymać się towarzystwa zwierząt, kucać sobie u ich boku...”. Przeczytałem to zdanie w lipcu. W sierpniu pojechałem odszukać rodzinną wieś Emila Ciorana. Nigdy nie mogłem pogodzić się z tym, że myśl jest bytem abstrakcyjnym, i musiałem pojechać do Răşinari.

Przez Gorgany, przez ukraińską i rumuńską Bukowinę, przez Kluż i Sybin dotarłem na południowy skraj Siedmiogrodu. Tuż za ostatnimi domami wsi wyrastały Karpaty. Dosłownie. Szło się po płaskim i zaraz trzeba było się wspinać bydlęcymi ścieżkami, co kilkadziesiąt kroków przystając dla nabrania oddechu. Na północy w sinawej mgle leżała Transylwania. Strome, rozgrzane łąki nad Răşinari pachniały krowim nawozem. Nie padało od wielu dni i ziemia oddawała nagromadzone zapachy.

Parę dni później widzieliśmy wieczorny powrót z pastwisk. Szosą od Păltiniş w czerwonych promieniach słońca szły setki krów i kóz. Nad stadami unosiły się ciepło i odór. Siwe, rozłożystorogie krowy szły na samym przedzie. Ludzie stali w otwartych bramach obejść i czekali. Wszystko odbywało się w ciszy, bez pokrzykiwań, bez ponagleń. Zwierzęta oddzielały się od stada i wchodziły do swoich zagród. Znikały w półmroku cienistych dziedzińców i rzeźbione wierzeje zamykały się za nimi w całkiem ludzki sposób. Ogromne bawoły lśniły jak czarny metal. Na jeden ich krok wypadało półtora krowiego. Były monstrualne i diabelskie. Wilgotne szczeciniaste pyski przywodziły na myśl jakąś odległą i lubieżną mitologię. Na końcu drobnym truchtem dreptały kozy. Pstrokacizna szła o lepsze z ruchliwością. Capi cuch unosił się nad rozciągniętym stadem. Asfalt lśnił od krowich rozprysków.

To było Răşinari, miejsce urodzin i pierwszych dziesięciu lat Emila Ciorana. Słońce spadało pionowo z góry na brukowane uliczki, na pastelowe domy, na czerwoną łuskę

dachówek, i wydobywało najstarsze zapachy. Na początku nie wiedziałem, co to jest, co wisi w powietrzu, co przenika mury, ciała mijanych ludzi i karoserie starych pojazdów. Dopiero potem, po paru dniach, odkryłem, że to są pomieszane wonie zwierząt. Z zamkniętych podwórek ciągnęło świńskim nawozem. Ziemia między kocimi łbami gromadziła od stuleci koński mocz, smugi stajennego zapachu snuły się za niezliczonymi zaprzęgami, z połonin spływało duszne powietrze pastwisk, rynsztokami sączyła się gnojówka z chlewików i obór, a w rzece wypatrzyłem pewnego dnia rozwleczone wnętrzności. Nurt zagarniał opalizującą migotliwą czerwień i niósł gdzieś w stronę Sybina. Z gór wiatr niósł przenikliwy, ostry aromat owczych koszarów — mieszaninę zdeptanych ziół, lepkiego, tłustego runa i zeschniętych jak kamyki zielonkawych bobków. I tylko gdzieniegdzie wypływała strużka świerkowego dymu, nitka cebulowej smażeniny albo benzynowy obłoczek spalin.

„(…) Najlepiej, gdybym nigdy nie opuszczał tej wsi. Nie zapomnę dnia, kiedy rodzice wsadzili mnie na wóz i zawieźli do liceum w mieście. To był koniec mojego pięknego snu, ruina mojego świata”.

Teraz z Răşinari do Sybina jeździ tramwaj. Pętla jest na skraju wsi. Można usiąść na schodkach między barem a szewcem. W barze sprzedają czystą wódkę, która smakuje drożdżami, ma trzydzieści sześć procent i jest tania. Zanim tramwaj nadjedzie, niektórzy wypijają kieliszek albo dwa. Tak jak ten Cygan, którego widywaliśmy przez kilka dni to

tu, to tam. Raz czekał na autobus do Păltiniş, kiedy indziej snuł się w okolicach dworca w Sybinie. Na głowie miał czarny filcowy kapelusz, w dłoni kosisko ze złożoną kosą, a na ramieniu stary plecak. Był sierpień, pora sianokosów, i niewykluczone, że po prostu szukał pracy, lecz nie mógł albo nie chciał znaleźć, więc spędzał jakoś czas i czekał, aż wszystko minie, skończy się i będzie mógł dokądś powrócić.

Rano i wieczorem chodziliśmy do knajpy przy strada Nicolae Bălcescu. Wchodziło się po paru stopniach. Wewnątrz fruwały muchy i siedzieli mężczyźni. Piliśmy kawę i brandy. Z tych samych schodów można było wejść do fryzjera, gdzie stał staroświecki fotel. Zakład był otwarty do późna, do dziesiątej, do jedenastej, i w fotelu zawsze ktoś siedział. Piliśmy też piwo, ursus albo silva. Na ulicy wciąż słychać było stukot końskich kopyt. Czasami w ciemnościach podkowy krzesały iskry. Wszystkie furmanki miały z tyłu numery rejestracyjne. Sklepy pracowały długo w noc. Kupowaliśmy salami, wino, chleb, paprykę i arbuzy. Zapadała ciemność i wnętrza sklepów jarzyły się jak ciepłe jaskinie. Kieszenie mieliśmy pełne tysiąclejowych banknotów z Michałem Eminescu i stulejowych monet z Michałem Walecznym.

„Teraz, w tej chwili, powinienem czuć się Europejczykiem, człowiekiem Zachodu. Ale nic z tych rzeczy; u schyłku życia, w trakcie którego poznałem wiele krajów i przeczytałem wiele książek, doszedłem do wniosku, że rację ma rumuński chłop. Ten chłop, który nie

wierzy w nic, który myśli, że człowiek jest przegrany, że nic nie można zrobić, że historia go miażdży. Ta ideologia ofiary jest też moją koncepcją, moją filozofią historii”.

Któregoś wieczoru schodziliśmy z gór do wsi. Răşinari spoczywało w dole nasycone upałem. Czułem jego zwierzęcą obecność. Promieniowało ciepłem i złotawym blaskiem. W plątaninie uliczek światła było tyle, co kot napłakał. Żaluzje, które za dnia chroniły przed słońcem, teraz zamykały wątłą światłość wewnątrz domów. Tak było kiedyś — pomyślałem. Nie wytwarzało się rzeczy zbędnych, nie marnowało ognia ani jedzenia. Zbytek był obowiązkiem i przywilejem królów. Na placu przed cerkwią świętej Paraskewy zbierała się dzieciarnia. W mroku połyskiwały chromowane części rowerów. Osiemdziesiąt lat temu mały Emil spędzał w cieniu tej samej świątyni ostatnie dni wakacji. Też był sierpień, wieczór, i chłopcy przekomarzali się z dziewczętami. Nie było tylko tak wielu rowerów, a w powietrzu unosił się jeszcze zapach węgierskich rządów i niektórzy wciąż używali nazwy Resinar albo Stadterdorf. Nazajutrz miał wyruszyć i nigdy już tu nie powrócić.

Dzisiaj naprzeciwko mego domu czterech mężczyzn zrywało drewno. Wyciągali na skraj lasu pojedyncze świerkowe pnie. Potem, gdy zebrały się trzy, cztery sztuki, ładowali kłody na rozciągnięty wóz. Pracowali jak zwierzęta — wolno, monotonnie, wykonując te same czynności i gesty co sto i dwieście lat temu. Zjazd był długi i stromy. Wczepieni w kłonice, powstrzymywali bieg pojazdu. Zablokowane hamulcem, koła ślizgały się w mokrej glinie.

Okutani w zniszczone kufajki i kapoty, wyglądali jak ulepieni z ziemi. Padał deszcz. Z rzeczy, które różniły ich od ojców, dziadków i pradziadków, mieli spalinową szwedzką piłę i jednorazowe zapalniczki. No i wóz miał gumowe koła. Cała reszta pozostawała niezmieniona od dwustu, może trzystu lat. Ich zapach, wysiłek, stęknięcia, ich istnienie wypełniały formę trwającą od niepamiętnych czasów. Byli tak samo pradawni jak dwa gniade konie w zaprzęgu. Wokół nich rozciągała się stara jak świat teraźniejszość. O zmierzchu skończyli i odjechali. Ich ubrania parowały tak samo jak grzbiety zwierząt.

Wyszedłem na werandę, żeby znów popatrzyć na południe. Rozciągała się tam wprawdzie listopadowa ciemność, ale ja patrzyłem wstecz, patrzyłem na ostatni sierpień i moje spojrzenie biegło gdzieś nad Bardejovem, nad Sârospatak, nad Nagykalló, nad Górami Bihorskimi, nad Sybinem, by sięgnąć Răşinari tamtego dnia o trzeciej po południu, gdy schodziliśmy z gór, a za nami zbierały się ciemnosine chmury. Szliśmy w dół i w dół, aż do tego niemiłosiernie zasranego płaskowyżu, gdzie stały i leżały dziesiątki rudych, siwych i łaciatych krów. Niżej zaczynała się już wieś. Pierwsze domy były tymczasowe, rozpirzone, przypominały bardziej obozowisko niż osadę. Nad drogą i rzeką wznosiło się skalne urwisko porośnięte brzozowym młodnikiem, który trzymał się na tej stromiźnie przy pomocy jakiegoś cudu. Kilkadziesiąt metrów nad naszymi głowami samotny mężczyzna wycinał siekierą cienkie drzewka. Potem spinał je łańcuchem i posyłał w dół. Pęki

sunęły z trzaskiem i grzechotem oderwanych kamieni. Echo niosło się w głąb doliny. W dole czekały kobiety i dzieci, żeby przeciągnąć to wszystko przez rzekę i załadować na ręczny wózek. Nigdzie im się nie spieszyło. Przy drodze leżały koce, płonęło ognisko, obok poniewierała się lalka. Ich dom stał kilkadziesiąt metrów dalej, ale oni już urządzili sobie tutaj następne chwilowe schronienie. Przy ognisku walały się resztki jedzenia, plastikowe butelki z piciem, kubek i coś jeszcze, ale nie chcieliśmy przyglądać się zbyt natarczywie. Wiązka utknęła w połowie skalnej ściany i mężczyzna powoli opuszczał się w dół, by ją uwolnić.

Deszcz zaczął padać, gdy byliśmy już w domu. Siedziałem w otwartym oknie na poddaszu. Słyszałem, jak krople padają na dach i na liście winorośli rozpostarte nad dziedzińcem w dole. Spłowiałe góry na południu pociemniały jak nasiąknięta tkanina. Stado białych kóz szukało schronienia w zaroślach. Pomyślałem sobie, że mógłby mieć teraz osiemdziesiąt dziewięć lat i siedzieć na moim miejscu. W końcu ten dom należał do jego rodziny. Nasz gospodarz nazywał się Petru Cioran. Miał na półce jego książki, chociaż nie sądzę, by do nich zaglądał. Zresztą były po francusku i po angielsku. Razem z żoną pokazywali nam wyblakłe zdjęcia: to Emil, gdy miał osiem lat, a to Relu, młodszy brat. Pięćdziesięcioletni masywny mężczyzna był dumny, ale na co dzień zajmował się sklepem. Wstawał rano, ładował do furgonetki skrzynki i ruszał do miasta po towar. Na śniadanie wypijaliśmy po kieliszku śliwowicy.

Pachniała samogonem, była mocna jak spirytus i pasowała do wędzonej słoniny, koziego sera i papryki.

No więc mógłby siedzieć tutaj zamiast mnie i patrzeć, jak deszcz moczy worki cementu załadowane na skrzynię stojącej w uliczce furgonetki. Bruk lśni, dym z kominów przepada w szarudze, woda w rynsztokach podnosi się i zagarnia śmieci, a on wrócił, jakby nigdzie nie wyjeżdżał, i jest tylko starym człowiekiem sam na sam ze swoimi myślami. Nie ma już sił na wędrówki po górach ani ochoty na rozmowy z pastuchami. Patrzy i nasłuchuje. Filozofia z wolna przybiera materialną postać. Wchodzi w jego ciało i je unicestwia. Paryż i podróże nie przydały się na nic. Bez tego wszystko trwałoby po prostu trochę dłużej i nuda przybierałaby formy nieco mniej wyrafinowane. Z kuchni na parterze snuje się zapach rozgrzanego tłuszczu i słychać głosy kobiet. Winorośl błyszczy i szeleści w deszczu. Potem od wschodu nadciągnie zmierzch i w altanie przy sklepie zaczną zbierać się mężczyźni. Po całym dniu będą zmęczeni i brudni. Wezmą butelkę drożdżowej wódki. Sprzedawczyni poda im szklankę z grubego szkła i uporają się z flaszką w piętnaście minut. Będzie słyszał ich coraz głośniejszą i coraz szybszą rozmowę i będzie czuł zapach ich ciał przenikający przez listowie. Pierwszy będzie pachniał smołą, drugi dymem, a trzeci będzie wydzielał woń koziej stajni u progu jesieni, gdy kozły zaczynają cuchnąć moczem, piżmem i rują. Ten trzeci upije się najszybciej i koledzy będą go podtrzymywać, opierać o ścianę, nie przerywając rozmowy. Paczka papierosów carpati opróżni

się w godzinę, a oni będą już wtedy pili jasnożółte piwo z zielonych butelek. Złotoszare światło płynące z otwartych drzwi sklepu zmiesza się z gorącymi oddechami, z parną ciemnością nocy i sprawi, że ich postacie staną się lekkie, półwidzialne, oczyszczone z brudu i zmęczenia. Wtedy wejdzie ta para: on, śniady, z wąsikiem, w marynarce w pepitkę, z szarmanckim wdziękiem, w błyszczących butach i czarnych spodniach w kant, rozpromieniony i rozgadany, ona, nieco stropiona, przejęta, jakby właśnie postanowiła coś ważnego. Kobieta będzie się uśmiechać nieśmiało i poprawiać tlenione włosy. On będzie ją zabawiał, nadskakiwał i tokował, i robiąc jednocześnie zakupy — czekolada, wódka, piwo — oraz ładując wszystko do plastikowej torby, ani na chwilę nie przerwie tańca godowego. Jedno piwo wypiją na miejscu, stojąc wpatrzeni w siebie. Ona ze szklanki, on resztę z butelki. Potem wyjdą, objęci, w ciemność, a jej wysokie obcasy będą się ślizgać i potykać na bruku.

No więc przypuśćmy, że on słyszał to wszystko i czuł zapach perfum przenikający przez listowie. Noc wypełniała drewniany pokój na poddaszu i mógł wspominać własne życie bez przeszkód, ponieważ bezsenność, tak jak kilkadziesiąt lat temu w Sybinie, znów zastępowała mu wieczność. Przy strada Brazilor i strada Popa Bratu, przy strada Episcopei, przy strada Andrei Saguna i strada Ilarie Mitrea, wszędzie śpią zwierzęta. W mroku w zaduchu obór leżą krowy i przeżuwają przez sen. Konie stoją u pustych żłobów ze zwieszonymi łbami. Tak miało być i tak jest w

istocie. Ciepło ulatuje z niego raz na zawsze i łączy się nad Răşinari z ciepłem bydląt. Potem unosi się w czarne niebo nad Karpatami i płynie w stronę zimnych gwiazd jak wyobrażenie duszy, którego nie mógł znieść, bo przyprawiało go o bezsenność.

Trzy miesiące później jechałem o zmierzchu przez wieś Rozpucie u podnóża Słonych Gór. Krowy wracały z pastwisk i szły całą szerokością drogi. Musiałem zwolnić i w końcu całkiem się zatrzymać. Rozstępowały się przed autem jak ruda leniwa fala. Chwytał przymrozek i z nozdrzy buchała para. Były ciepłe, rozdęte i obojętne. Patrzyły wprost przed siebie, w dal, ponieważ rzeczy, przedmioty i pejzaż nie miały dla nich żadnego znaczenia. Po prostu patrzyły wskroś tego wszystkiego. I we wsi Rozpucie poczułem ogrom i nieprzerwaną ciągłość świata wokół. O tej samej porze, w tym samym gasnącym blasku, wracały do domów bydlęta: od Kijowa, powiedzmy, po Split i od mojego Rozpucia po Skopje i — dajmy na to — Starą Zagorę działo się to samo. Krajobrazy i architektura, rasy, kształty rogów i maści trochę się zmieniały, lecz poza tym obraz pozostawał nienaruszony: drogą między dwoma szeregami domów podążały syte stada. Towarzyszyły im kobiety w chustkach i rozdeptanych butach albo dzieci. Ani samotne wyspy industrialu, ani porozrzucane tu i tam bezsenne metropolie, ani pajęczyna dróg czy linii kolejowych nie potrafiły ukryć starego jak świat obrazu. Ludzkie łączyło się ze zwierzęcym, by wspólnie przeczekać noc. Łączyło się, chociaż nigdy nie zostało rozdzielone.

Nie będzie żadnego cudu, pomyślałem, wrzucając jedynkę. We wstecznym lusterku widziałem rozkołysane zady. Nie było już much i ogony zwisały bezczynnie. To wszystko będzie musiało zginąć, żeby przetrwać choć w szczątkowej formie. „Gorsze i mniejsze” narody żyją ze swoimi zwierzętami i razem z nimi chciałyby zostać zbawione. Chciałyby być uznane ze swoimi trzodami, ponieważ niewiele więcej mają. Granatowa otchłań bydlęcych oczu jest jak lustro, w którym widzimy siebie jako ożywione mięso, obdarzone jednak pewnym rodzajem łaski.

Dojechałem do szosy i skręciłem w lewo. Chciałem wydostać się serpentynami na główny grzbiet Słonych Gór, zanim zajdzie słońce. Było pusto i zimno. Nic nie jechało. W Tyrawie mgły mieszały się z dymem z kominów. Tutaj wieczór trwał już w najlepsze, ale po pięciu minutach jazdy niebo raptem pękło i wypłynęła z niego świetlista czerwień. Zostawiłem auto na zasyfionym parkingu i poszedłem na skraj urwiska. Szosa do Sanoka była szara jak popiół. W Załużu zapalały się pierwsze światła. Słabe, ledwo widoczne, jak ukłucia igły. Mgliste dno doliny kryło kształty domów i zagród, jakby nigdy nikogo tam nie było. Za to Karpaty stały całe w ogniu. Pozioma rana zachodu ciągnęła się wzdłuż horyzontu.

Całe południe wyglądało jak świeżo rozcięte mięso, jak świetlisty szlachtuz.

Przypomniała mi się podróż z Klużu do Sighişoary. Jechaliśmy pociągiem. W przedziale siedział japoński

kolekcjoner ludowych strojów ze swoją rumuńską przewodniczką; gdzieś za Apahidą zaczęła się trawiasta pustynia. Nigdy wcześniej nie widziałem tak nagiej ziemi. Łagodne wzgórza ciągnęły się po horyzont. Czasami pociąg wspinał się trochę wyżej i wtedy było widać, że za tym horyzontem jest następny taki sam i jeszcze jeden, i jeszcze. Bezdrzewna i bezludna przestrzeń miała szarożółtą, wyschniętą barwę czegoś, co czeka na pożar, na jedną zapałkę. Tam nie było nic. Czasami migały jakieś odległe zabudowania, chałupa z przylepionym chlewikiem, szopa na siano, a potem znowu otchłań powietrza i pofałdowana ziemia. Pojawiały się małe stada owiec. Towarzyszył im zawsze jeden człowiek, nie większy od szpilki. Pod rozpalonym niebem, na spopielonej upałem ziemi wyglądali jak zbłąkani w jakichś oślepiających zaświatach. Szli znikąd donikąd. Wśród kruchych traw żyły tylko muchy, ptaki i jaszczurki. Ziemia wydzielała upał i pył.

Teraz jest mokry, bezśnieżny grudzień i mapy pogody mówią, że sięga aż tam. Niebo jak wypełniona wodą płachta zwisa nad Erdely i wzgórza zamiast kurzu pokrywa błoto i zgniła trawa, a ja chciałbym tam być i powtórzyć tę letnią drogę, tym razem wysiadając gdzieś w Boj-Cătun z dziesięcioma rumuńskimi słowami w głowie i pięcioma węgierskimi. Nie pamiętam nawet tej stacji — tak była mała i beznadziejna. Niewykluczone, że składała się jedynie z blaszanej tablicy przy torze i tyle. Ale chciałbym się tam znaleźć 14 grudnia bez konkretnego planu, ponieważ już

dawno przestała obchodzić mnie przyszłość i coraz bardziej pociągają miejsca, które przypominają jakiś początek, a w każdym razie takie, gdzie smutek ma siłę przeznaczenia. Jednym słowem gówno mnie obchodzi, dokąd zmierzamy, a ciekawi tylko to, skąd się wzięliśmy. No więc dziesięć słów po rumuńsku, pięć po węgiersku, stacja Boj-Cătun i — powiedzmy — milion lei w małych nominałach, żeby zobaczyć pustkę pomiędzy niebem i ziemią, w której brną czarne bawoły. Pięćset kilometrów do Wiednia, osiemset do Monachium, tysiąc osiemset do Brukseli, wszystko pi razy oko, w przybliżeniu i w linii powietrznej. To powietrze jednak gdzieś pęka po drodze i rozsuwa jak płyty tektoniczne rozdzielające kontynenty. Tak, trochę pieniędzy, dobre buty, coś od deszczu, bihorska palinka w plastikowej butelce i czułbym się całkiem dobrze, ponieważ prześladuje mnie wizja tych wzgórz, prześwituje przez wszystkie pejzaże, jakie ostatnio oglądam, ponieważ gdzieś między Valea Florilor a Ploscoş uwierzyłem na nowo, że człowiek ulepiony został z błota. Nic innego nie mogło się wydarzyć w takim krajobrazie, a jego smutek wynika tylko z tego, że owo zdarzenie nigdy się już nie powtórzy.

„Mój kraj! Za wszelką cenę chciałem się z nim związać — i nie miałem z czym. Ani w jego teraźniejszości, ani w czasie przeszłym nie znajdowałem niczego rzeczywistego. (…) Moja miłosna i obłąkana nienawiść nie miała, by tak rzec, obiektu; albowiem od siły mego spojrzenia mój kraj się rozpadał. Chciałem, by był potężny, nieumiarkowany i szalony niczym jakaś zła siła, fatalność wstrząsająca

światem, a on był mały, skromny, bez żadnych przymiotów składających się na przeznaczenie”. Tak pisał Emil Cioran w roku 1949, wracając pamięcią do swojej przygody z Żelazną Gwardią.

Krowy pogubiły się gdzieś w lesie. Porykują w grudniowym półmroku. Romania Mare, Wielka Serbia, Polska od morza do morza... Cudownie durna fikcja tych krain. Beznadziejny smutek tęsknoty za tym, co nie bardzo było, za tym, co być nie mogło, i zasmarkany żal nad tym, co jest. Zeszłego lata w Starej Lubowni u stóp zamku podsłuchiwałem rozgdakaną polską wycieczkę. Przewodził grupie czterdziestoletni na oko bęcwał w papuzich gorteksach i polarach. Walił w wierzeje zamkniętego już o tej porze muzeum. W końcu kopnął we wrota i oznajmił towarzystwu: „To powinno być znowu nasze albo węgierskie. Wtedy byłby jakiś porządek!”.

Tak. W tej części świata wszystko wszędzie i zawsze powinno być inaczej. Wynalazek map dotarł tu przedwcześnie albo zbyt późno.

Piję mocną kawę i myślę wciąż o rozdartym sercu Emila Ciorana w trzydziestych latach. O jego szaleństwie, o jego rumuńskiej dostojewszczyźnie. „Codreanu był w rzeczywistości Słowianinem w istocie kojarzącym się z ukraińskim atamanem” — powie po czterdziestu latach. Ach, te bezlitosne umysły. Najpierw pustoszą świat niczym płomień albo trzęsienie ziemi i gdy wszystko spłonęło i rozpirzyło się w drobne chujki, gdy wokół nie ma już nic poza pustynią, pustką i otchłanią sprzed stworzenia,

wówczas porzucają zdobytą właśnie wolność i oddają się żarliwej wierze w sprawy i rzeczy beznadziejne i przegrane. Zupełnie tak, jakby bezinteresowną miłością próbowały odkupić zwątpienie. Samotność wyzwolonego umysłu jest wielka jak niebo nad Siedmiogrodem. Myśl błądzi w niej jak bydlę w poszukiwaniu cienia albo wodopoju.

W końcu jednak powrócił do Răşinari. Przed domem, w którym się urodził, stoi jego popiersie. Dom jest w kolorze spłowiałego różu. W szczytowej ścianie od ulicy ma dwa okna z okiennicami. Fasadę zdobią białe gzymsy i pilastry. Samo popiersie stoi na niewysokim postumencie. Twarz Ciorana oddana jest werystycznie i nieporadnie. Mógł ją wyrzeźbić ludowy artysta, naśladujący salonową sztukę. Dzieło jest „małe, skromne i bez żadnych przymiotów”, poza podobieństwem do pierwowzoru, lecz pasuje do tego wiejskiego placyku. Obok codziennie przechodzą stada krów i owiec. Zostawiają za sobą woń i ciepło. Ani daleki świat, ani Paryż nie odcisnęły na tej twarzy żadnego śladu. Jest po prostu smutna i zmęczona. Podobni mężczyźni zasiadają w knajpie koło fryzjera i przy sklepie pod winoroślą. Wszystko wygląda tak, jakby ktoś tutaj spełnił jego marzenie albo ostatnią wolę.

„Acel blestemat, acel splendid Răşinari”.

NASZ BAT’KO

No i tak to wygląda: co chwila się zbacza, potyka, zawraca, nici z czystej geografii, guzik ze spojrzenia uwolnionego od refleksji. Nic nie jest takie, jakie wydaje się na pierwszy rzut oka, wszędzie tkwią zadry znaczeń, o które myśl zaczepia się jak gacie o kolczasty drut. Nie można zwyczajnie, ot tak sobie, napisać, że granicę w Serecie przekroczyliśmy w nocy na piechotę, a rumuńscy strażnicy, którzy trzymali w szachu całe przejście i pięć autobusów z dziesięcioma tonami kontrabandy, nas po prostu puścili, śmiejąc się rubasznie i dobrodusznie. Po drugiej stronie była tylko noc. Czekaliśmy, aż od Ukrainy coś nadjedzie i nas weźmie, ale nie jechało nic a nic. Ani starej łady, ani dacii. Dziwnie jest znaleźć się w obcym kraju po północy, gdy za cały widok ma się tylko ciemność. Gdzieś z boku coś pełgało. Za szybą poruszały się cienie, więc poszliśmy tam, bo o tej porze człowiek robi się podobny do ćmy i ciągnie do jakiegokolwiek światła. W przygranicznej knajpie siedziało przy stoliku dwóch facetów. Grali w jakąś dziwną grę przypominającą domino. Chcieliśmy kawy. Barman zrobił ją w rondelku na elektrycznej maszynce. Była dobra i mocna. Usłyszał, że mówimy po polsku, i też próbował, ale zrozumieliśmy tylko „babka” i „Wrocław”. Pytaliśmy o autobus albo cokolwiek, ale on rozkładał ramiona i mówił coś w rodzaju „dimineaţă

tirg in Suceava”. W tym sinym i mokrym od oddechów świetle pierwszy raz piłem bihorską palinkę. Była gorsza od wszystkich węgierskich, ale rozgrzewała, poza tym chciałem wziąć coś więcej niż tylko kawę, skoro facet miał babkę z Wrocławia. Potem znów wyszliśmy na trasę, lecz nic się nie zmieniło. Jarzeniowa łuna stała nad granicą, a na południu ciemność tężała jak czarny tusz. Godzinę przed świtem pod knajpę zaczęły zajeżdżać samochody. Stawały i czekały na tamte autobusy uwięzione między szlabanami, czekały na towar. Podjechała dacia z tyłkiem szorującym po asfalcie. W środku siedziało czterech facetów. Kierowca wysiadł i powiedział: „Suceava zece dolar”. Chwycił nasze plecaki, wrzucał na dach auta i próbował czymś przywiązywać. Zapytałem, kurczę, jak sobie to wyobraża, i pokazałem na stłoczonych we wnętrzu facetów. Uśmiechnął się i zaczął klepać po kolanach, że niby jedno na drugim i jakoś się zmieścimy. Był w bardzo dobrym humorze i trochę od niego zalatywało. M. zaczęła wołać, że nic z tego, że nie ma ochoty rozwalić się gdzieś po drodze, nie widząc nawet kawałka zielonej Bukowiny. No i rozwiązaliśmy te sznurki i ściągnęliśmy bagaże z dachu. Kierowca zrobił się smutny i powiedział „cinci dolar”. „Eu nu merg”, powiedziała M., i zostaliśmy sami na zimnym wietrze ciągnącym od Czerniowców.

Gdy niebo zrobiło się jak atrament, podjechał czerwony passat kombi i facet powiedział, że „cincisprezece dolar”, i nie wybrzydzaliśmy, bo bryczka była pusta, wielka i ciepła. Cóż to jest cincisprezece za pięćdziesiąt kilometrów nad

ranem po nieprzespanej nocy. Wystartowaliśmy, jakby nas diabeł gonił. Przed nami była mgła. Facet gadał i gadał. Mieszał rumuński, rosyjski i niemiecki. Próbował po polsku. Zjeździł Europę razem z Warszawą. Mówił, że nas zawiezie i wróci, bo tamci w końcu puszczą te autobusy z towarem i tuż za szlabanami zacznie się handel, że hej! Nigdy jeszcze nie było tak, żeby nie puścili, i on załaduje swojego passata po dach tymi rowerowymi kołami, oponami, kartonami proszków do prania, stosami czekoladowych tabliczek, czapkami-uszankami w środku lata, bo teraz najtańsze, i resztą bogactw ukraińskiej ziemi. Zawiezie nas i wróci, a potem znowu z powrotem do Suczawy na to wielkie targowisko niedaleko cuchnącej kwasem siarkowym fabryki, na ten plac po horyzont pokryty brezentowymi dachami straganów. Mówił i mówił, a w światłach raz po raz widzieliśmy lśniące oczy koni ciągnących niewidzialne furmanki ze śpiącymi woźnicami. Mówił, a mnie kleiły się oczy. T. odwrócił się i powiedział: „Popatrz na kierownicę”. Znów mijaliśmy jakiś enigmatyczny zaprzęg i facet wykonał dobre pół obrotu, zanim auto zaczęło skręcać. Szybkościomierz był zepsuty, ale miałem pewność, że pedał gazu jest przy podłodze. Opuściłem więc powieki i słuchałem europejskiej legendy: Berlin, Frankfurt, Kijów, Budapeszt, Wiedeń.

Suczawa wyglądała jak ultramarynowy cień. Śmignęliśmy przez wiadukt. Główny dworzec był w remoncie, więc pojechaliśmy na Gara Suceava Nord, bo chcieliśmy bez odpoczynku ruszyć dalej na południe wzdłuż Seretu i

dopiero gdzieś w Adjud skręcić na zachód, porzucić Mołdawię i znaleźć się w Siedmiogrodzie. Taki mieliśmy pomysł. Jechać i jechać, śpiąc w pociągach, które miały podjeżdżać na życzenie i zabierać nas tam, gdzie chcemy.

Gara Suceava Nord był wielki jak zbocze góry i ciemny. Wchodziło się niczym do jaskini. Żółte światło ledwo rozpraszało mrok. Szliśmy przez tłum. Tłum o czwartej rano to jest dziwna rzecz. Wyglądało to jak ciżba lunatyków. Ci, którzy stali albo poruszali się, mieli otwarte oczy, ale to wcale nie zmieniało wrażenia, że śpią. Byli żywi, ale jak zaczarowani. Tak działało to cierpiące na bezsenność światło, które sączyło się nie wiadomo skąd. Może z niewidocznego sklepienia, może ze ścian, a może z ludzkich ciał. W każdym razie było go za mało, by uwierzyć w realność tych wszystkich ledwo żywych, powolnych, wpół urwanych scen w dworcowym wnętrzu. Ktoś tu nie istniał: albo my, albo oni.

W każdym razie żaden pociąg nie odjeżdżał o tej porze na południe, a my nie mieliśmy sił, żeby czekać. Wyszliśmy przed dworzec. Taksówki stały w rzędzie. Kierowcy rozmawiali i palili papierosy. To były głównie dacie i ze dwa stare jak świat mercedesy. Pomyślałem, że zamiast koleją, wybierzemy się autem i przez przełęcz Petru Vodă, przez wąwóz Bicaz, przez przełęcze Bicaz i Bucin pokonamy główny grzbiet Karpat, by znaleźć się wreszcie w sercu Transylwanii. Lecz taryfiarze otwierali szeroko oczy, gdy słyszeli „Tîrgu Mureş”, i kręcili głowami, słysząc „Sighişoara”. To tylko trzysta kilometrów, mówiliśmy, ale

oni rozkładali ręce i kopali przepraszająco w opony swoich aut, bo nie wierzyli, że którekolwiek z nich wespnie się tak wysoko, a potem cało i zdrowo wróci. Tylko jeden, ten od starego zielonego merca-beczki, włożył ręce do kieszeni, splunął i powiedział: „două sute dolar”. Wtedy zrozumieliśmy, że biorą nas tutaj za wariatów. Młody szczupły chłopak powiedział, że zawiezie nas do hotelu, żebyśmy się wyspali. Daliśmy się jak dzieci zapakować do czerwonej dacii. Nie mieliśmy sił. Powiedzieliśmy: hotel Socim, a on, że nie radzi, lecz byliśmy głupi i uparci, bo wydawało nam się, że facet chce nas ostrzyc na kasę. Uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć: „Pan Jezus was opuścił”, ale pomógł załadować bagaże i powiózł w świtające miasto. Wziął tyle, ile było na liczniku, i na koniec obiecał, że jak zadzwonimy, to po nas przyjedzie.

Ach, co to było za przebudzenie przy strada Jean Bart 24. Sufit wisiał tak nisko, że z trudem można było usiąść na łóżku. Na wszelki wypadek więc nie wstawałem, tylko słuchałem, jak tuż za oknem jadą jedna za drugą wielkie ciężarówki. Jechały jak pociąg. Bez przerwy. Nie dało się zamknąć okna, bo w środku robiło się jak w piecu. Przy otwartym zresztą było tak samo. W pokoju stały tylko łóżka i szafa. Bałem się ją otworzyć. Z korytarza dobiegały dziwne odgłosy. Bałem się wyjść. W końcu jednak wyszedłem, żeby poszukać łazienki. Z okna w korytarzu zobaczyłem pranie na sznurach, blokowisko, szopy, komórki i pasącego się białego konia. W łazience sprzątaczka krzyknęła ze strachu na mój widok i wylała wiadro z brudną

wodą. Nie miało to żadnego znaczenia, ponieważ na podłodze leżały drewniane kratki — takie jak w koszarach i więzieniach. Ale było chłodno i cicho.

Nie pospaliśmy dłużej niż trzy godziny. Na ulicy było tak samo upalnie jak w środku. W nieruchomym powietrzu wisiał kurz. W cieniu betonowych schodów siedziały paroletnie dzieciaki. Odprowadziły nas wzrokiem. W barze na rogu pachniało jedzeniem. Wzięliśmy zabielane flaki na kwaśno z czosnkiem. Do tego była bułka i ostra zielona papryka, od której pot występował na skórę. Zadzwoniliśmy, i ten facet rzeczywiście po nas przyjechał. Znów był żywy, ruchliwy i zadowolony, że może nam pomóc. Spytaliśmy go, czy spał. Odpowiedział, że nie. Spojrzał na drzwi hotelu Socim, ale był delikatny i nie robił uwag. Powiedzieliśmy, że musimy zdobyć bilety na pociąg, wymienić pieniądze i wieczorem być w Klużu. Na wszystko odpowiadał „no problem”. Ładował nasze plecaki do bagażnika, klapa się nie domykała, czymś ją tam przywiązał i ruszyliśmy, zostawiając za sobą na zawsze strada Jean Beart 24. Rzeczywiście, dla niego nic nie było „problem”. Znalazł kantor z najlepszym kursem. Zanim odszedłem od okienka, zabrał mi plik banknotów, skrupulatnie przeliczył i dopiero wyszliśmy. W rumuńskim Orbisie stała kolejka na dwie godziny. W ogóle się nie poruszała. Komputer na biurku kasjerki był ciemny i niemy. Gdy ktoś rezerwował sobie miejscówkę, kobieta dzwoniła na wszystkie kolejne stacje i zgłaszała rezerwację. Chcieliśmy wychodzić. Pociąg mieliśmy za pół godziny, było nam wszystko jedno, czy

pojedziemy na gapę, czy w lokomotywie, byle się ruszyć z rozpalonej Suczawy. Nasz taryfiarz powiedział jednak coś w rodzaju rumuńskiego spoko i po prostu stanął na początku kolejki, wygłaszając jakąś przemowę do ludności. Dziesięć minut później gnaliśmy przez miasto z kieszeniami pełnymi małych zabytkowych biletów z brązowego i zielonego kartonu. Wszyscy na nas trąbili, ale my też trąbiliśmy na wszystkich. Czerwona dacia brała zakręty jak straż pożarna. Nasz nowy kolega prowadził jedną ręką, a drugą szukał muzyki w radiu. Na Gara de Nord byliśmy pięć minut przed odjazdem. Chcieliśmy biec do pociągu, ale facet powiedział, że to przecież daleko i długo, a my nie mamy nic do jedzenia ani picia. Kolejka do dworcowego kiosku była jak pół tej po bilety, ale on po prostu wszedł do tej szklanej budki i pytał nas przez okienko, ile chcemy piwa, mineralnej i z czym kanapki, a jednocześnie przytulał i całował młodą sprzedawczynię w białym czepku. Tak było, nic nie poradzę. Dziewczyna wzięła pieniądze, wydała resztę i byliśmy na peronie akurat, żeby się pożegnać i uściskać. Facet wziął tyle, ile pokazywał licznik.

No więc jechaliśmy na południowy zachód: Gura Humorului, Cîmpulung Moldovenesc, Vatra Dornei, w głąb zielonej Bukowiny, pomiędzy lesiste góry, i nic właściwie nie pamiętam z tej podróży, więc muszę wszystko wymyślać na nowo. Gruby facet w przedziale rozpierał się na półtora miejsca i wcale mu się nie podobaliśmy. Miał koło sześćdziesiątki, był odpasiony i pewnie wspominał lepsze czasy, gdy panował porządek i żadna zagraniczna hołota nie

włóczyła się samopas i nie piła w pociągach piwa ursus. W każdym razie taką miał minę. Teraz muszę sobie to wszystko przypominać, wymyślać od nowa jego szary garnitur i bordową koszulę, którą zdjął przed Vatra Dornei. I niebieski ręcznik, który przewiesił sobie przez kark. Poszedł do toalety w białej podkoszulce, a jego ramiona były tłuste, ciężkie i bezwłose. No więc muszę to wszystko wymyślać od nowa, bo przecież coś musiało się dziać przez cały ten długi dzień aż do wieczora w Klużu, gdzie padało tak, jak pada dziś. Wszystko trzeba wymyślać od nowa, ponieważ dni nie mogą przepadać w przeszłości, wypełnione jedynie pejzażem, nieruchomą, niezmienną materią, która w końcu strząśnie nas ze swojego cielska, strzepnie jak te wszystkie drobne incydenty, te twarze oraz istnienia nie dłuższe niż jedno spojrzenie. W każdym razie ten stary mężczyzna wrócił i zapadł w drzemkę, chociaż mieliśmy nadzieję, że myje się przed wyjściem, a nie przed snem. Być może wyrusza się w podróż po to, by nieść ocalenie faktom, by podtrzymywać ich wątły, jednorazowy błysk.

W Klużu padało. Przed pizzerią przy dworcu chłopcy w skórzanych kurtkach załatwiali swoje sprawy, a dziewczyny kibicowały. Wszystko odbywało się tak samo jak na całym świecie: w końcu dwóch chwyciło trzeciego pod ramiona i powlokło gdzieś w ciemność. Dworzec w Klużu — znowu ciżba, żółtawy półmrok, woń ciał i papierosów. Musieliśmy przestemplować bilety na jutro. Wypatrzył nas w tłumie chłopak. Wypatrzył, że nie jesteśmy stąd i stoimy jak

cielęta, nie bardzo wiedząc, dokąd iść. Wziął od nas te staroświeckie kartoniki i w pięć minut było po wszystkim. Powiedział: „drum bun”, i przepadł między ludźmi jak anioł stróż w rozklapcianych adidasach.

Rano strada Horea lśniła w słońcu. Synagoga niedaleko mostu na Samoszu miała cztery wieże zwieńczone blaszanymi kopułami. Wyglądała jak ta w cygańskiej dzielnicy w Spiskim Podgrodziu. Była tylko większa. Na śniadanie jedliśmy jak zwykle ciorbă de burtă. Z bułką i papryką. Gdzieś niedaleko węgierscy panowie spalili na stosie Jerzego Dożę. Poćwiartowali potem to, co zostało, i rozwiesili na bramach Budy, Pesztu, Alba Iulii i Oradei. Głowę dostał Szeged. Tak zazwyczaj kończą „chłopscy królowie”. Nawet gdy stoi za nimi kilkudziesięciotysięczna armia, a papież błogosławi na ostatnią i niezrealizowaną krucjatę przeciw Turkom. Siedziałem w knajpie przy ulicy jego imienia — strada Gheorghe Doja — piłem kawę i za dwie mniej więcej godziny miałem zobaczyć z okien pociągu trawiastą pustynię Siedmiogrodu, gdzie pięćset lat temu maszerowały jego chłopskie oddziały. Tak było. W przedziale jechał ten Japończyk od ludowych strojów kobiecych, w które — jak twierdził T. — przebierał się potem przed lustrem w swoim Tokio albo Kioto.

Jego przewodniczka opowiadała, że Ceausescu zjednoczył rumuński naród, czyniąc wszystkich tak samo winnymi, i jeśli ktoś mówił, że nie brał w tym udziału, to po prostu kłamie, a ja patrzyłem na wypalone wzgórza i próbowałem sobie wyobrazić oddziały lekkiej konnicy, ciemne, ruchliwe

punkciki na horyzoncie, które zjawiają się i nikną, i znowu zjawiają zgodnie z rytmem wzniesień. Próbowałem sobie wyobrazić ten śmiertelny karnawał biedaków. Przemierzali swoją ziemię po raz pierwszy i ostatni jako wolni ludzie. W zdobycznych pańskich strojach, ze zdobyczną pańską bronią, na pańskich koniach ciągną pod Kluż, pod Timiszoarę, by w lipcowym słońcu ponieść ostateczną klęskę. Pięćdziesiąt tysięcy ściętych, powieszonych, zostawionych ptakom i rzuconych psom. Kruki ściągają z Karpat, z Niziny Węgierskiej, z Mołdawii i Wołoszy. Upał przyspiesza rozkład i zaciera ślady. Nic nigdy nie zostaje po rebeliach nędzarzy. Dożę spalono podobno na błazeńskim tronie z błazeńskim berłem w dłoni. Tak przynajmniej twierdzi Sandor Petofi.

No więc jechałem, patrzyłem w okno i wyobrażałem sobie obdartą i ekstatyczną armię poganiaczy bydła, pastuchów i chłopów, która próbuje chociaż na chwilę sięgnąć po los swoich panów, czyli zarządzać własnym życiem, cudzym bogactwem i przemocą. Parę miesięcy wcześniej szukałem grobu Jakuba Szeli na Bukowinie. Pytałem to tu, to tam, bo potrzebowałem pretekstu, by wybrać się na koniec świata. Jedni mówili, że leży w Clit, inni, że przy samej ukraińskiej granicy w Vicşani.

Wierzyłem jednym i drugim. Zacząłem nawet myśleć, że Austriacy postąpili z nim trochę jak węgierscy panowie z Dożą, czyli rozczłonkowali pamięć po nim, pamięć, która wtedy w każdej chwili mogła okazać się groźna. W końcu — jak twierdził Ludwik Dębicki — „zdawał się być mistykiem i

sekciarzem w siermiędze”. Ze wszystkich ewentualnych miejsc pochówku najbardziej podobało mi się Vicşani, chociaż było zupełnie nieprawdopodobne: zagubione wśród pól, odległe od świata i zabite deskami. Dalej po prostu nie było nic, nic nie było w żadną stronę. Bezmiar bezdrzewnej ziemi, którą jednak ktoś to tu, to tam uprawiał, stał w karkołomnej sprzeczności z tą wioszczyną, gdzie nie dostrzegłem żadnej maszyny poza jednym rowerem. Nasze auto wyglądało tu jak horrendum, jak wyzwanie. To był fragment tej wyżyny między Radowcami i Suczawą, gdzie wśród bezkresnych sfałdowanych pól poruszały się maleńkie konne zaprzęgi. Świeżo zaorana czarna ziemia łączyła się od razu z niebem i te maleńkie figurki, chude żylaste koniki, były prawie niewidzialne z racji własnej znikomości. Wydawało się, że gdy staną, gdy się zatrzymają, stracą ostatnią rację istnienia. Tylko ruch nadawał im jeszcze jakikolwiek sens. Wszystko wyglądało na jakiś kaprys. W gigantycznym pejzażu ktoś ustawił dziecięce zabawki, by sycić się bezradnością figurek z bożonarodzeniowej szopki.

Wieś pachniała gnojem i wiosną. Za płotami kwitły sady. Cooperativă mieściła się w ceglanym budynku. Ubrany na czarno chłopak powiedział nam, że mają tam piwo. Dziewczynę z kluczami znaleźliśmy w gospodarstwie obok. Otworzyła nam. Pytaliśmy o Szelę, o to, że podobno gdzieś tutaj jest pochowany, ale nie wiedziała nic, nie znała chyba nawet nazwiska, chociaż była Polką. W środku było parę stolików i jakiś dziwny bałagan, jakby ktoś ustawił

dekoracje do filmu. Wnętrze miało szarozielony odcień. Na podłodze stały drewniane skrzynki — takie, w jakich rozwoziło się kiedyś szklane syfony z wodą sodową — tyle że wypełniały je półtoralitrowe butle z winem. Dwa rodzaje piwa, dwa rodzaje papierosów i popielniczki pełne niedopałków jak po przyjęciu. Do tego propagandowe plakaty na ścianach i okno wychodzące na obejście, gdzie wałęsały się różowe prosiaki — to wszystko. Tych parę rzeczy, sprzętów i towarów składało się jednak na niebywały chaos. Wszystko wyglądało jak porzucone w pół czynności, zaniechane, jakby właśnie tutaj, w tym miejscu, wyczerpała się energia świata. Wypiliśmy po piwie. Dziewczyna była milcząca, ale w końcu powiedziała, że zaprowadzi nas na stary cmentarz za wsią i może to tam. Ale tam były tylko kępy kolczastych zarośli i ani śladu nagrobków, płyt, krzyży, czegokolwiek, żadnych znaków minionej śmierci. Pomyślałem, że jednak szkoda, że powinien leżeć właśnie tutaj i któregoś dnia zmartwychwstać. Nie trzeba wielkiej wyobraźni, by zobaczyć, jak wchodzi do cooperativy, której wnętrze nie budzi w nim zdziwienia, ponieważ nieruchomość, smutek i opuszczenie nie zmieniają się ani w czasie, ani w przestrzeni. Tak samo musiało być w karczmie Żyda Semka w Siedliskach w 1846 roku 20 lutego. Na polach leżał śnieg, był mróz, wewnątrz panował półmrok i unosił się smród brudnych rozgrzanych ciał. „Idźcie, chłopcy, do roboty, a spieszno, bo czas mija”. Miał na sobie swój czarny sukienny płaszcz, w ręku zdobytą na Boguszach szablę,

którą postukiwał o ziemię jak kosturem. Na dziedzińcu dworu krew wsiąkała w śnieg. W powietrzu czuć było wódkę z rozbitych beczek. Austriacy zrobili go chłopskim królem tylko na czas dwudziestu czterech godzin, a dzień powoli się kończył. „Idźcie, chłopcy, do roboty, bo czas mija”. Przeklęta pańska krew wsiąkała w śnieg, miał zdobyczną szablę, chłopcy w kieszeniach pobrzękiwali dukatami, ale ani półmrok, ani smród nie rozwiały się nawet na trochę. Starosta Breinl powiedział mu w Tarnowie: „Arcyksiążę Ferdynand jeden, a ty drugi jesteś w Galicji plenipotentem”. Niektórzy utrzymują, że planował małżeństwo z dziesięcioletnią Zosią Boguszówną. Chamska krew miała się połączyć z pańską i dać początek nowemu plemieniu, które weźmie w posiadanie odnowioną ziemię. Możliwe, że nie wierzył we własne siły, możliwe, że projekt nowego świata miał polegać na powtórzeniu pańskich gestów w pustej abstrakcyjnej rzeczywistości, która nie stawi już żadnego oporu.

No więc mógłby wstać z grobu i wejść do cooperativy we wsi Vicşani, a wszystko byłoby tak, jakby nigdy nie umarł, bo cooperativă zapewne niewiele różniła się od karczmy Żyda Semka. Mógłby po półtora wieku wszystko zacząć od początku już bez austriackiego błogosławieństwa. Tak sobie myślałem, stojąc w południowym słońcu. Przejechałem kilkaset kilometrów i miałem prawo do takich myśli. W dodatku przyjechałem z jego rodzinnych stron. Patrzyłem w stronę Mołdawii i zastanawiałem się, czyją krew chciałby przelać dzisiaj, z czyją krwią chciałby zmieszać swoją. W

cooperativie ciężko i wolno krążyły muchy. Na półce stały dwa gatunki najtańszych papierosów. Wokół nie było żadnych panów, lecz powietrze wewnątrz miało ten sam duszny smak nędzy. Myślałem sobie: siedzisz tu, Szela, pijesz ursusa albo silvę i nie masz komu rzucić się do gardła. A jeśli nawet spróbujesz, to świat rozstąpi się przed tobą jak zjawa i w rękach zostanie pustka. Tak, gówno im zrobisz, bo nie ma komu. Możesz najwyżej wybrać się do Suczawy i niczym jakiś postindustrialny Ned Ludd rozpirzyć błękitny bankomat, tak jak tamten dwieście lat temu niszczył pierwsze wielkoprzemysłowe maszyny. Dzisiaj nie można już stać się kimś innym przez prosty transfer rzeczy czy przedmiotów. Na dobrą sprawę nie ma też kogo zabić z nadzieją, że wejdzie się w jego ciało i życie. Bogactwo jest nieuchwytną ideą, która krąży w powietrzu, by od czasu do czasu tu i tam się zmaterializować. Natomiast nędza, odrzucenie i upadek są konkretem, i pewnie już tak zostanie. Wszystkie skarby świata wyglądają dzisiaj na nieco niczyje i żadna grabież cię nie uświęci ani żaden gwałt nie uszlachci. Zostaje ci tylko bankomat w Suczawie jako realna emanacja dalekiego wszechwładnego zła, które nigdy nie pozwoli, by ostatni byli pierwszymi.

Tak przemawiałem do ducha Jakuba Szeli na skraju Europy w opłotkach wsi Vicşani. Ogarniały mnie lewicowe myśli, ale nie miałem za grosz rewolucyjnego zapału. Kilometr dalej, w szczerym polu, przy drodze, siedział mężczyzna i czytał gazetę. Jak okiem sięgnąć nie było nic, a on ledwo podniósł wzrok na nasze auto i zaraz powrócił do

lektury. Jechaliśmy na południe, do wsi Clit, żeby sprawdzić kolejne domniemane miejsce pochówku. To by się nawet zgadzało, bo Clit leżał o parę kilometrów od Solki, gdzie już po wszystkim zesłali go Austriacy. Na skrzyżowaniu za Radowcami stał rumuński glina. Po prostu stał na środku skrzyżowania. Na widok naszego samochodu odwrócił się demonstracyjnie i patrzył gdzieś w dal. Wyglądało to na gest sympatii.

Udawał, że nas nie widzi, ponieważ stanowiliśmy oczywiste wyzwanie. On nas zwyczajnie nie chciał zatrzymać, chociaż prawie na pewno powinien.

W Clit mówili dziwnym językiem. Przypominał ukraiński, ale rozumiałem co piąte słowo. Zapytałem kobiety w chustce, czy to ukraińska wieś. „My Ruskie”, odpowiedziała. Pytaliśmy o Szelę, o to, czy tutaj albo gdzieś w okolicy słyszała o takim nazwisku. Pokręciła głową, a potem powiedziała, że zaprowadzi nas do najstarszego człowieka we wsi. Droga była sucha i pylista. Drewniane domy miały biało-zielone ściany i okiennice. Na ziemię sypały się różowe i białe płatki kwitnących jabłoni. Gdzieś w oddali połyskiwała tafla stawu. Gęsi szły w tamtą stronę całkiem samodzielnie. Z cienia i kurzu wyszedł mężczyzna w spranych drelichach. Wcale nie wyglądał tak staro. Długo się zastanawiał, kazał sobie powtarzać nazwisko, a potem sam nas zaczął wypytywać, kto zacz cały ten Szela: czy to jakiś nasz „bat’ko”? — Trochę tak jakby — odpowiadaliśmy wymijająco. Na koniec dał za wygraną i powiedział, że jest tu taki jeden, nie tak stary wprawdzie, ale bywały w

świecie, niedawno wrócił z Niemiec, i może on coś poradzi. Starzec wywołał go z przydrożnej knajpy. Mężczyzna miał może czterdzieści lat i ubrany był w kombinezon z napisem „Esso”. P powiedział, że Esso to już prawie Shell i być może jesteśmy blisko. Rozmawialiśmy po rosyjsku, ukraińsku, niemiecku i po polsku, ale stanęło na tym, że wszystko, co mogą zrobić, to pokazać nam, gdzie jest cmentarz. Zaprowadzili nas, życzyli szczęścia, dobrej drogi, zdrowia i zostawili w chłodzie cmentarnych drzew. Stary mężczyzna wolno i ostrożnie schodził ze wzgórza. Młodszy chwilami podtrzymywał go za ramię. Wcale nie musieli tu z nami przychodzić. Mogli nam pokazać pagórek z daleka, ale w tej części świata poszukiwanie czyjegoś grobu jest zajęciem znacznie poważniejszym niż zwykła turystyka i ludzie odnoszą się do tego z szacunkiem. Zdaje się, że wchodząc na ich cmentarz, byliśmy ich gośćmi.

Tak. W Clit też mógłby leżeć. Ze wzgórza roztaczał się widok na białą kopulastą cerkiew i na neogotycki kościół. Jego rodzinna Smarzowa też leżała wśród Pogórza, tyle że doliny były tam ciaśniejsze, a grzbiety porośnięte lasem. Tutaj wszystko było nagie, zaorane albo trawiaste. Niebieski upał smużył się nad horyzontem. Po naszym „bat’ce” nie było śladu.

I nie mogło być, ponieważ podczas podróży historia nieustannie zmienia się w legendę. Stanowczo za wiele zdarzeń na zbyt wielkiej przestrzeni. W dodatku nie miał kto zapamiętać tego wszystkiego, nie mówiąc już o zapisaniu. Nie można poświęcać uwagi zdarzeniom, które

nie wiadomo skąd przychodzą, a ich cel i sens do końca pozostają niejasne. Nikt nie złoży tego w całość, nie skleci skończonej opowieści. Zaniechanie jest sednem tych stron. Historia, zdarzenia, konsekwencja, myśl i plan raz po raz rozpływają się w pejzażu, w czymś znacznie starszym i większym niż wszystkie usiłowania razem wzięte. Czas daje sobie radę z pamięcią. Nie można niczego zapamiętać z pewnością, ponieważ uczynki nie układają się według prawa przyczyny i skutku.

Długa narracja o duchu dziejów wydaje się tutaj pomysłem równie żałosnym i pretensjonalnym, jak napisana po bożemu powieść. Paroksyzm i nuda rządzą na przemian w tych stronach — dlatego te strony są tak bardzo ludzkie. „Czy to wasz bat’ko?”. Czemu nie, pomyślałem. W pewnym sensie i nasz, i wasz. W końcu wcieliło się w niego pragnienie gwałtownej odmiany własnego losu, które tak samo nagle zmieniło się w zgodę na to, co los niesie.

OPIS PODRÓŻY PRZEZ WSCHODNIE WĘGRY NA UKRAINĘ

Nie mogę zapomnieć nieba, gdy o zmierzchu jechaliśmy z Nagykálló do Mátészalka. Pojedynczy wagonik to był cały pociąg. W dodatku pospieszny i z rezerwacją. Tęga kobieta w kasie uśmiechała się i parokrotnie z rozmachem zasiadała na krześle, żeby wyjaśnić nam ideę miejscówki.

Węgierskie bilety kolejowe są piękne. Przypominają małe banknoty. Młodzi Cyganie w pociągu do Szerencs rozwijali je w harmonie, składali w talie i wachlarze. W uszach mieli złote kolczyki, ale to było dwa dni wcześniej.

Teraz od zachodu rozpościerał się purpurowy pióropusz. Płonąca czerwona dłoń wisiała nad równiną, a w dole, wśród kukurydzianych pól i sadów, snuł się już błękitny mrok. Piliśmy aszú z butelki i siedzieliśmy tyłem do kierunku jazdy, więc ten zachód, ta rozlana świetlista krew wciąż były przed nami i widzieliśmy, jak mrok powoli wychodzi z ziemi, wznosi się coraz wyżej, robi się coraz chłodniej, i w końcu wszystko gaśnie, a w czerwonym wagoniku zapalają się światła.

Minęło ledwo pół godziny, a my już wspominaliśmy Nagykalló: gorące światło popołudnia, gdy szliśmy do centrum wśród żółtych domów. Znaleźliśmy ogromny

kościół. Na ławce przed wejściem siedzieli muzycy. Jeden z nich podniósł lśniący puzon i pozdrowił nas. Wszedłem do przedsionka, bo nareszcie chciałem zobaczyć jakiś węgierski kościół, ale wewnątrz był tłum, na przedzie stała młoda para, a przy ołtarzu zobaczyłem pastora. Żadnych organów, żadnych ornatów, tylko Słowo w czystej postaci, tak jak było na początku i powinno być na końcu zamiast tych wszystkich cudowności stworzonych ludzką ręką na człowiecze pocieszenie. Potem orszak wyszedł bardzo wolno, bardzo dostojnie, i tych trzech oczekujących muzyków w białych koszulach — puzonista, akordeonista, gitarzysta — wyglądało bardzo lekko, niemal lekkomyślnie, prawie po katolicku, ale zagrali coś powolnego i tłum niczym procesja ruszył w stronę rynku.

Do Nagykalló przyjechaliśmy, ponieważ — według przewodnika — „na końcu długiego i upiornie pustego placu” miał tutaj stać szpital psychiatryczny. Pomyślałem, że to może być jakaś fizycznie zrealizowana metafora, metafora wschodu Europy. Wyobraźnia podsuwała obraz wielkiego pylistego majdanu okolonego przez rozsypujące się domy. Przez plac od czasu do czasu przeciągają oddziały w najróżniejszych mundurach, ale nigdy nie pozostają dłużej, niż tego wymaga gwałt albo rabunek. Odjeżdżają i rozgrzany kurz równiny natychmiast kryje jeźdźców. Z okien szpitala szaleńcy patrzą w ślad za nimi i tęsknią, ponieważ w tych wschodnich stronach władza, przemoc i obłęd żyły od zawsze w związku przypominającym konkubinat, a czasem wręcz legalne małżeństwo.

Ale nic z tego. Plac nie był pustynią. Był cienistym i chłodnym skwerem. Przed wejściem do szpitala kilku wariatów w szlafrokach paliło papierosy. Nastrój panował raczej sanatoryjny i zwiedziona na pokuszenie wyobraźnia mogła odpocząć.

No więc popijaliśmy aszú i jechaliśmy na wschód. Właściwie uciekaliśmy przed zachodem, przed beznadziejnym Budapesztem, gdzie w najgorszej, ale wysztafirowanej spelunce przy Rakóczi utca kieliszeczek körte palinki kosztował trzy razy tyle, co w Nagykálló, a kawa jeszcze więcej. Uciekaliśmy przed deszczem, bo na Dunaj, na Wzgórze Géllérta, na mosty, na wszystko runęło oberwanie chmury. Ale był dzień 20 sierpnia, dzień świętego Stefana, i mimo deszczu spadochroniarze skakali z legendarnych AN-24, ciągnąc za sobą wstążki dymów w narodowych kolorach: zielonym, czerwonym i białym. Wokół parlamentu stała policja i pilnowała, aby lud nie podchodził za blisko. Strumienie deszczu spadały na wielkie limuzyny, ponieważ przyroda jest demokratką. Na Zoltan utca, koło hali targowej, musieliśmy uciekać, bo całą szerokością chodnika sunęło około pięciuset łyżworolkowców. Wznosili ręce i coś skandowali. Wyglądali jak obce plemię, które przybywa na podbój. „Tak będą wyglądały miasta", powiedziała M. „Żeby przeżyć, trzeba będzie należeć do czegoś takiego. Jak kiedyś. Samotni będą bez szans". „Chyba że ktoś jest jak Snake z *Ucieczki z Nowego Jorku*" , odpowiedziałem. Wszystko było zatkane i nic nie jeździło. Na przystanku dwóch Murzynów

rozmawiało po węgiersku. W kieszeniach i butach chlupała nam woda. Zawodziły syreny, pojękiwały klaksony, blask miasta podwajał się i potrajał, i powoli sami stawaliśmy się fantomami, tracąc wiarę we własne istnienie. Na Dohany utca naprzeciw Wielkiej Synagogi odnalazłem maleńką knajpkę, w której rok wcześniej pewien producent z Izraela opowiadał mi historię o tym, jak lew zjadł rękę własnemu treserowi i film diabli wzięli, bo przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie kręcił komedii z lwem ludojadem w roli głównej. Ale teraz nie było w niej miejsc. Wewnątrz, wśród ścian wytapetowanych gazetami z czasów Franciszka Józefa, panował taki ścisk, że matki musiały trzymać dzieci na rękach, a dzieci zasypiały od dymu i gorących oddechów. Zmęczona barmanka poznała po moich oczach, czego mi potrzeba, i podała nad głowami gości podwójne körte palinki i dwie kawy. Usiedliśmy na zewnątrz pod dziurawym parasolem. Deszcz wpadał do filiżanek i szklanek, a potem, gdy już dochodziliśmy Rakóczi utca do dworca, ujrzeliśmy na jego stopniach wielki tłum. Stali cinkciarze i taksówkarze, stały panienki i kolejarze, stali cwaniacy i sprzedawcy, jednym słowem, stali wszyscy i wszyscy patrzyli gdzieś w dal i w głąb nocy. Wtedy i my się odwróciliśmy. W czarnym i ciężkim niebie nad Dunajem eksplodowały tysiące purpurowych iskier, setki szkarłatnych pająków i miriady złocistych gwiazd. Stłumione ulewą i odległością odgłosy eksplozji docierały z opóźnieniem i spektakl przez to w dwójnasób stawał się nierealny. Seledyn i żółć, turkus i fiolet, szafir i srebro,

szmaragd i kryształ — fikcyjne i chwilowe klejnoty natychmiast gasły w deszczu i ani na jotę nie rozświetlały mroku. Wyglądało to tak, jakby stare Austro-Węgry zdobyły się na jeszcze jeden wysiłek i zza grobu dawały jakieś znaki. Mokra noc przypominała zwariowaną salę balową pełną czarnych, lśniących luster, widmowych żyrandoli, złudnych kandelabrów i kinkietów. Turcy na ulicach wywijali długimi nożami, strugając mięso do kebabów, zagubiony Niemiec z walizką na kółkach mamrotał pod nosem „scheisse, scheisse”, w podziemnym przejściu, zawinięta w kołdry, spała para Cyganów. Obok jego głowy leżał czarny kapelusz, obok jej — porządnie złożona kwiecista chustka.

Wsiedliśmy do pociągu do Nyíregyháza, bo to było najdalej na wschód, i miał jechać aż do rana. Musieliśmy przecież gdzieś spać. Tak. Na południe i na wschód — taki był nieustający plan. Gdzieś koło Hatvan pojawił się konduktor. Próbowałem mu wytłumaczyć, że nie mamy biletów. Miał dwa metry wzrostu, cały czas się uśmiechał i powtarzał, że „kein problem”. Potem za pomocą kartki i długopisu wytłumaczył nam, żebyśmy sobie spokojnie jechali, a on przyjdzie za jakiś czas, może w Fuzesabony, może w Tiszafured, i dopiero tam sprzeda nam bilety, żeby było taniej. Przepadł i zjawił się za pół godziny z przepraszającą miną, że jednak teraz, bo gdzieś w pociągu jest ktoś ważniejszy od niego i może być kontrola. Pięknymi zawijasami wypisał nam kwity.

Znowu mieliśmy ze sobą aszú i nie mieliśmy korkociągu. Konduktor na widok długiej szyjki rozłożył bezradnie ręce,

ale po chwili znów zniknął i wrócił z dziwnym przyrządem do zamykania przedziałów i dziurkowania biletów. Spróbowaliśmy, ale sprzęt był za krótki i korek zatrzymał się w połowie drogi. Na twarzy konduktora pojawił się wyraz bezmiernego zawodu. Znowu zniknął i słychać było tylko odgłos długich kroków w pustym korytarzu. Po paru minutach wrócił rozpromieniony i pociągnął mnie za rękaw. Pomyślałem, że bardzo mu zależy na tym tokaju i zacząłem trochę żałować, bo butelka miała tylko pół litra. Rozprawiał z ożywieniem, prowadząc mnie do kibla, a tam tryumfująco wskazał na sztyft do papieru toaletowego: cienki, długi i mocny. Wepchnęliśmy korek. Westchnąłem i podałem mu flaszkę. — Pij, bracie — powiedziałem po polsku. Wyprężył się służbiście i z powagą wskazał na mundur, na czapkę, na całą swoją urzędowość, a potem poklepał mnie po ramieniu i powiedział coś, co musiało oznaczać „na zdrowie". O świcie znów się pojawił. Był zaspany i powtarzał: „Nyíregyháza, Nyíregyháza". Sprawdził, czy niczego nie zapomnieliśmy, a potem pomachał z okna.

Tak było wszędzie. Tak było w Hidasnémeti na pogranicznej stacji pół godziny od Koszyc, gdzie wysiedliśmy na rozgrzany peron, a słońce staczało się na zachód jak odrąbana kogucia głowa, ciągnąc za sobą pasma czerwieni. Wokół nie było nic, jak okiem sięgnąć. Czarne druty trakcji przepadały w bezkresie suchych wypalonych pól i wiał wiatr. Wokół budynku stacji kręcili się strażnicy w słowackich i węgierskich mundurach. Tak musiały wyglądać dawne granice na peryferiach świata, czyli Europy: pustka,

wiatr i garnizony, gdzie czeka się na coś, może na wroga, i gdy ten latami się nie zjawia, z nudów strzela się sobie w łeb. Nadjechał mężczyzna na rudym ze starości rowerze, a ja znałem na razie tylko jedno węgierskie słowo — nazwę miasteczka Gönc — więc powtarzałem ją w kółko, a on w końcu przykucnął i pisał palcem na piasku godzinę odjazdu pociągu i dotykając mojego plecaka, tłumaczył, że pociąg będzie czerwony, a potem, za pomocą wyciągniętego palca, dawał do zrozumienia, że w dodatku jednowagonowy. Pachniał winem, piwem i papierosami. Wziął swój pojazd i gdzieś znikł, ale po dwóch godzinach wrócił, żeby się upewnić, czy wsiadamy, bo czerwony wagonik już stał.

Tak było i w Gönc, gdzie w środku nocy Cygan ze złotym kolczykiem wiódł nas przez ciemne zaułki wśród sadów i poszczekiwań psów, wiódł nas kilka kilometrów, ponieważ nie mógł zrozumieć, o co go pytamy, a my szliśmy za nim, by na koniec znaleźć się w gwarnej knajpie, gdzie za stołem siedział facet, który jako jedyny w okolicy mówił po angielsku. I dopiero on nam powiedział, że miejscowy pensjonat jest nieczynny, bo właścicielka umarła przed trzema dniami. Ale to nic — dodał, wsadził nas do swojej łady i pognaliśmy setką serpentynami w głąb zemp^ńskich wzgórz. Chwilami daleko i w dole błyskały rtęciowe światła po słowackiej stronie i nad Vel'ką Idą wznosił się trupi industrialny blask. Ale tu, na drodze do Telkibánya, nie było nic prócz zielonych ścian świerkowego lasu. Gabor zawiózł nas do hotelu, który stał gdzieś wśród gór.

Tak. W Telkibánya nie było nic, nic prócz wsi, która stała na swoim miejscu od setek lat. Szerokie, rozsiadłe domy kryły się w cieniu owocowych drzew. Siarkowa żółć ścian, ciemny brąz snycerki, rzeźbione odrzwia, okiennice i werandy trwały w doskonałej symbiozie z ciężką, barokową obfitością ogrodów. Wydawało się, że metafora osiadłości i zakorzenienia zmaterializowała się tutaj w sposób idealny. Nie było ani jednego nowego domu, lecz żaden stary nie wymagał naprawy ani remontu. Byliśmy jedynymi obcymi, lecz nie przyciągaliśmy niczyjego wzroku. Z przystanku w ciągu dnia odjeżdżały cztery autobusy. Czas stapiał się ze słonecznym światłem i koło południa całkowicie nieruchomiał. W gospodzie od rana siedzieli mężczyźni i bez pośpiechu sączyli palinkę na zmianę z piwem. Barman natychmiast rozpoznał we mnie Słowianina i nalewając, mówił „dobre" i „na zdarowie". To było jedno z tych miejsc, gdzie odczuwa się potrzebę pozostania bez wyraźnego powodu. Po prostu rzeczy są tam na swoich miejscach, a ludzie nie podnoszą głosu bez potrzeby ani nie wykonują gwałtownych ruchów. Na zboczu nad wsią bielał cmentarz. Z okien domów snuł się zapach duszonej cebuli. Na straganach leżały stosy arbuzów i papryki. Z piwnicy wyszła kobieta ze szklanym dzbankiem pełnym wina. Ale w końcu wyruszyliśmy z Telkibánya, ponieważ nic tak nie szkodzi utopii jak nadzieja na jej trwałość.

Powrotna droga do Gönc biegła wśród lasów i bezkresnych słonecznikowych pól. Kierowca białej furgonetki mówił bez przerwy i kompletnie się nie

przejmował, że nie rozumiemy. My też mówiliśmy. Słuchał uważnie i odpowiadał po swojemu. W Gönc zatrzymał się przed Domem Husyckim, ale nas nie interesowały zabytki. Chcieliśmy oglądać stare kobiety siedzące przed domami na głównej ulicy. Przypominały wygrzewające się w słońcu jaszczurki. Ich czarne stroje wchłaniały upał południa, a oczy patrzyły na świat nieruchomo i bez zdziwienia, ponieważ widziały już wszystko. Siedziały w gromadkach po trzy, po cztery i w całkowitej ciszy obserwowały upływ czasu. A potem nadjechała lśniąca skoda octavia na słowackich numerach i wysiadła z niej rodzina. Rozglądali się niepewnie i ojciec bez przerwy niczym kwoka zaganiał gromadkę do kupy i słał na boki czujne spojrzenia, bo — jak wiadomo — Słowacy i Węgrzy mają do siebie nieco wzajemnych pretensji, ale tym razem nie chodziło chyba o historię, tylko o intuicję, o instynkt, bo ci przyjezdni byli biali i pulchni jak drożdżowe ciasto, okrągli jak bochenki chleba przebrane z turystycznym sznytem — szorty, białe podkolanówki i klapki — a główna ulica w Gönc była raczej smagła, ciemnowłosa i bardziej sprężysta niż rozlazła, chociaż pogrążona w spokojnej sjeście. Takie rzeczy chcieliśmy oglądać, a nie Dom Husycki z jego „dziwacznym drewnianym łóżkiem, które wyciąga się jak szufladę ze stołu" — o czym wspominał przewodnik. Na głównej ulicy w Gönc działy się ciekawsze rzeczy niż te, które były już tylko historią. To nas kusiło, ponieważ życie składa się raczej z okruchów teraźniejszości, które zapadają w pamięć, i tak naprawdę tylko z tego składa się nasz świat.

Słowacy odjechali, a ja wszedłem do sklepu, ponieważ był 18 sierpnia, sto sześćdziesiąta dziewiąta rocznica urodzin cesarza Franciszka Józefa, i postanowiłem ją uczcić. Gdy na powrót siadałem na murku przed sklepem, pojawił się obok brodaty mężczyzna w jodełkowej jesionce włożonej na gołe ciało. Bez słowa wydobył gdzieś z zanadrza emaliowany kubek i wyciągnął go w moją stronę. Czy mogłem mu odmówić? W taki dzień? W dzień urodzin Najjaśniejszego Pana? W końcu podróżowałem przez jego ziemie, a on na audiencjach przyjmował nawet prostych chłopów i nie czynił różnicy między Serbem a Słowakiem i między Polakiem a Rumunem. Wyjąłem więc świeżo kupioną flaszkę körte palinki i podzieliłem się z bliźnim. Wypił bez słowa i wskazał na moją paczkę kossuthów. Dałem mu papierosa. Podszedł jakiś obywatel i w międzynarodowym języku migowym wytłumaczył mi, że mam do czynienia z wariatem. Pomyślałem sobie, że w Monarchii wariaci też mieli swój kąt, i ponownie napełniłem blaszany kubek. Wypiliśmy zdrowie Franciszka Józefa. Powiedziałem mojemu nowemu koledze, że zawsze byłem za królami i cesarzami, że teraz, w tym marnym czasie, szczególnie mi ich brakuje, ponieważ demokracja nie zaspokaja pragnień estetycznych ani mitologicznych i człowiek czuje się w niej nieco opuszczony. Kolega potakiwał mi skwapliwie i podsuwał naczynie. Nalewałem mu i opowiadałem o tym, że idea demokracji niesie w sobie fun damentalną sprzeczność, ponieważ prawdziwa władza nie może być ze swej natury immanentna, bo przypomina wtedy

najzwyklejszą anarchię, tyle że pozbawioną wszystkich anarchistycznych rozrywek i przyjemności. Władza musi przychodzić z zewnątrz, bo wtedy dopiero można ją kochać i przeciw niej się buntować. „Igen", kiwał głową mój nowy kolega. Wokół nas zebrał się mały tłumek i przysłuchiwał się dyskusji. Ludzie też kiwali głowami i powtarzali „igen, igen". Potem mój kolega zaproponował mi, abyśmy zmierzyli się na ręce. Dwa razy wygrał on, dwa razy ja. Tłum kibicował i zagrzewał do walki. Gdy było już po wszystkim, mężczyźni podchodzili do mnie, klepali po plecach i powtarzali: „Franz Josef, Franz Josef".

Na południe od Gönc zaczynała się równina. Bezkresne pola porośnięte kukurydzą ciągnęły się aż po błękitny horyzont. Zielonozłote morze obmywało podnóża Gór Zemplén i cofało się jak gorąca, wietrzna fala. Na śródpolnych drogach stały stare osobowe auta z przyczepami wyładowanymi pierwszymi zbiorami. Słońce świeciło prosto z góry i nasze cienie nie były większe od psa przy nodze. Drogi zbiegały się, krzyżowały i rozdzielały. Z góry musiało to wyglądać jak plansza jakiejś gigantycznej gry. Nie znaliśmy reguł i zabłądziliśmy. To znaczy błądziliśmy od początku, bo takie było założenie podróży, ale tym razem zaczęliśmy się po prostu kręcić w kółko. Wszędzie wiał gorący wiatr, wszędzie nic, tylko suchy szelest schnących w upale liści. Kukurydza od kukurydzy niczym się nie różni i przypomina labirynt. Po trzech godzinach udało nam się wymknąć. W linii prostej pokonaliśmy trzy kilometry. W Göncruszka chodniki były

fioletowe od śliwek. Nad owocami unosiły się roje os i wokół ani śladu żywej duszy. Szliśmy przez wieś, a z podwórek nie dobiegał żaden dźwięk. Okiennice były pozamykane. Tylko Cyganie zamiast sjesty wyprawiali fiestę. Przed przydrożną knajpą w pełnym słońcu popijali piwo. Stara Cyganka o twarzy Elli Fitzgerald przekonywała swojego mężczyznę, żeby wstawał i się zbierał. Stała podparta pod boki i mówiła głosem, który stopniowo wznosił się aż do granicy krzyku, a on, siedząc, odpowiadał jej spokojnie i niedbale, popierając słowa lekką gestykulacją prawej dłoni. Widać było, że tę scenę powtarzają w niezmienionej formie od Bóg wie ilu lat. Kobieta tupnęła i z ziemi podniósł się kurz.

Wyszliśmy poza wieś. Słupki przy szosie były błękitne i każdy z nich miał wymalowany biały znak nieskończoności. Stały co pięćdziesiąt metrów, ciągnęły się od wzniesienia do wzniesienia w równych odstępach aż po widnokrąg i myśleliśmy, że to fatamorgana, halucynacyjna pieczęć tego zwariowanego upału, ale gdy wzięła nas w końcu słowacka furgonetka, wcale nie zniknęły. Migały za oknem aż do Vilmány, gdzie wysiedliśmy, by odszukać wśród słonecznikowych łanów stację kolejową, która była po prostu pojedynczym torem i kawałkiem wydeptanej ziemi bez jakiejkolwiek tablicy, budynku, znaku czy semaforu, i znaleźliśmy ją tylko dlatego, że byli tam jacyś ludzie, para dzieciaków wyciągnięta w zeschłej trawie i zrezygnowana, z kończącą się butelką wody mineralnej i małym plecakiem. Nie było dachu, nie było cienia, nie było żadnego drzewa,

ale na zachód rozciągał się ogromny widok przyprószony liliowym żarem. Długie, płaskie grzbiety wzgórz traciły z gorąca wyrazistość i rozróżnić można było już tylko ostre wieże kościołów w Hernádcéce, w Fáj, w Garadna, w Novajidrány, w Vizsoly i kto wie, może rozpalone powietrze niosło nawet zjawy Miszkolca i Egeru aż tutaj, w dolinę Hornadu. Tak, tego dnia mogło zdarzyć się wszystko. Sam Budapeszt mógł przyżeglować, przepłynąć nad naszymi głowami, i wcale byśmy się nie zdziwili.

Ale zamiast stolicy zjawił się w końcu pociąg. W środku siedziała Ella Fitzgerald z trójką dzieci. Widać jej mężczyzna nie dał się namówić. Jechaliśmy wolno. Nie ma lepszego środka lokomocji w obcym kraju niż zwyczajny osobowy. Ludzie wsiadają, wysiadają i odgrywają życie tak wolno, że zaczyna nam ono przypominać nasze własne. Wszystko raptem robi się znajome. Faceci wracający z pracy pachną tak samo, jakby wsiadali na Żeraniu i jechali do Nasielska. Matka odprowadzająca szesnastoletnią córkę wciska jej na koniec plastikową reklamówkę z łakociami. Córka całuje ją zdawkowo, trochę odęta, wsiada, i gdy pociąg rusza, matka macha z bezradnym uśmiechem, a jej dziecko już myślami jest gdzie indziej i ledwo ją dostrzega. To było chyba w Boldogkőváralja... Nawet na pewno, bo z lewej na wzgórzu wznosił się średniowieczny zamek. Dziewczyna miała na sobie błękitne dżinsy i czarne buty ze srebrnymi klamrami. Przyszedł konduktor i chciał coś od Cyganki, ale zasypała go potokiem wymowy, więc machnął ręką i poszedł dalej. Można było otworzyć okno, można było

palić i z leniwą ekscytacją myśleć o tym, co będzie za godzinę, za pół, i czy na przykład ta blond elegantka z czerwonymi paznokciami jedzie do Szerencs, czy też wysiądzie na pomniejszym zadupiu. Czterdzieści na godzinę w równym, regularnym rytmie pozwala dojść do jakiego takiego ładu z przestrzenią, pozwala nad nią panować, jednocześnie nie czyniąc jej specjalnej krzywdy.

W Szerencs na dworcu pachniało czekoladą, ponieważ zaraz obok była największa na Węgrzech czekoladowa fabryka. Popijając piwo, palinkę i kawę, zastanawialiśmy się co dalej. Po prostu rozkład jazdy zawierał zbyt wiele możliwości, a intuicja chwilowo przycichła. Móc jechać wszędzie znaczy nie pojechać nigdzie. Postanowiliśmy nie robić nic i pozwolić działać światu. Całkiem słusznie: po godzinie niemal do naszego stolika w letniej knajpce podjechał pusty autobus z napisem „Tokaj".

Zbudziłem się wcześnie rano i wyszedłem na balkon. Czerwone dachy pociemniały od nocnego deszczu. Bruk uliczki lśnił lekko i parował. W całym miasteczku panowała zupełna cisza. Słychać było, jak w ogrodzie na dole krople spadają z liścia na liść. Tylko bociany hałasowały. Jeden po drugim nadlatywały znad Cisy i siadały na swoich kominach. Naliczyłem chyba z pięć gniazd. Klekotały, niosło się echo, potem poprawiały pióra i wracały nad rzekę gdzieś pomiędzy stare topole. Tokaj leżał nieruchomo i błyszczał jak rybia łuska. Stałem w tej nadprzyrodzonej ciszy, paliłem papierosa i myślałem, że tak powinny wyglądać wszystkie poranki świata: budzimy się w

absolutnym spokoju, w bezludnym obcym mieście, w którym zatrzymał się czas, i wszystko wokół wygląda jak dalszy ciąg snu. Przed bramami pastelowych domów, poruszane wiatrem, kołysały się kute szyldy „Zimmer frei... szoba kiadó. Zimmer frei...". Na wschodzie fiołkowa powieka chmur unosiła się ciężko, wpuszczała kilka promieni i zaraz opadała. Było tak pięknie, że zastanawiałem się, czy przypadkiem nie umarłem. Żeby to sprawdzić, wróciłem do pokoju. M. jeszcze spała, więc pomyślałem, że wszystko w porządku, bo nigdy nie zakładaliśmy, że umrzemy razem, co najwyżej kłóciliśmy się o to, kto kogo przeżyje.

Nie liczcie na to, że o ósmej rano w Tokaju coś zjecie. W przeszklonej knajpie przy Kossuth tér można pić kawę za kawą i patrzeć, jak deszcz spada na pusty plac. Bardzo ciekawe myśli przychodzą wtedy do głowy. Na przykład, czy wziąć sobie za wzór tych dwóch przy sąsiednim stoliku, którzy zamówili dwa razy po trzysta aszú, czy też spokojnie zadawać sobie pytanie w stylu „co ja tu właściwie robię?", czyli podstawową mantrę czy też modlitwę każdego podróżnika. Bo właśnie w podróży, rano, w obcym mieście, zanim druga kawa zacznie działać, doświadcza się najmocniej dziwności własnego, pozornie banalnego bytu. Podróż jest po prostu stosunkowo zdrowym rodzajem narkotyku. W końcu wystarczyło wypić jeszcze jedną kawę, wyczekać, aż upusty nieba zamkną się na chwilę, i pójść na brzeg rzeki, zejść nad krętą i zieloną Cisę, by wyobraźnia dała o sobie znać niemal fizycznym głodem. Bo przecież

woda, która właśnie przetacza się u stóp, parę dni temu była jeszcze w Czarnohorze, a za parę dni połączy się z Dunajem kawałek za Nowym Sadem. Tak to działa: geografia porządkuje przestrzeń, ale robi zamieszanie w głowie i człowiek chciałby zostać rybą, zamiast stać w mentalnym rozkroku między południem, północą, wschodem i zachodem.

Uparcie i pokrętnie posuwaliśmy się na wschód. Trochę w stylu Szwejka wędrującego do Czeskich Budziejowic. Z Tokaju uciekaliśmy przed deszczem po to, by wpaść w oberwanie chmury w Budapeszcie. Z Budapesztu umknęliśmy przed tłumem, chaosem i bezdomnością, by o czwartej rano, żegnani przez dwumetrowego konduktora, znaleźć się na dworcu w nieznanym i dość sporym mieście Nyíregyháza. Czwarta rano to jest taka pora, że tylko można siąść i zapłakać albo jechać dalej. Akurat na peron wtoczyła się tak zabytkowa wąskotorówka, że nie zastanawialiśmy się ani chwili. W wagonie stał prawdziwy węglowy piecyk, a kominowa rura wychodziła po prostu przez dach. Dokołysaliśmy się do Sóstófürdő, bo tam nasza zielona ciuchcia kończyła bieg. Sóstófürdő jeszcze spało. Uzdrowiska o piątej nad ranem wyglądają jeszcze dziwniej niż zwyczajne miasta. Pomiędzy drzewami połyskiwała tafla słonego jeziora. Zabytkowa wieża ciśnień, wielkie parasole z napisem John Bull Pub, koronkowy hotel w szwajcarskim stylu, stojący właśnie tu — na wschodnim skraju Wielkiej Niziny Węgierskiej — lśniące w porannym słońcu zady limuzyn, willa w guście chińskiego socrealizmu, sześcienne

segmenty z tabliczkami już nie „Zimmer frei", ale „Wolne pokoje", i żadnego ruchu ani dźwięku prócz porannego ptasiego świergotu. Tylko jakiś pies wziął się nie wiadomo skąd, obwąchał nas i poszedł swoją drogą. Tak, kurorty bez ludzi zawsze wyglądają jak dekoracje. Przy piaszczystej uliczce znaleźliśmy pensjonat. Pani w fartuszku zamiatała schody. Powiedzieliśmy, że chcemy się wyspać i nic więcej. Wytłumaczyła nam w angloniemieckim, że spać możemy do piątej po południu, bo potem zaczyna się dyskoteka.

Obudziły nas dźwięki ojczystej mowy. Przed pensjonatem trzech kolesi w powiewnych portkach do kolan namawiało koleżankę: „Andżelika, róbżesz, do chuja!". „To się jakoś ustawcie", odpowiadała Andżelika, próbując ogarnąć obiektywem rozkołysaną grupę. „Róbżesz! Przecież stoimy!", odpowiadali chłopcy, podtrzymując się nawzajem.

Nasza podróż stawała się trochę zbyt mało zagraniczna. Sóstofürdö żegnaliśmy skromnym obiadem. Na placu przed knajpą szalała promocja Sprite'a. Z głośników leciała gangsta, a węgierscy chłopcy na deskorolkach slalomowali wśród ogromnych zielonych flaszek, wcielając się w wyobraźni w swoich czarnych braci. Przy stoliku obok ojciec rodziny powtarzał do kelnera: „Kotlet schabowy z frytkami. Kotlet schabowy z frytkami. Koootlet!", ale chociaż mówił coraz głośniej i głośniej, durny Węgier nie pojmował ani słowa. Pora było odjeżdżać. W kioskach ani w sklepach nie mogłem nigdzie znaleźć kossuthów. Uzależniłem się od tych sprasowanych na płask i pakowanych po dwadzieścia pięć sztuk papierosów. Według

moich obserwacji ich pomarańczowe paczki wyznaczały granicę między prowincją a metropolią, a raczej usiłowaniem metropolii. W skrojonych na ludzką miarę wsiach i miasteczkach zempleńskich można je było dostać wszędzie. Natomiast nie było ich w Tokaju, nie wspominając nawet o Budapeszcie.

I tak mniej więcej wyglądała nasza podróż. Zamiast podążać szlakiem, dajmy na to, Kossutha Lajosa, wędrowaliśmy szlakiem najtańszych wyrobów tytoniowych. Po prostu jest tak, że Kossuth Lajos przetrwa — chociażby w nazwach ulic, placów i bulwarów, w tych wszystkich utca, tér, körut, a papierosy w pomarańczowych paczkach przepadną razem ze światem, który je palił, tak samo jak przepadną wiejskie zapuszczone gospody, w których czułem się jak w domu, zupełnie tak jak gdybym nigdzie nie wyjeżdżał. Tak sobie myślałem o mojej Europie jako o miejscu, w którym mimo pokonywanych odległości i granic, mimo zmieniających się języków człowiek ma poczucie, jakby podróżował z Gorlic, powiedzmy, do Sanoka. Tak sobie rozmyślałem o ostatnim przyzwoitym micie czy też złudzeniu przykładanym na rany i otarcia bezdomności w tym coraz bardziej bezprizornym świecie. Oczywiście, były to myśli pięknoducha, niemniej jednak oddawałem się im z wielką przyjemnością gdzieś między Nagykálló i Mátészalka pod purpurowym niebem zachodu. Wyobrażałem sobie, że ta purpura to łuna płonącego Wiednia, który na koniec funduje swoim peryferiom i prowincjom ostatnie widowisko, i w gigantycznym auto da fé poświęca swoje

wypicowane sklepy, witryny przy Graben, swoich archetypicznych mieszczan z psami na porannych spacerach, swoje wspomnienia i bezbrzeżny smutek wiejący jak wiatr przez Hofburg i przez plac Marii Teresy, i zostawia co najwyżej Cafe Havelka i nocny kiosk z kiełbaskami na placu świętego Stefana. Tak sobie myślałem sentymentalnie między Nagykálló a Mátészalka, próbując zaprojektować efektowny i heroiczny koniec dla świata, który rozpadł się ze zwykłej starości.

„Trasa ta jest znana z rabunków i kradzieży. Nawet celnicy po ukraińskiej stronie potrafią wymuszać pieniądze od podróżnych lub konfiskować przedmioty, które im się podobają". Tyle przewodnik. Oczywiście, natychmiast postanowiliśmy się tam udać. Tym bardziej że innego przejścia niż w Záhony Węgry z Ukrainą nie mają.

Czekając na transgraniczny pociąg na stacji w Záhony, dokonaliśmy niezbędnych przygotowań. Najpierw ukryliśmy na dnie plecaka „przedmiot, który może im się spodobać", czyli piętnastoletni aparat fotograficzny praktica. Następnie przygotowaliśmy się na „wymuszenie", upychając po różnych kieszeniach przeróżne nominały we wszystkich posiadanych walutach. Tu dolar, tam dwa, tu dziesięć na wypadek szczególnej nieprzekupności. Prócz tego słowackie korony, forinty, a nawet rumuńskie leje — bo kto to może wiedzieć, co akurat chłopakom będzie potrzebne. Popijaliśmy ostatnią körte dla odwagi, odpędzając natrętną myśl, czy aby nie jest to ostatnia körte w życiu.

Zajechał pociąg. Właściwie dwa wagony plus lokomotywa. Do pierwszego wagonu chłopcy i dziewczęta ładowali towar: pralki, lodówki, kuchenki, opony, połówki i ćwiartki samochodów oraz inne przedmioty codziennego użytku. W drugim wagonie byliśmy my oraz setka innych podróżnych. Prócz nas wszyscy mówili po węgiersku, ukraińsku, rosyjsku, cygańsku i — jeśli mnie słuch nie mylił — po rumuńsku. Naprzeciw siedziała kobieta. Miała przy sobie tylko paszport oraz pięciolitrową butelkę oleju. Węgrzy nas sprawdzili i pociąg przetoczył się przez graniczny most na Cisie. Wtedy w przejściu między wagonami coś się zaczęło dziać. Ostrzyżony na łyso chłopiec bił drugiego ostrzyżonego na łyso. Potem do akcji wkroczyły dziewczęta i zrobił się taki ruch, że nic się nie dało zobaczyć. Ktoś jednak musiał przegrać, bo po chwili jedna z dziewcząt weszła do przedziału i poprosiła o butelkę wody, ponieważ trzeba docucić i opatrzyć poszkodowanego. Wyglądało to na konflikt całkowicie wewnętrzny, więc jechaliśmy sobie spokojnie, podziwiając widoki. Zjawił się ukraiński strażnik z celnikiem. Niedbale oglądał paszporty i od niechcenia stemplował. Gorączkowo próbowałem sobie przypomnieć, gdzie mam poutykane te różne nominały. Ze strachu wszystko zapomniałem i groziło, że w razie czego wyjmę na przykład jak ostatni idiota pięćdziesiąt baksów. Pogranicznicy byli coraz bliżej, a ja w lekkiej panice ściskałem w ręku pięćset rumuńskich lei, czyli akurat tyle, ile kosztują zapałki w Bukareszcie. Strażnik podszedł w końcu do nas i podałem mu paszporty.

Ledwo na nie spojrzał, wetknął do kieszeni i powiedział po ukraińsku: „Zgłosicie się do mnie na dworcu w Czopie".

Na dworcu w Czopie trwał wyładunek. Podawano sobie nad głowami pralki, lodówki oraz ćwiartki i połówki samochodów. Dwóch łysych w najlepszej zgodzie taszczyło telewizor. Wypatrzyliśmy w tłumie naszego strażnika. Skinął na nas sennym znudzonym gestem. Szliśmy za nim, a ja przypomniałem sobie, gdzie mam schowane sto dolarów. Prowadził nas jak skazańców przez salę odpraw. Od czasu do czasu skinął głową temu i tamtemu. Minęliśmy bramkę celną, minęliśmy paszportową, przebiliśmy się przez tłum i raptem znaleźliśmy się po drugiej stronie. Wtedy nasz cicerone wręczył nam podstemplowane paszporty i powiedział: „Nie chciałem, żebyście stali w tych kolejkach. A hrywny macie?". „Tylko dolary", wygadałem się jak głupi. Wtedy rozejrzał się po sali i skinieniem przywołał niewysokiego faceta z reklamówką w ręce. Facet podszedł. Strażnik powiedział: „Zamień, tylko po jakimś porządnym kursie". Reklamówka była pełna hrywien powiązanych w paczki za pomocą gumek. Strażnik spytał, czy jeszcze czegoś może trzeba, życzył nam szczęśliwej drogi i znowu zostaliśmy sami.

BAIA MARE

No więc zobaczyłem Baia Mare w promieniach słońca, które staczało się już na zachód nad Wielką Nizinę Węgierską. W powietrzu wisiały jeszcze resztki deszczu i z doliny rzeki Lăpus wstawała tęcza. Złoty wilgotny pył unosił

się nad równiną, nad szosą, nad mostem, nad pastwiskami, nad białymi obłokami kwitnących drzew, nad światem i całą prowincją Maramuresz. Takie światło zdarza się tylko po burzy, gdy przestrzeń wypełnia nadprzyrodzona elektryczność. Niewykluczone jednak, że blask wydobywał się gdzieś z głębi ziemi, z ukrytych w górach żył kruszcu. Baia Mare, Nagybánya, Wielka Kopalnia, złotonośne złoża, transylwańskie Eldorado dwieście pięćdziesiąt kilometrów od mojego domu — takie miałem myśli, przekraczając rzekę Lăpus. Na północy wznosiła się góra Ignis. Tam zalegał jeszcze cień i szczyty miały mokrą granatową barwę. Burza wyprzedziła nas i sunęła teraz doliną Czarnej Cisy nad Czarnohorę i Świdowiec.

Zobaczyłem Baia Mare z dala, ponieważ nie chciałem wjeżdżać do centrum. Przed samym miastem znalazłem objazd na Sygiet i Kluż. Szosa kluczyła wśród przemysłowych przedmieść. Nie było ani aut, ani ludzi. Płaską przestrzeń wypełniał pordzewiały metal, pokruszony beton i porzucony plastik. Hałdy śmieci tliły się sennie i smrodliwie. Słońce świeciło na zrudziałe konstrukcje, na potrzaskane szklane ściany hal, na wypatroszone magazyny, na zamarłe dźwigi, na korozję stali i na erozję murów. Słupy trakcji, silosy, żurawie i kominy rzucały długie czarne cienie. I tak było jak okiem sięgnąć: plątanina drutów w niebie i pajęczyna kolejowych szyn na ziemi. Pagórki czarnego mułu — jakichś chemicznych odpadów — ustępowały miejsca wzgórzom polimerów, kartonów i potłuczonego szkła. Blaszane beczki, gumowe węże,

radioaktywne błoto, cyjanek ze złotych kopalń, ołów i cynk, szmaty i nylon, zasady i kwasy, asfalt, oleiste sadzawki, sadza, dym i ostateczna dekadencja industrialu — wszystko pod świetlistym niebem.

Pomiędzy ruinami, wśród wysypisk, na zielonych spłachetkach udręczonej trawy pasły się krowy. W cieniu gigantycznego stalowego komina dreptało stado owiec. W Baia Mare czas zataczał koło. Zwierzęta wchodziły między umarłe maszyny. Te pozornie kruche, miękkie i bezbronne byty trwały od początku świata i odnosiły spokojne zwycięstwa. Tak samo było w Oradei: stada krów wylegiwały się na rozjazdach kolejowych, a stojące na bocznicach wagony miały taką samą rudą barwę, jak zwierzęta, ale były zimne, martwe i znękane. Tak samo na przedmieściach Satu Mare — tam owce wędrowały środkiem drogi numer 19 — i tak samo w Suczawie, gdzie w środku miasta pasł się biały koń, i znowu w Oradei też konie wśród plątaniny torowisk, objazdów, wśród bezkresu blaszanych hangarów, między rozkołysanymi ciężarówkami — gniade, srokate, siwki i taranty skubały bez obrzydzenia zatrutą trawę. Wyglądały tak, jakby pasły się tam od zawsze.

Parę dni później w Banacie Valiu opowiadał nam o pierwszej rumuńskiej lokomotywie. Zbudowali ją w mieście Reşiţa w roku 1872 i chcieli pokazać Cesarzowi w Wiedniu, bo akurat zbliżała się Wystawa Powszechna. Ale w okolicy nie było jeszcze żadnych torów, żadnej linii kolejowej. Zaprzęgli więc do parowozu dwanaście par wołów i ruszyli

w stronę Dunaju, w stronę Żelaznych Wrót, do portu w Turnu-Severin albo w Orşova, w każdym razie dobre sto kilometrów przez zielone Góry Banackie. Ciała bydląt musiały być rozgrzane i lśniące od potu niczym maszyny parowe. Rzemienie, łańcuchy, drewniane jarzma na karkach, błoto, skrzypienie, przekleństwa i woń złocistej cujki pomieszana z odorem zwierzęcych i ludzkich ciał wypełniała doliny. Nad zaprzęgiem krążyły mięsożerne muchy w poszukiwaniu ran, otarć i krwi. Czarna naoliwiona maszyna sunęła wolno, dostojnie, a jej czerwone podbrzusze świeciło tak jasno, że serbscy i rumuńscy wieśniacy stawali przy drodze oślepieni, żegnali się o pluli na ziemię z obrzydzenia, ze strachu i podziwu. Nigdy wcześniej nie widzieli czegoś takiego i teraz nawiedzała ich pewność, że świat zmierza ku swojemu końcowi. Nitowany diabeł sunął przez wsie wśród trzasku batów, a koła platformy, na której wieziono potwora, rozkrawały ziemię tak głęboko, że ślad miał się już nigdy nie zabliźnić. Na nocnych postojach rozpalano ogniska, wojsko rozstawiało straże, a poganiacze pili na umór, ponieważ ich serca były niespokojne. W granatowych oczach zwierząt odbijały się płomienie.

Ile mogła trwać ta podróż? Valiu, który wiedział wszystko o Banacie, tego akurat nie mógł sobie przypomnieć. Dwa tygodnie? Trzy? Na brzegu rzeki wolarze wyprzęgali zwierzęta, brali zapłatę i z ulgą odchodzili w głąb lesistych dolin.

Tak, moja Europa jest pełna zwierząt. Wielkie ubłocone świnie przy drodze gdzieś między Tiszaörs a Nagyiván, psy w knajpianych ogródkach Bukaresztu, bawoły w Răşinari, puszczone samopas konie w Czarnohorze. Budzę się o piątej rano i słyszę brzęczenie owczych dzwonków. Pada deszcz i porykiwanie krów jest stłumione, płaskie, nie odbija się echem. Kiedyś zapytałem pewną kobietę, po co jej w gospodarstwie tyle krów, skoro i tak nikt nie kupuje mleka. „Jak to po co?", odpowiedziała, jakby w ogóle nie zrozumiała pytania. „Przecież trzeba coś trzymać". Po prostu nie przychodziło jej do głowy, że można ot tak zerwać archaiczny związek między ludzkim i zwierzęcym. „Cóż z nas za ludzie, jeśli nie mamy zwierząt". Taki był mniej więcej sens odpowiedzi, która zawierała w sobie strach przed samotnością ludzkiego gatunku. Bydlę jest brakującym ogniwem, które łączy nas z resztą świata. Pielęgnujemy i pożeramy naszych przodków. Tutaj widać to wyraźnie. Tak wyraźnie, jak w Baia Mare, w ruinie industrialnego świata, który przetrwał raptem sto lat, i nawet jeśli ktoś go odbuduje, to i tak będzie nosił w sobie własną zagładę. Maszyny są jak zombie. Żywią się naszym pożądaniem rzeczy, zachłannością i pragnieniem ziemskiej nieśmiertelności. Żyją tak długo, jak długo są potrzebne. Spuszczamy je z oka i natychmiast zaczynają się rozpadać, zdychać i truchleć jak wampiry pozbawione krwi. Tylko czasami niektóre z nich dostępują łaski łagodnej starości. Tak jak ten prom w Tiszatardos: drewniana skrzypiąca platforma napędzana małym starym dieslem pokonywała

zielony nurt Cisy powoli i od niechcenia. Na obydwu brzegach rosła wiklina i topole. Nie było żadnych zabudowań prócz blaszanego baraczku, gdzie dawali körte i mocną kawę. Upał wydobywał z głębi rzeki rybie i muliste zapachy. W dole biegu zanurzone po brzuchy stało czarno-białe bydło. Miodowy blask słońca spowalniał ruchy i dźwięki. Szary stateczek wyglądał w tym świetle jak zeschnięty liść, przywiany z jakiejś odległej jesieni. Mechanik był tak samo wiekowy. Tysięczny raz patrzył w głąb pejzażu, w zielonkawą, lustrzaną perspektywę rzeki. Diesel pyrkotał, pachniał ropą i przepadał w krajobrazie. W żaden sposób nie potrafiłem sobie wyobrazić, że mogłoby go tu nie być. Gdy nadchodziły jesienne chłody, stary człowiek mógł grzać się w jego cieple. Podczas dłuższych postojów, gdy ani na tym, ani na tamtym brzegu nie było chętnych, zapewne pielęgnował go, doglądał, przecierał bury korpus, by sprawdzić, czy nie ma wycieków paliwa i oleju. Myślę, że obaj byli nieco samotni w tej nieskończonej podróży, która nie oddalała ani nie przybliżała ich do czegokolwiek. Byli jak wahadło kołyszące się w poprzek czasu.

A nazajutrz miałem być w Baia Mare, które kiedyś nazywało się Nagybánya. Miałem węszyć za minionym, szukać tego nieustannego „kiedyś", które w moich stronach jest teraźniejszością, ponieważ „jutro" właściwie nigdy nie nadchodzi, bo zatrzymuje się w dalekich krajach znęcone ich powabem, przekupione, a może po prostu zmęczone. To, co ma nadejść, nigdy tu nie dociera, ponieważ zużywa się

gdzieś po drodze i zamiera jak blask dalekiej latarni. Panuje tutaj wieczny schyłek i dzieci rodzą się zmęczone. W ukośnym świetle późnej jesieni gesty i ciała ludzi są tym wyrazistsze, im mniejsze jest ich znaczenie. Mężczyźni stoją na rogach ulic wpatrzeni w pustkę dnia. Plują na chodnik i palą papierosy. To jest teraźniejszość. Tak jest w mieście Sabinov, w mieście Gorlice, w Gönc, w Caransebeş, w całym słynnym międzymorzu między Czarnym i Bałtykiem. Stoją i przeliczają papierosy w paczkach i drobne w kieszeniach. Czas nadciąga z daleka i przypomina obce powietrze, którym już ktoś oddychał.

ŢARA SECUILOR, SZEKELYFOLD, SZEKLERLAND

Tym razem musiałem podkleić plastrem swoją starą mapę. Przetarła się i popękała od ciągłego składania i rozkładania na wietrze, na kolanie, na masce samochodu. Kupiłem ją kiedyś w Miercurea-Ciuc, sto pięćdziesiąt kilometrów na wschód stąd. Tutaj nie można kupić żadnej mapy, chociaż ziemia między Sachsenbach, Magyarcserged i Roşia de Secaş wygląda jak wyobrażenie najstarszej geografii. Jest naga, bezdrzewna i pofałdowana. Wzgórza zapadają się pod własnym ciężarem. Przygniata je ogromne niebo. W monotonnym bezmiarze pejzażu stada owiec są prawie niewidzialne. Zwierzęta mają barwę wypalonych słońcem traw.

Ilekroć tutaj jestem, panuje upał. Oglądam moją mapę i widzę, jak polną drogą od Cergău dwóch mężczyzn pcha rowery. Wsiadają dopiero na asfalcie i ruszają wzdłuż opustoszałej kotliny. Toczą się jak czarne kamyki skrajem nieba i spłowiałych traw. Wkrótce mogę dostrzec, jak łopocą ich rozwiane marynarki. Szosa biegnie trochę w dół i nie muszą pedałować. Pierwszy mija mnie i zjeżdża serpentynami w stronę Rothkirch. Drugi zwalnia, podjeżdża i staje. Jest obdarty, postrzępiony i brudny. Ubranie ledwo

się na nim trzyma, ledwo trzyma się starodawny rower. Z tego, co mówi, rozumiem tylko „foc" i „fuma", więc wyjmuję zapalniczkę, a on przeszukuje kieszenie i znajduje paczkę carpati. Przypalam mu, zaciąga się, dziękuje i zaczyna rozpędzać skrzypiący rower, w którym rdza dawno wyjadła smar ze wszystkich mechanizmów. Zostaje obłok dymu pomieszany z ciemną wonią ludzkiego ciała i rozpływa się w powietrzu, które z kolei wypełnia wszechobecny zapach owczego nawozu i zdeptanych ziół. Wiatr znów unosi poły czarnej marynarki i mężczyzny już nie ma, i nigdy nie będzie. Oglądam mapę i próbuję zgadnąć, czy pojechał do Székásveresegyháza, do Tău czy do Ohaba, do którejś z tych wsi podobnych do garści glinianych skorup rzuconych na dno doliny. Tak to wygląda z góry: pylista gliniana żółć ścian, kurz i ciemnobrązowa łuska dachówek.

W Spring jest tak samo. Wieś przypomina parterowe miasto. Domy ciągną się jak mur po obu stronach drogi. Są przysadziste i ciężkie. Sklepione półkoliście bramy wiodą na ciasne dziedzińce, lecz wszystkiego trzeba było się domyślać, ponieważ żadna nie była otwarta i wszystkie wyglądały tak, jakby zamknięto je na zawsze ze strachu przed ogromem przestrzeni ciągnącym znad nagich wzgórz.

Desertum — tak nazywały się te strony, gdy król Bela III sprowadzał osadników z Flandrii, z Nadrenii i znad Mozeli. W tamtych czasach półtora tysiąca kilometrów w linii prostej oznaczało dla zwykłego człowieka mniej więcej tyle, że zabraknie mu sił na powrót.

Niezgrabne wozy na ogromnych kołach, woły w jarzmach, przez Brabancję, w górę Renu. Przez Moguncję, ciasnymi dolinami Szwarcwaldu, wśród porykiwań bydła, w błocie, koło Fryburga trzeba odnaleźć cieniutką nitkę Dunaju, deszcz na postojach między Augsburgiem i Ratyzboną, ogniska z mokrego drewna, dym smali gliniane garnki, kontynent łagodnie opada ku wschodowi, lecz to, co wystarcza biegowi wód, dla ludzi jest słabą pociechą, ponieważ grzęzną w błocie i ogarnia ich strach przed przyszłością, która miesza się i myli z przestrzenią.

To właśnie w Spring stanąłem, żeby napić się kawy. Chociaż równie dobrze mogło to być w Gergeschdorf. W knajpie stały żelazne krzesła i stoły. Było gorąco i brudno. W kącie siedziało dwóch mężczyzn. Ciągnęło od nich owczym smrodem. Wyglądali tak, jakby wyszli z jakichś zamierzchłych czasów: czarni, krępi, brody zrastały im się w jedno ze skołtunionymi włosami. Obok nich stał martwy zdezelowany flipper. Tak, dopiero co wyszli spomiędzy zwierząt. Spodnie na kolanach lśniły od tłuszczu, jaki pokrywa owczą wełnę. Mimo upału ubrani byli w swetry i kapoty. Pili swoje piwo bez słowa, odwróceni do siebie bokiem i wpatrzeni w knajpianą przestrzeń, która prawdopodobnie była dla nich za ciasna, zbyt zamknięta, i dlatego w milczeniu, oszczędzając gesty, łyk za łykiem wlewali w siebie piwo ciuc. Żeby jak najprędzej wyjść na powietrze.

Mężczyzna za barem miał białą nalaną twarz. Powiedziałem parę słów po rumuńsku, ale on wziął tylko

pieniądze, wydał resztę i powrócił do swojego smętnego królestwa paru butelek bihorskiej palinki, papierosów carpati i kapslowanych pękatych flasz z winem tańszym niż cola i fanta. Był tam jeszcze emaliowany tygielek i elektryczna maszynka, pokryte brązową spalenizną — pamiątką po setkach kipiących kaw.

Dostałem swoją i usiadłem przy oknie, by patrzeć na transylwański upał. Tamci nie wiadomo skąd wydobyli półtoralitrowe plastiki i czekali teraz przy kontuarze, aż napełnią się piwem. Potem widziałem, jak idą rozpaloną ulicą, ich sylwetki są tak samo ciemne jak ich cienie, a ruchy szybkie, krótkie i celowe niczym ruchy zwierząt.

Nie przychodził nikt nowy. Facet za barem zabijał czas za pomocą drobnych czynności, które nieustannie zamieniały się w bezruch. Blady, masywny i ociężały, wchłaniał czas jak gąbka. Coś przestawiał, przecierał, poprawiał, lecz przyszłość nie nadchodziła. Jego przodkowie przybyli tutaj osiemset lat temu na wozach zaprzężonych w woły. Zbudowali miasta, wsie i warowne kościoły na wzgórzach. Zakładali szpitale i domy starców. Sami wybierali swoich księży i sędziów. Odpowiadali tylko przed królem i byli zwolnieni z podatków. Musieli jedynie dostarczać pięciuset konnych do węgierskiej armii królewskiej. Przynieśli w umysłach obrazy swoich domów i świątyń pozostawionych gdzieś nad Renem, by odtworzyć je tutaj w tych samych kształtach i proporcjach. Ceglany i kamienny gotyk materializował się wśród pagórków Desertum. Na

czworobocznych wieżach ruszały zegary i zaczynały dzielić czas, który wcześniej płynął nieprzerwanym strumieniem.

Za oknem nic się nie działo. Znad suchych wzgórz nadciągał upał, snuł się przez otwarte drzwi i wypełniał wnętrze, cały ten syf i przypadkowość, brud, wyszczerbione szklanki, wytłuszczone kufle, butle z mętnego szkła, trupi plastik, opadał gorącą falą na zrujnowane sprzęty, napierał na ściany, na szyby osrane przez pokolenia much, wymiatał całe to wysypisko resztek udających przydatność, ten heroiczny pierdolnik odgrywający komedię trwania. Tak, transylwańskie desertum wchodziło do knajpy w Gergeschdorf jak do siebie.

Odniosłem filiżankę na kontuar. Facet nie podniósł nawet wzroku. Dopiero gdy powiedziałem: „Danke, auf wiedersehen", spojrzał na mnie, jakby teraz dostrzegł moją obecność. Próbował coś zrobić ze swoją ciężką twarzą, ale mnie już nie było.

Tego samego dnia pojechałem do wsi Roşia, czterdzieści kilometrów na południowy wschód. Chciałem zobaczyć miejsce, gdzie mieszka pastor, który pisze książki i jest więziennym kapelanem. Nie było go w domu. Wyjechał do Budapesztu. Tak przynajmniej powiedział człowiek, który otworzył kościół. Wnętrze było ciasne i surowe. Na ławkach leżały poduszki. W kamiennej przestrzeni wszystkie sprzęty wyglądały na przypadkowe i kruche — tak jakby ktoś próbował wypełnić rzeczami coś starego i gotowego, jakby wstawił meble do jaskini. „.so will dir die Krone des Leben geben". Tyle udało mi się zapamiętać z napisu na czarnej

chorągwi. W sześcioramiennych żyrandolach tkwiły czerwone świece. W ławkach mogło zasiąść nie więcej niż kilkanaście osób. Gdzieś przeczytałem, że parafianie pastora to głównie Cyganie. Pachniało zamierzchłą świętością. To musiało wsiąknąć w mury i teraz wychodziło z nich, ale woń była już słaba i smutna. Chłód i wilgoć dawno rozcieńczyły obecność i teraz było tak, jak w domu starych ludzi, których nikt nie odwiedza. Albo jak w domku dla lalek, którego właściciel wydoroślał. Potem wyszedłem na skraj wsi, żeby popatrzeć na dolinę Oltu. Na północnych stokach Negoiu i Moldoveanu leżał śnieg. Smagła rodzina turkotała na małej furce w dół żółtawej kamienistej drogi. Dzieciaki przekrzykiwały się, żeby mnie pozdrowić: „Buna ziua! Buna ziua!”.

Kiedy wracałem do samochodu, zauważyłem ten sklepik. Wchodziło się po kilku stopniach, a w środku było tyle miejsca, by stanąć i się obrócić. Izdebkę przedzielała na pół wąska lada. Na ścianie za kontuarem wisiało parę półek. Wybór towarów był taki sam jak w innych sklepikach na rumuńskiej prowincji: trochę tego, trochę tamtego, wszystko nieco spłowiałe, wyblakłe i bez ostentacji. Słoiki, torebki i butelki wyglądały tak, jakby stały tu od zawsze i miały pozostać do swojego końca, do czasu jakiejś łagodnej dematerializacji. Ale ten smutek znikomości, to memento artykułów podstawowych — cukru, ryżu, zapałek i papierosów carpati — roztaczały w ciemnym i ciasnym wnętrzu jakąś bohaterską aurę. Wszystko stało w absolutnym porządku, w nienaruszalnej schludności.

Półeczki wyścielone były czystym papierem, rzeczy oddzielała od siebie precyzyjnie odmierzona przestrzeń. Tak, to był świat, który zanikał i zamierał, ale miał swoją przemyślaną i celową formę zabrać ze sobą do grobu.

Z wąskich drzwi wiodących na zaplecze wyszła drobna staruszka. Właściwie niczego nie potrzebowałem, ale poprosiłem o coś do picia. Poruszała się jak siwy duch: powoli, bezszelestnie i ostrożnie, jakby nie chciała naruszać zastygłej przestrzeni sklepiku. Uśmiechnęła się i powiedziała, że musi zejść do piwnicy, która służy jej za lodówkę. Wróciła z chłodną butelką jakiegoś soku. Wydała mi resztę, bardzo wolno i uważnie odliczając pieniądze.

Wyszedłem i usiadłem na schodkach. Późne popołudnie pachniało nawozem i rezygnacją. Zza wysokich murów domostw nie dobiegał żaden dźwięk. Gorący cień wiekuistej sjesty wypełniał zaułki i rozcieńczał czas we wsi Roşia. W domach były na pewno jakieś zegary, ale ich mechanizmy i wskazówki obracały się na próżno.

Następnego dnia byłem w Iacobeni, jakieś czterdzieści parę kilometrów na północny wschód. Nie mogłem się wyplątać z labiryntu Siebenbürgen. Opuszczając Hortobágyfalva, znajdowałem się na rogatkach Harwesdorf. Wjeżdżałem do Alţina i wyjeżdżałem z Alzen. Zaczynała się Agnita, a kończyła Szentágota. Wszystko trwało wielekroć dłużej, niż wskazywałby na to rachunek kilometrów i godzin. Jechałem przez zwielokrotnioną krainę i jechałem dwakroć, trzykroć wolniej.

Iacobeni było puste. Na środku wielkiego placu rosło kilka starych drzew. Trawiasty majdan otaczała zwarta zabudowa. Większość domów wyglądało na opuszczone. Cała zresztą wieś robiła wrażenie wyludnionej. Słońce stało w zenicie, więc może trwała sjesta, lecz nawet jeśli ktoś odpoczywał, to nie był zanadto zmęczony, bo i domy, i plac pozostawiono własnemu losowi. Zarastały, sypały się, chyliły, pękały i wrastały w ziemię. Z drewna schodziła farba, ze ścian łuszczył się tynk. Zostawiona samopas materia kruszyła się pod własnym ciężarem. Stanąłem w cieniu pod drzewami. I wtedy nie wiadomo skąd wzięła się piątka dzieciaków. Najstarszy mógł mieć z dziesięć lat. Były niesłychanie żywe, niebywale ruchliwe w tym martwym pejzażu południa. Jakby słońce dodawało im sił. Otoczyły mnie kołem i jedno przez drugie próbowały zacząć rozmowę. Próbowały w kilku językach naraz: po rumuńsku, po niemiecku, w jakimś niewyraźnym słowiańskim, może rosyjskim, może słowackim, wtrącały pojedyncze angielskie słowa i bodajże węgierskie. Stałem w środku rozgadanego i wirującego żywiołu i mogłem się tylko uśmiechać. W końcu zrozumiałem, że chcą mi, jak każdemu naiwnemu przybłędzie, pokazać wieś, czyli resztki saskich osobliwości w postaci ruin obronnego kościoła. Na pewno nie byłem pierwszy ani ostatni. Poszedłem z nimi, ale nic a nic nie obchodził mnie dostojny zabytek. Patrzyłem na małych Cyganów. Ta wieś, cała ta przestrzeń należały do nich. Najpewniej nawet się tutaj nie urodzili. Ich rodzice zajęli domy po Niemcach, którzy wrócili do starej ojczyzny. Ale to

wszystko wokół było ich własnością. Kilkusetletnia wieś zamieniała się w obozowisko. To, co stałe — wydawałoby się, niewzruszone — ustępowało przed tymczasowym, nietrwałym, wręcz nieistniejącym. Pokazywali mi średniowieczny kościół, którego nie zbudowali, obdarowywali śliwkami z przydrożnych drzew, których nie zasadzili, mówili w językach, które nie były ich językami. Przybyli tutaj jakieś dwieście lat później niż Sasi i nikt ich nie zapraszał. Nie przynieśli w swoich umysłach obrazu ojczyzny ani wizerunków domostw i świątyń, które mogliby odtworzyć. Ich pamięć nie znała historii, ale jedynie baśń, bajkę, legendę — formy, według naszych kryteriów, właściwe dziecięcej świadomości i zupełnie nieprzydatne do przetrwania. Jeśli idzie o rzeczy, to posiadali ich tyle, by w każdej chwili wraz nimi zniknąć, nie pozostawiając po sobie śladu.

Potem pokazali mi dom, w którym mieszkał miejscowy ksiądz czy też pastor. W każdym razie mówili o nim pater. Przez zamkniętą i zakratowaną furtkę niewiele było widać: zadbane podwórko, winorośl zasłaniająca dom i coś w rodzaju niewielkiego basenu. W porównaniu z resztą wsi wyglądało to nieco absurdalnie. Zadzwoniłem, ale nikt się nie zjawił. Zapytałem, czy ksiądz jest w porządku: „Bun pater?". Kręcili głowami: „Nu bun, nu.".

Patrzyłem na rozpadającą się wieś, na śmietnisko w środku placu, na strachliwie zamkniętą na cztery spusty plebanię z basenem i czułem, że to jest ich zwycięstwo. Od 1322 roku, gdy Europa pierwszy raz dostrzegła ich

obecność gdzieś na Półwyspie Peloponeskim, właściwie się nie zmienili. Europa powoływała do życia narody, królestwa, cesarstwa i państwa, które trwały i upadały. Zapatrzona w rozwój, ekspansję i wzrost, nie potrafiła sobie wyobrazić, że można żyć poza czasem, poza historią. Tymczasem oni dokonali tego cudu. Z sardonicznym uśmiechem patrzyli na paroksyzmy naszej cywilizacji i jeśli brali z niej coś dla siebie, to były to śmieci, odpadki, zrujnowane domy i jałmużna. Tak jakby reszta nie przedstawiała dla nich żadnej wartości.

Teraz saskie Iacobeni padało ich łupem. W wielusetletnich murach przesiąkniętych wysiłkiem, skrzętnością, tradycją, tymi wszystkimi cnotami, z których składa się cywilizacyjna ciągłość, rozbili po prostu obozowisko, tak jak rozbija się je w szczerym polu, tak jakby nigdy nikogo tutaj przed nimi nie było.

Zostawiliśmy w spokoju zamkniętą plebanię. Dzieciarnia pociągnęła mnie w jakieś zaułki. Cały czas mówili, próbowali podśpiewywać, wirowali wokół mnie i niczym jakiś breughlowski korowód dotarliśmy w końcu do sklepiku, bo przecież o to im chodziło. Tutaj było zupełnie inaczej niż w Roşia: ciemny składzik w jakiejś ni to komórce, ni to dobudówce. Szwarc, mydło i powidło, wszystko w bezładnych stosach, stertach, na kupie, porzucone i zapomniane, pokryte kurzem i oczekujące zmiłowania kupujących. Wziąłem kilka butelek jakiegoś gazowanego napoju, torbę cukierków i wyszliśmy na zewnątrz. Dałem im to wszystko, a oni natychmiast

dokonali jakiegoś błyskawicznego i skomplikowanego podziału, ale zgodnie z podstawową zasadą, że najsilniejszy i najstarszy bierze najwięcej. Zajęci jedzeniem i upychaniem po kieszeniach, przestali na mnie zwracać uwagę. Wrócili do swojego świata, a ja pozostałem w swoim. Tak miało być i tak było od zawsze, od 1322 roku.

Na mojej starej podklejonej mapie nazwy miejscowości są zapisane po rumuńsku, węgiersku i niemiecku. Ţara Secuilor, Székelyföld, Szeklerland. Nikt nie pomyślał, by zapisać je też w romani. Myślę, że najmniej zainteresowani są tym sami Cyganie. Ich geografia jest ruchoma i nieuchwytna. Bardzo możliwe, że przetrwa naszą.

KRAJ, W KTÓRYM ZACZĘŁA SIĘ WOJNA

O wpół do szóstej było jeszcze całkiem ciemno. Wyszedłem na Presernovo nabrezje i ruszyłem w prawo, na północny zachód. Woda miała granatowy kolor i była prawie gładka. Paliły się latarnie. Kamienne płyty nabrzeża lśniły po wczorajszym deszczu. Przyjechałem tutaj, żeby zobaczyć zachodni skraj słowiańskiej Europy.

Z wąskich przesmyków między kamieniczkami ciągnął zapach kocich sików. Latarnia morska na cyplu posyłała w mrok ostatnie błyski. Za pół godziny miała zgasnąć. U jej stóp stała samotna czerwona renówka. Wyglądała na przechodzoną. Widać latarnikom nie powodziło się tutaj najlepiej. Minąłem ją i znalazłem się po drugiej stronie półwyspu. Morze zrobiło się cięższe, głośniejsze i bardziej ruchliwe. Kilkadziesiąt metrów od brzegu woda łączyła się

z ciemnością, ale gdzieś nieskończenie daleko, gdzieś w głębi mroku, widziałem białe chmury. Tam musiało być jaśniej.

Skończyło się nabrzeże i szedłem, przeskakując z kamienia na kamień. Po prawej wznosiło się pionowe urwisko z luźnej łupkowej skały. Ktoś postawił tablicę, że przejście tylko na własną odpowiedzialność.

Przyjechałem tutaj tylko na trzy dni i byłem całkowicie zdany na to, co się przydarzy. Niecałe dwadzieścia kilometrów na północny wschód leżał Triest, a osiemdziesiąt na zachód Wenecja. Do głowy przychodziło mi tylko to, że powietrze jest tam tak samo chłodne i wilgotne. Od strony portu dobiegało pyrkotanie dieslowskich motorków. Wkrótce zobaczyłem pierwszą rybacką łódkę. Była maleńka i niewyraźna na tle ciemnego lustra wód. Silnik umilkł. Człowiek na rufie siedział nieruchomo, jakby czekał, aż świt zacznie się na dobre.

To nie były chmury. Godzinę później stałem na dziedzińcu kościoła świętego Jerzego i z wysokości kilkudziesięciu metrów patrzyłem na zatokę, na białe szczyty Alp Julijskich i kto wie, czy nie na samego Triglava. Cóż to jest sto kilometrów w taki poranek, gdy słońce świeci jaskrawo jak w lipcowe południe, a rzeczy rzucają smoliste, ciężkie cienie, podobne do najczarniejszej nocy. Góry żarzyły się czerwono, pomarańczowo, przygasały na fioletowo, na szaroburo, w miarę jak blask prześlizgiwał się po przełęczach i dolinach. Szkliste powietrze unieważniało odległość. Wydawało się, że rybackie łódki płyną w głąb

zatoki tylko po to, by za godzinę lub pół przybić u podnóża gór. Musiałem porzucić ten widok, ponieważ był zbyt nierzeczywisty.

U świętego Szczepana, u świętego Franciszka, u Matki Boskiej Śnieżnej dzwoniły dzwony. Czerwone dachy domów układały się w skomplikowaną mozaikę. Z kominów unosiły się pionowe strużki błękitnego dymu. Pachniało żywicą i kadzidłem. W piecach palili tutaj drewnem. To zapewne złudzenie, ale mógłbym przysiąc, że czułem również woń mielonej i parzonej kawy. Wśród geometrii dachówkowych płaszczyzn zieleniły się plamy ogrodów. W mieście nie było skrawka wolnego miejsca, nie było nic dzikiego, ani śladu zaniechania, bezpańskości, ani krzty przestrzeni jako takiej. Dlatego tak niewiele było tu psów i właśnie dla nich stały tu i ówdzie pojemniki opatrzone wizerunkiem Fafika robiącego kupę. To było miasto kotów. Patrząc z góry na dachy, widziałem, jak wychodzą z zakamarków i szukają ciepłych słonecznych plam. Dziesiątki kocurów i kocic w setkach kolorów i odcieni. Pojedynczo, w parach, w pościgu, łaszące się do siebie, w zalotach, obojętne, z ogonami do góry spacerujące w napięciu wzdłuż granic swoich rewirów, baraszkujące, rozciągnięte w cieple poranka, małe, średnie i wielkie jak niewyrośnięte psy — z jednego miejsca przez pół godziny naliczyłem ich z pół setki. Ocierały się kominy, wylizywały, przeskakiwały ze swojego na cudze i z powrotem. Po prostu kocie państwo w mieście.

I to był jedyny ruch, który mogłem dostrzec z wysokich murów kościoła świętego Jerzego. Wszystko z

towarzyszeniem dzwonów od Matki Boskiej Śnieżnej.

Dobrze jest przyjechać do kraju, o którym prawie nic się nie wie. Myśli wtedy cichną i stają się bezużyteczne. Wszystko trzeba zaczynać od nowa. W kraju, o którym prawie nic się nie wie, pamięć traci sens. Można porównywać kolory, zapachy albo jakieś nieokreślone wspomnienia. Życie robi się nieco dziecięce i trochę zwierzęce. Rzeczy i zdarzenia coś przypominają, ale koniec końców nie stają się czymś więcej, niż są w istocie. Zaczynają się dokładnie tam, gdzie je zauważamy, i zaraz zanikają, przesłonięte następnymi. Tak naprawdę pozbawione są znaczenia. Składają się z pierwotnej materii, która dotyka wprawdzie naszych zmysłów, ale jest zbyt lekka, zbyt delikatna, by mogła nam dać jakąś nauczkę.

Gdy wróciłem na nabrzeże, dzień trwał już w najlepsze. Drzwi knajpek były pootwierane, auta manewrowały na ciasnym bulwarze, faceci w kombinezonach wciągali na rusztowania wiadra z zaprawą, śmieciarze ładowali wystawione i na oko jeszcze całkiem przyzwoite meble, kobiety na wysokich obcasach omijały resztki kałuż, pachniało duszoną cebulą. Mężczyzna w swetrze, kapciach i spodniach od dresu wyszedł na skraj nabrzeża i rzucił spinning. Za piątym czy szóstym razem wyciągnął rybę. Ogłuszył ją o kamienne płyty i zniknął ze zdobyczą w ciasnej uliczce. Dzieciarnia z plecakami szła do szkoły, starsze panie dreptały parami na spacer. W portowym basenie rybacy w wełnianych czapkach oporządzali łodzie. Jeden z nich rzucił na brzeg rybi ochłap. Natychmiast zjawił

się czarny kot. Chwilę potem nadbiegł pies, ale kot po prostu odpędził kundla. Pod arkadami przy rynku otwartym wprost na port stali kolesie o zmęczonych twarzach i tradycyjnie czekali, aż dzień przyniesie jakąś okazję albo niespodziankę.

To wszystko działo się w oślepiającym słońcu na samym skraju lądu. Wnętrze miasta było wilgotne i ciemne.

Przypominało labirynt. Domy wyrastały jeden z drugiego, wspierały się o siebie, rozstępowały na szerokość rozpostartych ramion i wędrówka brukowanymi uliczkami miała w sobie smak perwersji. Cudze życie toczyło się o włos od własnego. Czasami otwierały się wiodące wprost na ulicę drzwi i można było dostrzec szereg porządnie ustawionych kapci, ubrania na wieszakach i lustra, w które ktoś rzucał ostatnie spojrzenie przed wyjściem. Błądząc we wnętrzu miasta, nawet gdy było opustoszałe, błądziło się w niewidzialnym tłumie. Głosy za ścianami, rozmowy, zastawione stoły pod zapalonymi lampami, zapachy jedzenia, szum wody w łazienkach, kłótnie, gesty, cała intymność życia, leżały w zasięgu wzroku, słuchu i węchu. Miasto przypominało jeden wielki dom, tysiąc pokojów połączonych chłodnymi i ciemnymi korytarzami, albo wygodne więzienie, w którym każdy mógł oddawać się swoim ulubionym zajęciom. Piran był jak cywilny klasztor.

Pomyślałem sobie, że takie miasta możliwe są tylko nad morzem albo na pustyni. W zamkniętym pejzażu mieszkańcom groziłoby szaleństwo. Tutaj wystarczyło kilkadziesiąt kroków, by wydostać się z ludzkiej termitiery, z

tego na poły architektonicznego, na poły geologicznego tworu, i zaczynała się nieskończoność morza i powietrza, ograniczona jedynie niewyraźną linią horyzontu.

O ósmej rano piłem kawę i widziałem, jak biały prom płynie z Puli do Wenecji. Kelnerka starła resztki deszczu z mojego stolika. W knajpce leciało Buena Vista. Mały piesek wbiegł do środka, obsikał nogę krzesła i spokojnie wyszedł. Wnętrze było ciemne, drewniane, przypominało stary statek, ale wolałem siedzieć na zewnątrz i patrzeć, jak powietrze robi się coraz jaśniejsze. Wokół portowego basenu uwijały się furgonetki. Maszty jachtów kołysały się jak niezdecydowane wskazówki. Para staruszków nieopodal rozmawiała po włosku. Wciąż zjawiały się nowe koty. Wygrzewały się na wielkich głazach rzuconych wzdłuż nabrzeża. To miejsce było spokojne i nierzeczywiste. Niczego nie przypominało, niczego nie przywodziło na myśl poza dość ogólną ideą harmonii. Ósma rano, słońce, kawa, biały prom i kubańska muzyka układały się w spełnienie jakiegoś eklektycznego snu.

Ale naprawdę przyjechałem tutaj, żeby zobaczyć kraj, od którego zaczęła się ostatnia wojna na Bałkanach. Trwała dziesięć dni i zginęło na niej sześćdziesięciu sześciu ludzi. Bardzo możliwe, że jugosłowiańska armia wycofała się tak prędko, ponieważ Serbowie poczuli, że znajdują się w kraju naprawdę obcym. Nie mieli tutaj swoich grobów, nie mieli wspomnień, więc musieli doświadczyć swoistej deprywacji. Ekspansja małych, peryferyjnych narodów z konieczności jest prowincjonalna. Pochłania terytoria, które w jakiś

sposób przypominają rodzinny dom albo ojczystą wieś. Odmienność i obcość są zbyt wielkim wyzwaniem dla zdobywcy, ponieważ zagrażają jego tożsamości. Mała Słowenia okazała się zbyt duża dla Wielkiej Serbii. Co w końcu mieliby robić Serbowie w tym uładzonym, uporządkowanym kraju, który przypominał habsburski sen o cywilizacyjnej misji Cesarstwa? Wojna potrzebuje przecież wspólnego języka, wspólnego sensu, i krwawe czyny w tym są podobne do wszystkich innych, że nie mogą istnieć w próżni.

„Nie chcę bronić narodów bałkańskich, lecz nie chcę również przemilczać ich zasług. To umiłowanie dewastacji, wewnętrznego bałaganu, świata podobnego do burdelu w płomieniach, to sardoniczne spojrzenie na dokonane lub nadchodzące kataklizmy, ta cierpkość, to słodkie nieróbstwo cierpiących na bezsenność lub morderców (...) Jedyni, prymitywni w Europie, dadzą jej może bodziec, a ona uzna to niechybnie za swoje ostatnie poniżenie. Bo gdyby Południe-Wschód miały być tylko i wyłącznie potwornością, dlaczego opuszczając je i kierując kroki ku tutejszym krainom, odczuwa się jakby upadek — co prawda wspaniały — w pustkę?”. O ósmej piętnaście siedziałem nad wypitą kawą i próbowałem sobie przypomnieć te słowa Emila Ciorana. Usiłowałem ustalić, gdzie jest południowy wschód i Bałkany.

Przywiozłem do domu folder zgarnięty z jakiegoś przydrożnego zajazdu niedaleko chorwackiej granicy. W kolorowej broszurze prócz reklam knajpek, hoteli i

kempingów jest również niewielka mapka Europy. Hiszpania ma swój Madryt, Francja — Paryż, Szwajcaria — Zurych, Austria — Wiedeń itd. Na wschód i południe od Pragi i Budapesztu zaczyna się coś w rodzaju terra incognita: Państwa nie mają stolic, a niektóre po prostu nie istnieją. Nie ma Słowacji, Mołdawia, Ukraina i Białoruś rozpływają się w wyschniętym morzu dawnego imperium. Mapa jest jednak całkiem nowa, bo skrupulatnie zaznaczono granice państw postjugosłowiańskich. Natomiast jedynym miastem, które ocalało na enigmatycznych terytoriach południowego wschodu, są Ateny, prawdopodobnie wystarczająco stare, by wziąć na siebie rolę historycznej skamienieliny. Sofia, Bukareszt, Belgrad, Warszawa czy Bratysława po prostu przepadły. Pochłonęła je pierwotna bezforemna przestrzeń, którą można wprawdzie zaznaczyć, lecz trudno nazwać i opisać. To całkiem zrozumiałe, bo cóż poza chaosem albo zmianami pogody może nadejść z tamtego świata? Nazwy wcale go nie porządkują, ponieważ brakuje im starych, stałych i sprawdzonych znaczeń.

Gdy przekraczałem granicę w Hodos, było późne popołudnie. Zimowe światło nadawało rzeczom zdwojoną wyrazistość. Celnik zapytał mnie, ile mam dinarów, chociaż od ponad dziesięciu lat płaciło się tutaj tolarami. Zajrzał jeszcze do bagażnika, powiedział: „hvala”, i wjechałem między zgniłożółte pagórki Prekmurja. O tej porze roku zawsze widać więcej, ponieważ nagi pejzaż gromadzi wszystkie ludzkie zaniechania i odsłania kruchość materii

pozostawionej sobie samej. Tymczasem tutaj nic takiego się nie działo. Kraj wyglądał na całkiem gotowy, starannie wykonany i dobrze wykończony. Nie mogłem znaleźć w krajobrazie żadnych pęknięć, w które mogłaby się wślizgnąć wyobraźnia. Nic tu nie przypominało stron, z których przybywałem. Wszystko było w sam raz używane i zarazem przyzwoicie nowe. Jak okiem sięgnąć, żadnych znaków upadku, wzrostu ani jakiejkolwiek ostentacji. Solidne szare mury, dwuspadowe dachy, martwe ogrody i winnice pozostawione na zimę w najlepszym porządku — wzrok pochłaniał to wszystko, lecz nie miał na czym się zatrzymać. Ten kraj naśladował wyobrażenie jakiegoś kraju doskonałego. Zapędzony w kozi róg Europy, między germańską Austrię, romańskie Włochy, ugrofińskie Węgry i Chorwację, stawiał na przetrwanie za pomocą mimikry uniwersalnego ideału. Gdy się tu wybierałem, znajomi powtarzali: jedź, to jedno z piękniejszych miejsc na kontynencie. „The green piece of Europe” musiał się podobać już na pierwszy rzut oka. Nie było w nim nic zbędnego. Spokojne wsie leżały na dnie dolin. Białe kościoły na wzgórzach czuwały nad ich pomyślnością. W miasteczkach habsburski barok kreślił na tle ciemnego nieba wyrafinowane kształty. Murska Sobota, Ljutomer, Ptuj, Majsperk, Rogatec, Rogaśka Slatina — nie potrafiłem się zatrzymać, ponieważ wciąż wierzyłem, że nagle coś się zmieni, że kraj wykona specjalnie dla mnie jakieś salto mortale, tymczasem on wciąż pozostawał w najlepszej zgodzie z samym sobą. Tak, czułem się jak barbarzyńca z

wiecznie zaburdlonego, niedokończonego wschodu. Brakowało mi kontrastów, chaosu i zasadzek, które wystawiają umysł na próbę. Przyzwyczajony do nieciągłości, do utraty wątku, do zwrotów akcji z pogranicza snu i złego smaku, nie mogłem się pogodzić z przestrzenią uformowaną w tak nieodwołalny sposób.

Spałem w miejscowości Prelasko. Zajazd był pusty. W barze siedziało dwóch miejscowych. Nie różnili się specjalnie od naszych z trochę lepszego pegeeru. Pili piwo lasko na zmianę z jakąś białą wódką. Palili papierosy i rozmawiali półgłosem. Ubrani byli brudnawo i dziadowsko. Nieogoleni i wymięci, widać nie przejmowali się podziałem dnia na czas pracy i odpoczynku. Wyglądali tak, jakby mieli pójść spać w ubraniach. Brali kolejne kieliszki, lecz w ich zachowaniu nie zachodziła żadna zmiana. Pili spokojnie, jakby spełniali obowiązek. Ani w słowach, ani w gestach nie mogłem dostrzec tej niecierpliwości, jaką znałem ze swoich stron. Jakaś solidność i solenność były w tym piciu i żadnych śladów pijackiego wzlotu, żadnej samczej neurozy. Wydawało się, że obaj piją całkiem „wewnętrznie”. Spokój i melancholia, które towarzyszyły ich rozmowie, zupełnie się nie zgadzały z czterema czy pięcioma pięćdziesiątkami wypitymi w ciągu godziny czy półtorej. Plus piwo oczywiście. W końcu wstali, zaszurali gumiakami i pożegnali się z właścicielem, który nawet nie wyszedł zza baru, żeby sprawdzić, ile pieniędzy zostawili na stole. Zostałem sam ze swoim winem. Szef wsiadł do czarnego mercedesa z podrasowanym wydechem i gdzieś odjechał.

Wyszedłem na podjazd, żeby popatrzeć na słoweńską noc. Szron usiadł na zeszłorocznej trawie. Okrągły księżyc srebrzył długie grzbiety wzgórz. Gdzieś w oddali szczekał samotny pies.

„(…) Przeczuwał, a jednocześnie wiedział: tu jest prawdziwa ojczyzna melancholijnych, drwiących demonów.

(…) Tutaj pośród alpejskich dolin i trochę dalej, na równinach Panonii. Są w wietrze i powietrzu, nie można się przed nimi ukryć. Są w jeziorach i pośród wzgórz, w konarach drzew i na mokradłach, w skalistych górach, są w wiejskich karczmach i na opustoszałych w niedzielę ulicach miasta, w dzieciach, mężach i starcach. (…) Tutaj wszyscy przesiąknięci są śmiercią. Tutaj śmierć ma postać pięknego pejzażu, czasem jest jesienna i chłodna, czasami wiosenna i ciepła. Jesienią gotycka, wiosną barokowa. Niczym kościoły rozsiane po całym kraju, tak gęsto jak groby. Tutaj ludzie lubią groby przyozdobione kwiatami, świecami i aniołami. (…) W niedzielne popołudnie, gdy ulicami wyludnionych miast snują się cudzoziemcy albo przybysze osiedli na stałe, dziwiąc się pustce ulic, w niedzielne popołudnie nie wydaje się obca myśl o człowieku, który otwiera okno na trzecim piętrze, gdzie zamknięte są wszystkie okna, i ze sznurem na szyi rzuca się w dół.”.

Następnego dnia jechałem przez Kocevski Rog. Kocevski Rog to górskie pasmo na południu blisko granicy z Chorwacją. Przez trzydzieści pięć kilometrów nie spotkałem żadnego auta. Szutrowa droga prowadziła przez las, wspinała się na główny grzbiet, na Visoki Rog. Jechałem po

zaśnieżonych i oblodzonych serpentynach nie więcej niż trzydziestką. Nie było żywej duszy. Świeciło słońce. To była jedna z piękniejszych dróg, jakie widziałem w życiu. Wśród jodeł słoneczny blask snuł się jak złota mgła. Było ciepło, topniał śnieg i czasem, gdy się zatrzymywałem, w ciszy wysokopiennego lasu słyszałem szmer tysięcy kropel łączących się w strumienie. Światło i cień mieszały się nieustannie i mimo jasnego dnia wszystko było jak pogrążone w zielonkawej wodzie. Południowa strona grzbietu parowała. Widziałem ptaki, których nie potrafiłem nazwać. To nie był żaden gotyk ani barok. Kocevski Rog przypominał architekturę, która nigdy nie powstanie, ponieważ prostota jej piękna stawiała pod znakiem zapytania sam sens wyobraźni.

W ciemnych dolinach spoczywało dziesięć tysięcy ciał. Jechałem przez największy w Słowenii bezimienny cmentarz. Latem czterdziestego piątego komuniści Tity wymordowali tutaj bez sądu i bez świadków jeńców, których przekazały im wojska sprzymierzonych. To byli partyzanci, którzy walczyli po niewłaściwej stronie. Domobrani, białogwardziści — Tito nie uznawał konkurencji. Niewykluczone, że wilki, rysie i niedźwiedzie, których wtedy było zapewne więcej niż dziś, zajmowały się pogrzebem. Potem marszałek przyjeżdżał tutaj na polowania. Kto wie, czy nie przychodziło mu do głowy, że zabija duchy zdrajców żyjące w ciałach zwierząt.

O dziewiątej zostawiłem błękitne wybrzeże i poszedłem na Tartinijev trg, żeby obejrzeć piętnastowieczny wenecki

gotyk i pomnik Tartiniego. Stał na cokole w peruce, ze skrzypcami w opuszczonej ręce i prawdopodobnie kłaniał się publiczności. Chciałem poczuć się jak turysta. Ale prawdę mówiąc, czułem się jak szpieg skazany na powierzchowność. Mogłem dotykać rzeczy, lecz nie miałem pojęcia, co znaczą dla tych, którym są potrzebne. Wspominałem złote światło Kočevskiego Rogu i nie mogłem uwolnić się od myśli, że są miejsca, całe miasta, całe kraje, których treść i forma zaprzeczają przeznaczeniu. Bo jeśli komunizm gdzie indziej był po prostu zbrodnią, to tu, w tym pejzażu, musiał wyglądać na horror pożeniony z idiotyzmem. Idea poczęta w pustych umysłach ze strachu przed pustką przestrzeni została zastosowana w krajobrazie, który wykluczał potrzebę jakiejkolwiek zmiany. Marszałek Tito w białym mundurze wśród palm na promenadzie w niedalekim Portorožu musiał wyglądać niczym afrykański kacyk. Komunizm był przecież owocem długich, beznadziejnych zim, gdy umysł zaczynał wariować z nudy i strachu przed samym sobą. Żeby w ogóle był do pomyślenia, musiał trafić na bezkresną, płaską przestrzeń, na której nic się nie dzieje, i dlatego wszystko może jeszcze się wydarzyć.

Małe kraje powinny być zwolnione z lekcji historii. Powinny unosić się jak wyspy gdzieś na obrzeżach nurtu dziejów. Tak sobie myślałem dwa dni później na autostradzie do Lublany. Gdzieś koło Postojnej nagle zrobiło się zimno i mgliście. Rozważałem ten bajkowy, utopijny wariant i wyprzedzałem chorwackie ciężarówki. Małe kraje

powinny być chronione tak, jak chronione jest dzieciństwo. Obywatele hipertroficznych tworów i mocarstw powinni je odwiedzać dla nabrania rozsądku. Prawdopodobnie niewiele by to dało, ale ludziom trzeba dawać szansę i stwarzać możliwość refleksji nad wielością sensów tego najlepszego ze światów. Istnienie małych krajów o umiarkowanym temperamencie jest po prostu wyzwaniem dla potocznych sądów na temat ekspansji, potęgi, wielkości, znaczenia i reszty tych niepodważalnych komunałów. Jeśli idzie o mnie, zawsze chciałem żyć w kraju nieco mniejszym, a nigdy, broń Boże, w większym. W końcu znikomość znacznie trudniej zamienia się we własną karykaturę niż wielkość. A w każdym razie mniej szkodzi otoczeniu.

Słoweński pisarz Edvard Kocbek w swoich *Notatkach paryskich* pisał tak: „Nasza historia nie pokazuje żadnych wielkich namiętności, jej ubóstwo nie pozwala na przejęcie jakiejś poważniejszej misji. Nie możemy się oprzeć ani na oryginalnym wyznaniu wiary, ani na wspólnym temperamencie. Cechą naszego kraju jest raczej wypukłość niż wklęsłość, nie posiada rzeczywistego środka ciężkości, który wyznaczyłby centrum zarówno w sensie geograficznym, jak i moralnym. Z tego powodu nie mamy myślicieli o energii dośrodkowej, brak nam duchów przeświadczonych o naszej samoistności, duchów o wykrystalizowanym losie. (…) Naszych narodowych granic nigdy nie uważaliśmy za probierz wartości, za godne zaufania miejsce przejścia, za rozwiązanie i natchnienie, już raczej za pokusę i wstyd, za okazję do przemytu”.

No więc znowu ten brak, znowu niespełnienie, znowu tęsknota za życiem, które jest gdzie indziej. Wielkość nie ma tutaj nic do rzeczy. Na pewno coś podobnego napisał już Rumun z dwudziestomilionowej Rumunii i prawdopodobnie Polak z czterdziestomilionowej Polski.

Kręciłem się w kółko po zatłoczonym centrum Lublany i szukałem miejsca do zaparkowania. Na Placu Kongresowym z trudem wcisnąłem się między land rovera i beemę. Na lodowisku z lampionami i muzyką ślizgały się dzieci i wiekowy staruszek z siwymi wąsami. Było trochę wiedeńsko, ale lżej i weselej. Słyszałem śmiech, głośne rozmowy na ulicy i widziałem dziewczyny ubrane z jakąś niedbałą i zarazem wyrafinowaną elegancją. Byłem tutaj pierwszy raz, a jednocześnie wydawało mi się, że znam to miasto. Było żywe, ruchliwe i pociągające. Sprawiało wrażenie, że znajduje się tam, gdzie powinno, i nie zastanawia się nad własnym przeznaczeniem, że nie zadaje sobie pytań. Bardzo możliwe, że miało po prostu w nosie resztę świata, że za nim nie tęskniło. Mgła zasłaniała wieże kościołów. Niedaleko Rybnego Targu zjadłem w barze kanapkę i wypiłem małe piwo.

W nocy gdzieś za Mariborem zatrzymała mnie policja. Jechałem osiemdziesiąt w terenie zabudowanym. Byli ubrani w czarne skóry i uprzejmi. Zapytałem, co będzie, gdy nie zapłacę. Odpowiedzieli, że zabiorą mi paszport, puszczą wolno i będą czekać na komendzie, aż zjawię się z pieniędzmi. Dwa razy większymi, niż zapłaciłbym teraz. Wyglądali na raczej nieprzekupnych. Wypisali mi piękny

kwit z ozdobnymi pieczęciami, wzięli właściwie wszystko, co jeszcze miałem w ich walucie, i życzyli dobrej drogi.

W ramach odwetu postanowiłem, że prześpię się już na Węgrzech.

SHQIPERIA

O wpół do szóstej rano w Korczy pod hotelem Grand stało już kilku mężczyzn. Za dnia było ich więcej. Zwłaszcza na szerokiej ulicy wiodącej w stronę targowiska. Ale stali też pod pocztą i w cienistej alejce koło kiosku z gazetami. Po południu stał cały tłum. Sami faceci. Po dwóch, po trzech albo pojedynczo, zajęci rozmową albo patrzeniem gdzieś w przestrzeń. Czasami robili parę kroków tam i z powrotem, ale to był ruch bez określonego celu, chwilowa przerwa w nieruchomości. Niektórzy trzymali w dłoniach paczki albańskich banknotów i próbowali je wymieniać na euro i dolary. Ale większość po prostu stała, paląc długie, cienkie papierosy karelia, po niecałe trzy czwarte dolara za pudełko. Wyglądali tak, jakby na coś czekali, na jakąś ważną wiadomość, wezwanie albo zdarzenie, ale żadne wieści nie nadchodziły, i każdego świtu zbierali się od nowa, tłum gęstniał wraz z upływem godzin, trochę rzedł w porze sjesty i po południu znów zamieniał się w ciżbę zatopioną w stygnącym upale, rozfalowaną, ale wciąż nieruchomą. Kobiety pojawiały się od czasu do czasu, chyłkiem, bokiem i niemal niezauważalnie. Niosły swoje torby i pakunki, ale tak naprawdę były niewidzialne na tym samczym wygonie. Oni zostawali na swoich miejscach, wypatrując jakiejś zmiany, wgapieni w bezmiar pustego czasu i skazani na własną nieruchomą obecność. To samo

widziałem w Tiranie na placu Skanderbega i w Gjirokastër na głównej ulicy, biegnącej od meczetu w dół miasta. W Sarandzie o wpół do siódmej rano w hotelu Lili zszedłem na śniadanie i zobaczyłem, że sala baru jest pełna mężczyzn. Siedzieli nad poranną kawą i szklaneczkami raki, zatopieni w papierosowym dymie — piętnastu, może dwudziestu facetów. Patrzyli na ulicę i czasami ktoś do kogoś coś powiedział, ale nadchodzący dzień widać nie miał dla nich żadnych niespodzianek. Byli w nim uwięzieni od samego początku i po prostu nie mieli dokąd pójść, bo gdziekolwiek by się wybrali, więziła ich bezczynność.

Gdzieś koło Patos kraj zaczął się wypłaszczać. Góry zostały z tyłu. Do Adriatyku było kilkanaście kilometrów i widnokrąg po lewej nabrał szarosinej barwy. W autobusie było gorąco i duszno. Ludzie wyrzucali przez okna puszki po coli i piwie. Na przedmieściach Fier po obu stronach drogi ciągnęły się wrakowiska złożone głównie z mercedesów i audi w różnych stadiach rozkładu. Auta miały po dziesięć, po piętnaście, po dwadzieścia lat, i były ich setki w mniejszych i większych stadach. W pobliżu Durrës setki zmieniły się w tysiące: w upale, na gołej ziemi, wśród spalonej trawy, niektóre już obłupione, odarte z blach, nagie, z całą pornografią obnażonych podłużnic, podwozi, wałów napędowych, bębnów hamulcowych, rdzewiejących resztek, inne, jeszcze okryte połaciami matowiejących od upału karoserii, stojące heroicznie na łysych, parciejących gumach. Wśród bezkresnej trupiarni uwijali się usmoleni mężczyźni ze szlifierkami kątowymi i odcinali płaty w miarę

jeszcze zdrowego metalu. Białe strugi iskier były jaśniejsze niż słońce. To wyglądało jak martwa, mechaniczna rzeźnia. Inni już czekali, żeby wziąć potrzebne kawałki. Reszta walała się wokół i wrastała w grunt: pęknięte piszczele korbowodów, zjechane tłoki, ślepe reflektory, zgniecione chłodnice, przeżarte błotniki, dziurawe baki, wypatroszone filtry olejowe, rozwleczone skrzynie biegów z wysypanymi wnętrznościami przekładni, gangrena przewodów hamulcowych, rak podłogowych płyt, syfilis uszczelek i bielmo spękanych szyb. Tak, przedmieścia Durrës to był wielki szpital polowy niemieckiej motoryzacji, lazaret, w którym tylko się amputuje.

Durrës to jest port, więc te tysiące trupów musiały przypłynąć tu na statkach. Pamiętam zdjęcia ze słynnego albańskiego exodusu z roku dziewięćdziesiątego drugiego: ludzkie rozpaczliwe grona zwisające z burt, z nadbudówek, z olinowania, kutry, promy, barki pokryte żywym człowieczym plastrem, jakby cały kraj chciał uciec jak najdalej od samego siebie, za morze, na drugą stronę Adriatyku, do Włoch, do świata, który wydawał się wybawieniem, ponieważ miał stanowić niewyobrażalną, baśniową antytezę przeklętej krainy. Teraz nadpływały stamtąd flotylle wyładowane ruiną, złomem, wysokoprężnym i benzynowym truchłem.

Gdy szosa skręciła w stronę Tirany, zaczęły się bunkry. Betonowe szare czaszki wystawały metr nad ziemię i patrzyły czarnymi poziomymi szczelinami. Wyglądały jak zakopane pionowo trupy. W każdym mogła się zmieścić

obsługa karabinu maszynowego. Rozrzucone na długich, płaskich wzniesieniach, górowały nad martwotą samochodowych wysypisk. I jedne, i drugie były niezniszczalne. Astrit powiedział, że w całym kraju najprawdopodobniej nie ma ani jednej czynnej huty, żeby przetopić te niemieckie odpadki. Nie ma też tyle dynamitu, by zniszczyć sześćset tysięcy bunkrów, które miały przetrwać wszechświatową napaść.

Z Korfu płynie się półtorej godziny. Wodolotem pół. Budynek greckiego portu jest długi i płaski. Włoscy, angielscy i niemieccy turyści siedzą na stertach bagażu albo taszczą swoje sakwojaże na kółkach. Tłum przelewa się nabrzeżem, dzieli na pojedyncze strumienie i ustawia w kolejki na trapach wiodących na promy. Niektóre wyglądają jak siedmiopiętrowe domy towarowe. Autokary rozwożą i przywożą całą Europę. Stosy neseserów z szyfrowymi zamkami czekają na bagażowych. Pięciu facetów w czarnych skórach pilnuje swoich objuczonych hond i kawasaki. Na kei stoi trzymasztowy „Von Humboldt” w kolorze ciemnej zieleni i mahoniowy jacht pod brytyjską banderą. Na pokładzie uwijają się młodzi chłopcy w białych spodniach. Błyszczące węże aut powoli pełzną w głąb ładowni. Na niebie widać białe cielska boeingów i dc schodzących do lądowania. Pary robią sobie ostatnie zdjęcia w greckim świetle.

Nie musieliśmy pytać, z którego miejsca odpływa statek do Sarandy. Tłum oczekujących był nieruchomy i ciasno zbity przy trapie. Mieli kartony, pudła, kręgi zielonych

ogrodniczych węży, słynne w Europie i na świecie plastikowe torby w czerwono-niebieską kratę, oblepione taśmą foliowe tłumoki, zwykłe worki, reklamówki z dawno zatartymi reklamami i wszyscy wyglądali na zmęczonych, ale to zmęczenie nie było z wczoraj ani sprzed miesiąca. Było znacznie starsze.

Grecki pogranicznik w białej koszuli i ciemnych okularach brał paszporty z drewnianej skrzynki i wywoływał kolejnych: Illyet..., Freng..., Gyergy..., Myslim..., Hadżi..., Bedri... Chwytali swoje rzeczy i wbiegali na wątły stateczek. Pogranicznik podawał ich paszporty krępemu cywilowi.

Wyglądali tak, jakby padał na nich cień, jakby stali pod niewidzialną chmurą, podczas gdy na resztę portu, na wakacyjny tłum, na brązowe ramiona kobiet, na złote kolczyki, na sandały i plecaki świecił blask prosto od kodaka.

Mały amstel na pokładzie kosztował dwa euro. Płynęliśmy cieśniną i wciąż widać było ląd. Górzysty brzeg po prawej był nagi i bezdrzewny. Wypalone grzbiety wyglądały tak, jakby słońce od zawsze stało nad nimi w zenicie: wieczne południe i stare jak świat kamienie, łuszczące się z upału.

A potem zobaczyłem Sarandę. Zaczęła się nagle, bez uprzedzenia. Po prostu na nagich zboczach pojawiły się szkielety domów. Z daleka wyglądały jak po pożarze, ale to były rozgrzebane i przerwane budowy. Ciemniejsze od gór, ale tak samo mineralne, jakby wypalone w wielkim piecu i ogołocone ogniem ze wszystkiego, co przypomina dom. W

głębi zatoki miasto trochę zgęstniało, błysnęło szkłem, pozieleniało, ale my płynęliśmy dalej, by przybić do nabrzeża. Na cementowym placu stał zardzewiały dźwig. Nad szarym baraczkiem powiewał dwugłowy albański orzeł i błękitna flaga Unii. W środku stało biurko i dwa krzesła. Kobieta w mundurze kazała zapłacić dwadzieścia pięć euro, wzięła trzydzieści, dała jakieś kwity i z uśmiechem powiedziała, że nie ma wydać reszty. Na wzgórzu nad portem piętrzyły się bloki z nagiego porudziałego betonu. Gdyby nie porozwieszane pranie i talerze anten, można by je wziąć za opuszczone.

Tak, wszyscy powinni tam pojechać. A przynajmniej ci, którzy wymieniają nazwę „Europa”. To powinien być obrzęd inicjacyjny, ponieważ Albania jest podświadomością tego kontynentu. Tak, Albania, to europejskie id, to jest lęk, który nawiedza nocą śpiący Paryż, Londyn i Frankfurt nad Menem. To jest ciemna studnia, w głąb której powinni zerknąć ci, którym się wydaje, że bieg rzeczy został ustalony raz na zawsze.

„Welcome in bloody country”, powiedział Fatos, gdy spotkaliśmy się w Cafe Opera na placu Skanderbega w Tiranie. Piłem piwo i zastanawiałem się, czy coś tak kosmopolitycznego jak błogosławieństwo respektuje państwowe granice. Czy greccy grenszuce zawracają je z przejścia w Kakavilë, a włoscy nie wpuszczają na promy w Bari i Brindisi. Na skwerze w cieniu drzew dziesiątki facetów handlowało walutą. Dawali sto trzydzieści sześć leków za dolara. Wśród tłumu cinkciarzy stało kilka

radiowozów. Gliniarze, tak jak cinkciarze i reszta Albanii, tego lata palili cienkie karelie po sto leków za pudełko. Na skwerze unosił się duch obojętnej symbiozy. I tych, i tamtych łączył czas, który musieli przeczekać. Sekundy i minuty pęczniały, puchły i pękały, ale w środku nie było nic.

Zapytałem Fatosa, czy handel walutą jest legalny. „Oczywiście, że nie”, odpowiedział. „A policja?”. „Po prostu pilnuje porządku”, odparł.

O wpół do szóstej w Korczy było jeszcze ciemno. W knajpie przy dworcu autobusowym siedzieli mężczyźni. Pili poranną kawę i raki z małych, pękatych szklaneczek. Kawę zaparza się grzałką wprost w filiżance. Raki pije się o świcie, ponieważ jeszcze lepiej niż kawa rozprasza senność. Ale pije się tylko jedną. Raki to nie alkohol, raki to obyczaj. Potem zajechał stary mercedes bus. Powoli wypełnił się ludźmi. Kierowca rozdał foliowe torebki. Na targ zaczęły zajeżdżać pierwsze furki z towarami. Gdy poszarzało na dobre, ruszyliśmy na południe. Stojący na przedzie dwaj gliniarze mieli starożytne sowieckie tetetki z wytartymi gwiazdami na kolbach. Do greckiej granicy było dziesięć kilometrów, ale nazwy mijanych miejscowości miały słowiańskie brzmienie: Kamenice, Vidice, Selenice, Borove... Gdy wjechaliśmy w pierwsze serpentyny, zrozumiałem sens tych foliowych torebek. Gruba, obwieszona złotem kobieta z wentylatorkiem na baterię w dłoni zaczęła jęczeć, a rodzina wstała z miejsc, żeby ją pocieszyć. Wyjęli jej z rąk to kieszonkowe air-condition i zaczęła wymiotować do przezroczystego woreczka. Zaraz

dołączyła do niej następna i następna. Potem przyszła kolej na dzieci. To kobieca i dziecięca choroba, powiedział nam potem Astrit. Rzeczywiście, mężczyźni podróżowali bez skutków ubocznych. Brali tylko udział w ogólnym ożywieniu, bo cały autobus uczestniczył w nieszczęściu, pocieszając, komentując i wyrzucając za okno podawane z rąk do rąk zużyte torebki, a kierowca zaraz rozdawał następne.

Za Ersekë góry spotężniały. Wydrapaliśmy się na tysiąc siedemset metrów: jedynka, dwójka i nieustający korkociąg nad krawędziami urwisk bez żadnych barierek. Nie widziałem ani śladu domu, ścieżki czy zwierzęcia. Kopulaste szczyty porastała żółta wypalona trawa, bielały usypiska skał i przez półtorej godziny nie dostrzegłem żadnych śladów człowieczej bytności. Liczyłem bunkry. Przy pięćdziesiątym siódmym dałem sobie spokój. Były wszędzie, jak okiem sięgnąć. Cementowe czerepy wrastały w zbocza w miejscach, gdzie żaden pojazd nie miał szans dojechać. Nie wiem, może cement i stal transportowali na mułach i osłach, może po prostu przenosili to wszystko na plecach. Szare betonowe ropuchy tkwiły czasem pojedynczo, czasami po trzy, cztery, strzegły wyimaginowanych przejść, przesmyków, przecinały linie domniemanych ataków, oczekiwały na ofensywę, na inwazję, a ich czarne, puste spojrzenia ogarniały całą widzialną przestrzeń. Sprawiały wrażenie czegoś przedwiecznego i wyglądały tak, jakby miały trwać do końca czasu. Wydawały się starsze niż góry i obojętne na geologię, nieczułe na erozję. Wciąż

przypominałem sobie ich liczbę — sześćset tysięcy. W każdym, powiedzmy, po dwóch żołnierzy na stojąco obsługujących cekaem albo erkaem, czyli milion dwieście tysięcy, co oznacza prawie połowę mieszkańców kraju. Podczas prób, podczas artyleryjskich testów, zamykano w nich kozy. Przyglądałem się otworom strzelniczym, które wyglądały jak ekstrawaganckie ciemne okulary. W tym pustym pejzażu, w okolicy, gdzie raz na godzinę pojawiał się jakiś pojazd, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że wciąż jestem obserwowany.

Postój był w Leskoviku, obok małego baru. Dawali kawę, raki i jajka na twardo. Do naszego stolika podszedł mężczyzna. Ale nie usiadł. Potrzebny był mu tylko blat stołu. Turlał po nim jajko i ciężarem dłoni rozkruszał skorupkę. Trwało to bardzo długo, ponieważ zapomniał o tym, co robi, i wpatrywał się w nas, być może pierwszy raz w życiu widząc i słysząc cudzoziemców. Jajko chrzęściło, pokazała się już biel białka, a on wciąż patrzył bez słowa.

W Leskoviku też były bunkry, tyle że znacznie większe. Przypominały betonowe jurty ze stalowymi wierzejami. Wśród nich pasły się osły. Zwierzęta były w tym samym kolorze, co schrony, i w tym samym kolorze było kamieniste pastwisko i strome zbocze zamykające krajobraz. Za miastem wjechaliśmy w cień pasma Nemerçke. Nigdy nie widziałem takich gór. Wyglądały jak usypane z popiołu. Linia lasu kończyła się jak ucięta, a potem był już tylko jałowy, pionowy masyw, który z tej odległości wydawał się lotny, sypki i nietrwały. Nic tam nie było. Dosłownie nic

poza czystą nagością. Ścięty szczyt Papingut wyglądał jak hałda pyłu, podniebne wysypisko kurzu, i ten kurz, ten pył musiały prószyć gdzieś z góry, z otchłani wszechświata, z jego najdalszych zakamarków.

Bo Albania jest stara. Jej piękno przywodzi na myśl dawno wymarłe gatunki i epoki, które nie pozostawiły po sobie żadnych wizerunków. Pejzaż trwa, ale jednocześnie nieustannie kruszeje, rozpada się, jakby niebo i powietrze chciały go rozetrzeć w palcach. To są szczeliny, rysy, pęknięcia i nieustanne ciążenie materii, która pragnie, by dano jej spokój, pragnie pozbyć się formy, zaznać odpoczynku i powrócić do czasów, gdy kształty jeszcze nie istniały.

Gjirokastër to miasto z białego kamienia. Dachy domów pokryte są poczerniałym łupkiem, który kiedyś też był biały. Okna pensjonatu Hadżiego Kotoni wychodzą prosto na minaret. Kilka razy dziennie z wysokiej wieży odzywają się głośniki i metaliczny głos muezina wypełnia ulice, zaułki i całą dolinę rzeki Drinos. Obok meczetu jest grecki konsulat. Od rana stoi przed nim tłum. Dziesiątki kobiet i mężczyzn czekają na wizę. Telewizor pokazuje kilometrową kolejkę albańskich aut na przejściu w Kakavilë. Grecy od paru dni nikogo nie wpuszczają.

Twierdzą, że posypał się system komputerowy. Albańczycy mówią, że to szykany, żeby nie zapomnieli, gdzie jest ich miejsce, żeby stali i prosili o grecką pracę i greckie euro, żeby wiedzieli, że to jest grecka łaska. Ale, mówią Albańczycy, bez nas ich winnice zdziczeją i zdziczeją

ich gaje oliwne, tak jak zdziczały nasze, ponieważ musieliśmy je zostawić i wyjechać do Grecji, bo tam jest praca i są pieniądze. Grecy nie potrafią pracować, mówią Albańczycy. Pogardzają nami, ale bez nas nie piliby wina, ponieważ stali się grubi i leniwi.

Popijam czarny albański fernet i patrzę z góry na rodzinne miasto Envera Hodży. Wczesnym popołudniem ulice pustoszeją i znika tłum sprzed konsulatu. Słońce świeci pionowo i wymiata cień z najciaśniejszych zaułków. Robi się tak cicho, jakby wszyscy rzeczywiście wyjechali, pozostawiając miasto własnemu losowi, porzucając je na pastwę czasu i upału. Z gór zejdą wilki i skrzyżują się z psami, winorośl rozsadzi mury z ciosanego kamienia, wiekowe mercedesy zdechną z tęsknoty za swoimi szoferami, turecka forteca na wzgórzu zapadnie się do jego wnętrza, wiatr wypełni piaskiem pokoje hotelu Sopoti, rdza wyje wnętrzności muzułmańskich głośników, raki przepali zakrętki butelek w knajpie Festivali, porzucone pliki stulekówek z Fanem Noli zamienią się w tlen i na koniec szara łuska gór przykryje resztę.

Tak, piłem czarny fernet i próbowałem wyobrazić sobie kraj, z którego pewnego dnia odejdą wszyscy ludzie. Zostawią go na pastwę czasu, który rozsadzi powłoki godzin i miesięcy i w czystej postaci wejdzie w resztki rzeczy i miast, rozpuści je, przemieniając w pierwotną materię, w powietrze i minerały. Bo to właśnie on, czas, był tutaj najważniejszym żywiołem. Ciągły i ciężki jak gigantyczne bydlę zalegał w dolinach rzek, przygniatał

grzbiety gór od Szkodry po Sarandę i od Korczy po Durrës. To w jego wnętrzu żyli mężczyźni wystający na rogach ulic i na placach. Być może wyglądali jego śmierci i zarazem lękali się jej, ponieważ agonia przedwiecznego zwierzęcia, w którego wnętrznościach brodzili, oznaczała dla nich nagłą samotność. Gdyby zdechło, nigdy by się już nie spotkali. Porwałyby ich oddzielne strumyki minut i dni będące jedynie smutną ludzką imitacją starego nurtu, którego potęga przywodziła na myśl jedynie nieruchomość. Musieliby żywić się padliną wieczności, ponieważ właśnie tak smakuje wolność.

Na plaży w Sarandzie ludzie odgarniali śmieci i robili sobie miejsce. Odsuwali plastikowe butelki, kartony, puszki, opróżnione cuda cywilizacji, foliowe torby Boss, Marlboro i Tesco, by odsłonić spłachetki piasku, na których rozkładali się całymi rodzinami. Wiatr niósł w głąb lądu przezroczyste strzępki i rozwieszał na drzewach. Wiało z zachodu. Nigdy w życiu nie widziałem takiego syfu i takiego spokoju, z jakim ludzie żyli wśród odpadków, do których co chwilę dorzucali nowe. Spłachetki uprzątniętej plaży miały wielkość koca albo grupki siedzących osób. Było coś pysznego i pogardliwego w tych gestach odrzucających zużyte rzeczy, jakaś wielkopańskość konsumpcji i teatr obojętności wobec wszystkiego, co nie jest samym zaspokojeniem zachcianki. Wiało z zachodu dosłownie i metaforycznie. Wiatr nie przyniósł jednak niczego, co by miało jakąkolwiek wartość. Być może te inne rzeczy, które tam niewątpliwie były, po prostu nie nadawały się do

transportu i po drodze traciły wartość, psuły się, rozpadały. Niewykluczone jednak, że nie były tutaj nikomu potrzebne.

Gdy pierwszego dnia wychodziliśmy z portu, zaczepił nas Genci. Miał trzydzieści parę lat, sandały na bosych nogach i czarne wyszmelcowane szorty. Na ramieniu trzymał kilkuletniego chłopczyka. Płynną angielszczyzną zapytał nas, skąd jesteśmy i czy nie potrzebujemy pokoju. Po nieprzespanej nocy bardzo potrzebowaliśmy. Zaprowadził nas między paropiętrowe zrujnowane bloki: smród, strumienie rynsztoków torowały sobie drogę wśród usypisk gruzu i tlących się śmieci, rumowisko kamieni, niezniszczalnego plastiku, jakiś bałkański the day after. Opalone dzieciaki przyglądały się nam ciekawie i nie mieliśmy siły, żeby spławić życzliwego faceta. Genci zawołał i po chwili przyszła stara kobieta, cała na czarno. Ruszyliśmy za nią. Otworzyła kratę zamykającą balkon na parterze jednego z bloków, a potem wejściowe drzwi. W środku było chłodno i absurdalnie czysto. Dwupokojowe mieszkanie po prostu lśniło. Lśniła terakota na podłodze, lśniła lodówka, lśniła łazienka, błyszczał telewizor, błyszczał wielki wentylator, nawet z pościeli unosił się lekki, pachnący czystością blask. Wszystko wyglądało tak, jakby nikt nigdy tutaj nie mieszkał, tylko sprzątał, sprzątał i sprzątał. Ona jest wdową — powiedział Genci — i dlatego trzeba jej zapłacić dwadzieścia pięć dolarów za noc.

Potem spotkaliśmy Genciego jeszcze parę razy. Mówił bez przerwy i bez przerwy nam coś obiecywał. Twierdził, że zna Ismaila Kadare, że Kadare jest teraz w Albanii i może nas

umówić na spotkanie. Proponował nam klimatyzowany apartament w centrum Tirany za dziesięć dolarów. Opowiadał o swoim nawróceniu na ewangelicyzm, o swojej żonie pracującej w Fundacji Sorosa, z dumą o ojcu pracującym w czasach Hodży w służbie bezpieczeństwa. Któregoś dnia, gdy rozmawialiśmy o Europie w ogóle, zadał nam pytanie: czy w Polsce był komunizm?

Z nabrzeżnej promenady w Sarandzie widać zamglone brzegi Korfu. Można siedzieć przy kawiarnianym stoliku w ruchliwym cieniu palm i patrzeć, jak wielkie pasażerskie promy suną przez gładkie wody cieśniny i przepadają w otwartym morzu. Bardzo możliwe, że turystyczna międzynarodówka przygląda się albańskiemu brzegowi tak, jakby przyglądała się brzegom, powiedzmy, Liberii albo Gwinei. Niewykluczone, że mają nawet lornetki. Siedmiopiętrowe nawodne hotele połyskują w słońcu i znikają. Jest w tym coś z safari i coś z fatamorgany.

Popijałem grecką retsinę i próbowałem sobie wyobrazić to miejsce dwadzieścia lat temu. Próbowałem sobie wyobrazić kraj odcięty od reszty świata niczym wyspa na jakimś oceanicznym zadupiu. Kraj, który ma około stu sześćdziesięciu wrogów (umówmy się, że wtedy mniej więcej tyle było państw na mapie politycznej). Niebezpieczeństwo czai się na wschodzie i na zachodzie. Czyha kapitalizm, czyha komunizm w zdegenerowanej sowieckiej i chińskiej postaci, czyhają afrykańskie monarchie i technokratyczne reżimy południowo-wschodniej Azji, czyha Grenlandia i czyhają Wyspy

Zielonego Przylądka, i czyha kosmos znieprawiony przez Amerykanów i Sowietów. Enver Hodża, wyjeżdżając z Tirany, zamyka przekaźnik telewizyjny i klucz zabiera ze sobą, żeby ktoś pod jego nieobecność nie puścił greckiego, włoskiego albo jugosłowiańskiego programu. W Sarandzie — tak jak dzisiaj — jest późne popołudnie, nie ma tylko tych wszystkich pospiesznie skleconych betonowych knajp i hoteli. Ludzie siedzą na brzegu morza i patrzą na przepływające statki należące do wroga. Wielkie półprzezroczyste domy płyną ku własnej zagładzie, ponieważ należą do świata, na którym ciąży przekleństwo. Zapada zmierzch i tamten świat nie istnieje naprawdę. Nie posiada znaczenia ani formy i jest tylko jakimś antyświatem, czyli nierzeczywistością skażoną fundamentalnym kłamstwem.

Trzysta dwadzieścia kilometrów w najdłuższym miejscu i sto czterdzieści w najszerszym. To daje około dwudziestu ośmiu tysięcy kilometrów kwadratowych absolutnej prawdy i samotności. W czterdziestym ósmym roku renegatem okazuje się Jugosławia, w sześćdziesiątym pierwszym Sowiety, w siedemdziesiątym ósmym — Chiny. Zdrada ze wszystkich stron otacza Albanię. Wiejscy nauczyciele układają z kamieni wielkie hasła na wzgórzach. „Czujność, czujność, czujność”, „Najniebezpieczniejszy wróg to wróg, o którym się zapomina”, „Trzeba myśleć, trzeba pracować, trzeba żyć jak rewolucjoniści”. Zaniedbanie lub błąd grożą posądzeniem o zdradę. Trzysta dwadzieścia w jedną, sto

czterdzieści w drugą i żadnych szans na ucieczkę, bo reszta świata jest nicością.

Kamienne hasła najlepiej widać było z góry, z nieba. Stanowiły wyzwanie dla wszechświata. Zdaje się, że to był plan maksimum, w którym nie chodziło ani o Chiny, ani o Sowiety, ale o nawrócenie całego kosmosu.

Któregoś dnia wybraliśmy się z Korczy do Voskopojë. Chcieliśmy zobaczyć to niegdyś największe miasto w europejskiej części otomańskiego imperium z trzydziestoma tysiącami domów wybudowanych tak gęsto, że „koza mogła przejść po dachach z jednego końca miasta na drugi”, z dwudziestoma dwoma świątyniami, chcieliśmy zobaczyć miejsce, gdzie krzyżowały się szlaki karawan z Polski, Węgier, Saksonii, z Konstancy, Wenecji, Konstantynopola i gdzie dwieście osiemdziesiąt lat temu powstała pierwsza na Bałkanach drukarnia.

Żeby się tam dostać, wynajęliśmy furgonetkę. Prowadził Jani, a jego kumpel wciąż próbował rozmawiać. Znał kilka ogólnosłowiańskich słów. Jego „kameradka” była Słowaczką. Poznali się na plantacji oliwek w Grecji. Jechaliśmy dziurawą drogą wciąż w górę. Przez trzydzieści kilometrów nie było żadnego skrzyżowania, tylko od czasu do czasu gdzieś z gór zbiegały ośle ścieżki. Chłopcy częstowali nas papierosami i pokazywali tombakowe sygnety w kształcie lwich głów.

Voskopojë to był absolutny parter. Właściwie nie wyglądała na zbudowaną, tylko na ułożoną z kamieni. Niektóre domy rozsypywały się pod własnym ciężarem i nie

był to skutek zaniechania, opuszczenia ani starości, ale właściwość użytego materiału. Po prostu nic większego ani wyższego nie dało się usypać czy też ułożyć z tego budulca. Wszystko przypominało bardziej geologię niż architekturę. Jakby któregoś dnia ziemia zwyczajnie się rozstąpiła i wydała na świat swoją wersję ludzkiej zabudowy. I teraz kruszejące mury, sypiące się ściany, wyschnięta glina wyciekająca strumyczkami ze spoin, spękane dachówki, rozszczepione upałem drewno bram i furtek, wspomagane erozją i grawitacją próbowały powrócić do wnętrza ziemi.

Jani i jego kumpel czekali na nas w knajpie. To był jeden kamienny pokoik z pięćdziesięciokilkuletnią Greczynką za barem. Kobieta wyliczyła nam wszystkie kościoły, które kiedyś tutaj stały. Poczęstowała serem, papryką, chlebem i raki. Nie chciała pieniędzy. Chciała rozmawiać, chciała opowiadać. Wcale jej nie przeszkadzało, że musimy zgadywać treść tego, co do siebie mówimy. Potem przyszli jeszcze inni, żeby nas zobaczyć i uścisnąć nam ręce. Jani z kolegą pili jedną albańską brandy za drugą i zapijali piwem tirana. Chcieliśmy zostać dłużej, ale baliśmy się o naszych przewodników, bo dla nich upływ czasu oznaczał jedynie kolejne kieliszki. Ludzie wyszli przed knajpę i patrzyli, jak odjeżdżamy. Chłopcy mówili i mówili. Stawali wśród kukurydzianych pól, zrywali naręcza złotych kolb i wtykali nam do kieszeni. Teraz było ciągle z góry i toczyliśmy się na luzie, oszczędzając paliwo. Jani włączył monotonną, transową muzykę, jakieś tureckie techno, i zaczęli tańczyć na siedząco. Podskakiwali i kołysali się w fotelach jak w

wielbłądzich siodłach. Jani puszczał kierownicę i wznosił ramiona w kolistych płynnych gestach. Czasami odwracali się, żeby sprawdzić, czy bawimy się tak sam dobrze jak oni. A potem zgodnie z tym monotonnym pustynnym rytmem zaczęli pokrzykiwać: „Ben Laden! Ben Laden! Ben Laden!”, i tak rozkołysani, z otwartymi oknami, przez które wpadało gorące powietrze i pył, wtoczyliśmy się na przedmieścia Korczy. Ale to nie był wcale koniec, bo musieliśmy jeszcze koniecznie odwiedzić sklep należący do przyjaciela Janiego i tam koniecznie napić się piwa. Siedzieliśmy na skrzynkach wśród zieleniny, pomidorów i bzyczenia much, a Jani tłumaczył nam, że właściciel jest oficerem policji, ale postanowił założyć własny biznes. Czarnowłosy chłopak uśmiechał się nieśmiało, częstował papierosami i podsuwał twarde czerwone jabłka. Narzeczony Słowaczki spał z głową między białymi kręgami serów.

Ze starej twierdzy w Krujë pozostała tylko kamienna wieża, trochę murów i zarysy fundamentów. Resztę w 1982 roku wybudowała Pranvera Hodża, córka Envera. Była architektem, posiadała władzę i tak właśnie wyobrażała sobie albańskie średniowiecze. To właśnie tutaj w 1443 roku Skanderbeg wywiesił sztandar z czarnym dwugłowym orłem i ogłosił niepodległość Albanii. Rzucił wyzwanie Turcji, przed którą drżała wówczas cała chrześcijańska Europa. Kalikst III mówił o nim „Athleta Christi”, chociaż Jerzy Kastriota w młodości przeszedł na islam, i stąd jego imię Skander. Oczywiście przegrał, i Albania musiała zaczekać z niepodległością do 1913 roku. To wszystko, cała

ta wielusetletnia historia ze sztandarami, podobiznami wodzów, mężów stanu, papierami, mapami i kopią hełmu Skanderbega, znajdowało się w budynku córki Envera. Przy wejściu, którego pilnował żołnierz z kałasznikowem, stała kolejka.

My poszliśmy z powrotem, w tę długą, ciasną uliczkę, zabudowaną starymi domami. Było ich kilkanaście i w każdym sprzedawali starzyznę, tysiące, dziesiątki tysięcy przedmiotów. W chaosie i półmroku, ułożona w stosy, upchnięta w sterty, rozwieszona w pęczkach, zgromadzona została tutaj cała przeszłość Albanii. Rzeźbione skrzynie, ciężkie ciemne stoły, wodne fajki, zakrzywione noże, naszyjniki ze srebrnych monet, babskie wyszywane stroje przesiąknięte starością i stęchlizną, makaty z widokami Stambułu i Mekki, kawałki uprzęży, wyschnięte na wiór kierpce, orientalne filigrany, szable, sprzęty z drewna, przyrządy z kości, przedmioty z rogu, dywany, żeliwne okopcone garnki, jakiś zakurzony supermarket kultury materialnej i wszystko wytarte od dotyku, wygładzone przez pokolenia, ani trochę nie udawane, ledwo co wydobyte z ciemności i przetarte na sprzedaż. Wchodziliśmy kolejno do tych sezamów, ale rozmaitość i barbarzyński splendor materii wypychały nas na zewnątrz. W którymś momencie wysiadł prąd. Sprzedawcy prowadzili nas w głąb mrocznych labiryntów i za pomocą ręcznych latarek pokazywali pojedyncze rzeczy. Żółty krążek światła przeskakiwał z przedmiotu na przedmiot, z jednego okrucha przeszłości na inny, wyłuskiwał z burego półmroku

skrawki strojów, ornamenty, metaliczne błyski biżuterii, i to było tak, jakby się próbowało czegoś dowiedzieć o świecie, w którego realność trudno do końca uwierzyć. Te ni to muzea, ni to rupieciarnie, ni to składnice historii z błądzącą w ich wnętrzu bezradną smużką światła układały się w jakąś albańską metaforę. W którymś z kolejnych sklepów na starożytnej otomanie leżał właściciel. Obok stały buty, a on po prostu spał.

Prawie w każdym z antykwariatów był jakiś kąt, w którym ciśnięto na kupę najnowszą historię. Składała się głównie z papieru i wizerunków Envera. To były w większości jakieś ciężkie księgi i albumiszcza, w których wódz występował na tle swoich osiągnięć: Enver na tle tłumów, Enver na tle nowych osiedli, Enver na tle łanów i fabryk. Poza papierem były jeszcze medale i odznaczenia z obowiązkową czerwoną gwiazdą. Tylko tyle zostało i tyle nadawało się na sprzedaż. Nie wiem zresztą, czy ktoś to w ogóle kupował. Za album o życiu Hodży facet chciał trzydzieści dolarów. Podał cenę i nie miał ochoty na żadne targowanie. Powtarzał swoje „thirty”, i w końcu zniecierpliwiony odwrócił się plecami. „Albańczycy się nie targują”, powiedział mi potem Astrit. „Zwłaszcza z kimś z zagranicy. Po prostu myślą, że wszyscy mają więcej pieniędzy niż oni i jeśli chcą zapłacić mniej, to jest to niesprawiedliwe”.

No i były tam jeszcze bunkry. Stały wszędzie, w każdym sklepie — dziesiątki, setki miniaturowych bunkrów z białego kamienia. Mogły służyć jako popielniczki, przyciski

i bibeloty dla ozdoby. Kiedy się już wyjedzie, miały po prostu przypominać Albanię.

Albania to jest samotność. Takie zdane przychodzi mi do głowy, gdy przypominam sobie późne popołudnie w Korczy. Stare, pamiętające jeszcze otomańskie czasy targowisko już opustoszało. Odjechały zabytkowe mercedesy i konne dwukółki. Kobieta zmiatała śmieci z placu. Tego dnia niebo było szare i ta szarość teraz, gdy tłum się rozszedł i zniknął barwny rozgardiasz towarów, spływała z góry i wypełniała pustkę rynku. Opuszczone jednopiętrowe domy wchłaniały ją, jak kamień wchłania wilgoć. Cała przestrzeń targowiska była obumarła i nieruchoma, jakby nikt nigdy tutaj nie zaglądał. I wtedy w najdalszym kącie placu zobaczyłem trzech mężczyzn. Siedzieli w kucki wokół miniaturowego rusztu i piekli kolby kukurydzy. Ledwo można było ich odróżnić na tle szarych murów. Gęstniejący zmierzch zacierał ich sylwetki. Właściwie widać było tylko ogień, czerwony, niespokojny płomyk na wietrze.

Któregoś dnia rozmawialiśmy z Astritem o emigranckich szlakach Europy, o tej nieustannej wędrówce ze wschodu i południa za zachód, o gastarbajterskich nomadach ciągnących z Polski, z Ukrainy, z Białorusi, Bułgarii, Rumunii, żeby dokonać nędzarskiej konkwisty terytoriów germańskich, romańskich, anglosaskich i całej reszty aż po przylądek świętego Wincentego, przylądek Passero i przetwórnie rybne Islandii. Mówiłem Astritowi o Polakach i Ukraińcach na niemieckich budowach i folwarkach, snułem starą balladę o tym, jak gorzkie jest życie gorszych ludzi w

lepszym świetle. Wszystko po to, by w jakiś sposób zrównoważyć jego albańską opowieść. Kiedy skończyłem, Astrit powiedział: „To nie to samo. Nie wiesz, co to znaczy być Albańczykiem w Europie”. Zaraz potem zmieniliśmy temat.

„To są pozostałości po dziewięćdziesiątym siódmym roku”, powiedział Rigels. To było w Gjirokastër i pytałem go o zrujnowane partery niektórych domów. Nie było drzwi, okien, witryn, tylko wielkie dziury u podstawy budynków wypełnione śmieciem, resztkami jakichś sprzętów i gruzem. W dziewięćdziesiątym siódmym wiosną rozsypały się finansowe piramidy. Rząd Saliego Berishy do końca zapewniał, że wszystko jest pod kontrolą, i w pewien sposób popierał działalność tych bajkowych instytucji. Skuszeni geometrycznym postępem bogactwa, ludzie wyprzedawali wszystko, co mieli, domy, mieszkania, zaciągali długi i wpłacali pieniądze na konta, które miały rosnąć jak słupek rtęci, gdy nadciąga gorączka. Dziesiątki tysięcy Albańczyków straciły wszystko. — Czy to, co tam było, sklepy, knajpki, należało do rządu? — zapytałem Rigelsa. Uśmiechnął się tylko: — Nie. To należało do kogoś, kto po prostu coś miał, a ludzie, którzy to grabili i niszczyli, nie mieli już nic. To była zemsta za posiadanie czegokolwiek.

Próbowałem sobie to wszystko wyobrazić. Siedzieliśmy w przyjemnej knajpce, ukrytej w piwnicznych wnętrznościach starej fortecy górującej nad miastem.

Piliśmy białe wino. Rigels witał się ze znajomymi. Obok podrastający chłopcy pili piwo i rozmawiali o dziewczynach, a ja próbowałem sobie wyobrazić, jak ich rówieśnicy pięć lat temu prują w powietrze seriami z kałachów, przez chwilę szczęśliwi, że sprawiedliwość i prawda nareszcie należą do nich. Niektórzy strzelają w okna sąsiadów, których nigdy nie lubili. Próbuję sobie wyobrazić tę straceńczą rewolucję ograbionych ludzi. Zrewoltowane Gjirokastër i Vlora leżą na Południu, a Berisha jest z Północy. Ten geograficzny podział jest tak silny historycznie, że zanosi się na wojnę domową. W każdym razie prezydent każe właśnie na Północy otworzyć magazyny z bronią w nadziei, że jego krajanie ruszą z krucjatą, by zdławić buntownicze Południe. „Szybko jednak zrozumiano, że wojna domowa Północ-Południe jest blefem lub niedoszłym zamiarem. Miejsce wojny domowej zajęła anarchia. Albańczycy — niektórzy — mieli instrukcje, inni stare marzenia o posiadaniu karabinu, jeszcze inni bali się, lękali o przyszłość lub naśladując drugich, rzucili się do magazynów broni i zaczęli brać co popadnie, łącznie z minami i materiałami radioaktywnymi. Później zaczęli strzelać w powietrze na wiwat, z radości lub ze strachu, albo dla wypróbowania broni, którą mieli w dłoni. Uzbrojeni ludzie skierowali się do więzień i uwolnili tysiąc pięciuset więźniów, z których siedmiuset było skazanych za zabójstwo. Tego dnia [10 marca 1997 roku — AS] zginęło, głównie od kul wystrzelonych w powietrze, ponad dwieście osób, rannych były tysiące. Rozpoczęły grabież bandy, o

których nie wiadomo, czy byli to ludzie Berishy, czy też zwyczajni bandyci. Doszło nawet do tego, że rozkręcono tory kolejowe, by kawałek po kawałku przehandlować je jako złom do Czarnogóry”.

Nie mogę uwolnić się od myśli, że kamienne hasła i samobójczą strzelaninę w niebo łączy pokrewieństwo. Obydwa gesty wydają się absurdalne, ale w najgłębszym sensie stanowią radykalne wyzwanie wobec rzeczywistości. Opętany totalitarną wizją Hodża i zanarchizowani obywatele rozpadającego się państwa postępują tak, jakby świat miał umrzeć razem z nimi. Jednocześnie Enver jest tak samo pewien swojej nieśmiertelności jak zrewoltowany tłum. I on, i oni żyją tylko w teraźniejszości. Hodża prawdopodobnie uważał, że od jego woli zależy wszystko, i dlatego nie uznawał żadnych ograniczeń. Strzelający w powietrze mężczyźni przeczuwali, że od nich nie zależy nic, i dlatego mogli robić wszystko.

„Shqiperia” to Albania. Nawet jej prawdziwe imię w jakimś sensie oznacza samotność, ponieważ poza Bałkanami mało kto je zna. Przez dwa tygodnie słuchałem albańskiego na ulicy, w autobusach, w radiu i chyba ani razu nie usłyszałem słowa „Albania”. Zawsze było: Shqiperia, Shqiptar, shqiperise.

Nazwa „Shqiperia” pochodzi od czasownika „shqiptoj”, który znaczy tyle, co wymawiać, mówić. W języku, którego nikt nie rozumie.

MOLDOVA

Kraj ma jakieś trzysta kilometrów w najdłuższym miejscu i jakieś sto trzydzieści w najszerszym. Przejście w Leuşeni zbudowane jest z szarego betonu i puste. Kobieta w mundurze bierze paszporty i znika na kilkanaście minut. Tędy przejeżdżają tylko Mołdawianie i Rumuni, i raczej nikt dla przyjemności. Potem jest wieś na skarpie po prawej. Niektóre domy stoją krzywo, z innych zostały tylko rumowiska. Ziemia osunęła się i zabrała kilkadziesiąt obejść. Na nietkniętym skrawku gruntu stoi cerkiew i odcina się na tle nieba. Grzbiety wzgórz są długie, płaskie i zielone. W dolinach czasami widać wsie. Z daleka przypominają obozowiska. Domy są tej samej wielkości, tego samego kształtu, tego samego koloru, przykryte takimi samymi eternitowymi dachami. Wyglądają jak namioty ze spłowiałego płótna. Nic nie stoi osobno. Wszystko razem, oddzielone od następnego. Bezmiar zieleni i siwa plama ścieśnionych domostw, znowu zieleń, zieleń i zieleń i znów garść cementowych kanciastych zabudowań trzymanych w ryzach przez niewidzialną linię.

Przeciętna pensja to dwadzieścia pięć dolarów. Dolar to około trzynaście mołdawskich lei. Mołdawskie banknoty są małe i spłowiałe. Na wszystkich jest Stefan Wielki, a po drugiej stronie jakiś zabytek. Cerkiew albo klasztor. W Mołdawii jest około stu trzydziestu zabytków. Ich spis

mieści się na jednej stronie formatu A4 w atlasie Mołdawii, który kupiłem sobie w Kiszyniowie. Połowa pochodzi z XIX i XX wieku. Banknoty są na ogół zniszczone. Dość długo zastanawiałem się nad tym, jak radzą sobie z nimi bankomaty. Wydawały mi pliki wyświechtanych, przetartych, naddartych i wytłuszczonych nominałów, lecz nigdy się nie pomyliły. Do tej pory myślałem, że bankomat potrafi liczyć tylko nowe albo prawie nowe, w każdym razie chociaż trochę sztywne. Jest jeszcze bilon, chociaż niewiele się go używa. Jednak pięćdziesiąt bani wygląda bardzo pięknie. Ta niewielka moneta w kolorze matowego złota ma na awersie dwa winne grona i w jakiś bezradny sposób próbuje sugerować obfitość. Najtańsze papierosy astra kosztują około dwóch lei; najdroższe, marlboro, około szesnastu.

Do Cahul jedzie się z autogara Sud-Vest. To już skraj Kiszyniowa, kończą się białe blokowiska i zaczyna monotonia wzgórz. Pod blaszanym dachem stoi jeden autobus. Południe jest biedne jak mysz kościelna. Na południu kończy się świat i można się wybrać najwyżej do rumuńskiego Gałacza.

Mołdawia jest jak śródlądowa wyspa. Żeby móc się w ogóle gdzieś wydostać, otrzymała ostatnio od Ukrainy pięćset metrów dunajskiego brzegu niedaleko Giurgiulesti na samym południu. Ale na razie wielkie ciężarówki muszą się wlec przez Ukrainę i Polskę, zanim osiągną wyśniony Berlin i Frankfurt. W autobusie do Cahul wszyscy są życzliwi. Częstują owocami. Sami chętnie przyjmują

poczęstunek ukraińskim piwem o nazwie czernihowskie w litrowej plastikowej butelce. Wypytują o wszystko i opowiadają o sobie. Nie potrafią tylko pojąć sensu podróży do Cahul czy gdziekolwiek indziej. „Przecież u nas nic nie ma", mówią.

W dniu, kiedy Pan Bóg rozdawał ludom ziemię, Mołdawianin akurat zaspał. Zbudził się, gdy było już po wszystkim. „Co ze mną będzie, Panie Boże?" — zapytał smutno. Pan Bóg popatrzył z góry na zaspanego i zmartwionego Mołdawianina, i zaczął się zastanawiać, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Ziemia była już rozdzielona i jako Pan Bóg nie mógł kwestionować własnych decyzji, a tym bardziej zajmować się przesiedleniami. Machnął w końcu ręką i powiedział: „No trudno. Chodź, zamieszkasz ze Mną w Raju". Taka jest legenda.

Gdy się jedzie do Cahul czy gdziekolwiek indziej, legenda przypomina prawdę. Monotonia przywodzi na myśl wieczność. Wciąż jest zielono, wciąż urodzajnie, pejzaż faluje, widnokrąg wspina się i opada, ukazując tylko to, czego się spodziewamy, jakby nie chciał nam robić przykrości. Winorośl, słoneczniki, kukurydza, trochę zwierząt, winorośl, słoneczniki, kukurydza, stada krów i owiec, czasami sady i wciąż szpalery orzechów po obu stronach drogi. W krajobrazie nie ma wolnych miejsc, nie ma nagle zerwanej ciągłości, wyobraźnia nie napotyka zasadzek i wkrótce zasypia. Najprawdopodobniej coś tu się działo sto, dwieście i trzysta lat temu, ale zdarzenia nie

pozostawiły śladów. Życie wsiąka w ziemię, rozpływa się rozcieńczone przez atmosferę, tli się spokojnie i wolno, jakby miało obiecane, że się nie skończy.

Postój był w Cimişlia. To wyglądało tak, że nie sposób zapamiętać. No jakaś nicość, która na chwilę spróbowała stać się dworcem autobusowym. Betonowy majdan z jednej strony otwarty na podmiejski wygwizdów, a z drugiej zamknięty budynkiem. Szarość, kurz i upał. Kran do piwa w barze to była taka rurka z gumowym wężykiem owiązanym drutem, a dalej, w głębi, wszystko formował przypadek, widzimisię nawarstwionych rzeczy. Ni to mieszkanie, ni to rupieciarnia, ciemno, ciasno i nisko, pospawane żelazne pręty, blacha, laminat, wszystko od razu, od początku zniszczone, żeby się potem nie martwić i mieć już z głowy. To była rozpacz wzgardzonej materii. Ludzie siedzieli, jedli, pili i czekali, ale wyglądali jak nadzy, jakby zaraz mieli się poranić o krawędzie tego wszystkiego.

Na skrzyżowaniu czekał wózek zaprzężony w osła. Wokół nie było nic i dopiero gdzieś dalej i niżej, tam, gdzie kończyły się łany kukurydzy, szarzała cementowa wieś. Z autobusu wysiadła kobieta. Ciągnęła za sobą drucianą konstrukcję na dwóch kółkach. Do tego przywiązana była niewielka torba. I jedno, i drugie zrobione chyba w domu. Czekała na nią dziewczyna. Ściskały się jak po długiej rozłące. Potem wsiadły na wózek. Były większe od całego zaprzęgu. Brązowy osioł ruszył w stronę wsi. Wyglądało to na jakąś zabawę, bo ledwo się mieściły. Jak na jakimś skradzionym kawałku dziecinnej karuzeli.

Co powiedzieć o Cahul? Z Cahul jest parę kilometrów do rumuńskiej granicy i potem jedzie się do Gałacza nad Dunajem. W Cahul przy głównej ulicy było widać tę graniczną bliskość. Jeździły auta z dudniącym basem i w knajpach na powietrzu wygrzewali się smutni królowie życia. Zamawiali mołdawski koniak, wypijali szklankami, ale ich twarze nie zmieniały wyrazu. Potrafili tylko poruszać ustami. Resztę mieli nieruchomą raz na zawsze. Poprawiali złote łańcuchy i sprawdzali, czy wszyscy widzą. Nie gasili nawet aut, żeby wszyscy wiedzieli, że mają dużo benzyny. Takie było Cahul na pierwszy rzut oka. Pograniczny grajdoł, nerwowe lenistwo cwaniaków z miodem w uszach i jazda w kółko, żeby zabić nudę.

W parku obok białej cerkwi facet wypożyczał gokarty. Siedział za biurkiem w cieniu drzewa i liczył czas jazdy, używając szklanej klepsydry. Zaraz potem miasto niepostrzeżenie zamieniało się w wieś. Po prostu drzewa stały się wyższe od domów. Kozy skubały trawę pod partyzanckim pomnikiem z wielkimi cementowymi zbliżeniami twarzy bohaterów. W sklepiku obok paliło się w biały dzień żółte światło. Weszło trzech mężczyzn i kobieta za ladą nalała im wódkę do kieliszków. Wtedy zrozumiałem, że ten sklep to knajpa.

Na placu przed hotelem całą noc gryzły się psy. Gryzły się i wyły. O świcie zaczęły zajeżdżać samochody z towarem. To był bazar. Stały tam też metalowe wagony kolejowe bez kół. Służyły jako magazyny i sklepy. Z piątego piętra było widać zwariowane bogactwo. Wszystko błyszczało i migotało w

słońcu. Folia, plastik, celofan, szkło i metal. Ogórki i pomidory. Arbuzy i melony. Potem zszedłem i z bliska zobaczyłem, że mają wszystko, co potrzebne jest do życia. Paski do spodni i złocistą kukurydzę, słoje do marynowania i beczki do kiszenia. W kółko grała muzyka. Kobiety siedziały nieruchomo nad swoim towarem z rękami złożonymi na podołku. Tak samo jak w domu albo na ławeczce przy furtce. Spostrzegłem, że tam w ogóle było mało gestów i dużo prostego czekania.

Właściciel niebieskiej renówki nie chciał jechać za dwadzieścia euro. Powiedział, że drogi są kiepskie i auto się niszczy. Chciał trzydzieści plus benzyna. Sam też był ubrany na niebiesko i schludny. Następne w kolejce stało stare żiguli. Tak stare, że nie zapamiętałem koloru. Kierowca był wielki, gruby i nie przejmował się wyglądem. Powiedział, że pojedzie i że nazywa się Misza. Miał pod pięćdziesiątkę. Wyjechaliśmy za Cahul. Droga pięła się w poprzek łagodnych grzbietów, pomiędzy winnicami i łanami kukurydzy. Wsie zaczynały się natychmiast i kończyły jak nożem uciął. Misza mówił, że teraz jest bardzo źle. Wspominał Stalina, chociaż nie mógł go pamiętać. Stalin był wart wspomnienia, ponieważ rozstrzeliwał złodziei. Tak twierdził Misza. Według niego problemem dzisiejszej Mołdawii było złodziejstwo, ponieważ Mołdawia została w całości skradziona zwykłym ludziom. Za sowieckich czasów, gdy wszystko było wspólne i niczyje, kradzież nie stanowiła problemu. Tak samo jak reszta, była wspólnym dobrem. Kradli wszyscy, a jednak nikt nie tracił. Dziś kradną tylko

najbogatsi i bardzo pilnują, by nie robili tego biedni, po ieważ wymyślono własność. Wymyślono ją przeciwko zwykłym ludziom, którzy nic nie mają. To są słowa Miszy, który mówił po rosyjsku.

Chciałem jechać do Comrat, do stolicy Gagauzji. Nie do końca wiadomo, kim są Gagauzi. W Mołdawii jest ich dwieście tysięcy. Ich język należy do grupy języków tureckich, wyznają prawosławie, w okolice Comrat przybyli z Dobrudży, gdy Rosja w 1812 zagarnęła Mołdawię i dla zatarcia śladów nazwała Besarabią. Mogą być zbułgaryzowanymi Turkami bądź sturczonymi Bułgarami, nikt tego nie wie. Tak jak prawie nikt nie wie, że istnieją. No więc pojechałem do Comrat szosami pustymi jak pasy startowe.

Trudno jest opisać Comrat, ponieważ jest słabo dostrzegalne. Jedzie się przez miasto, które ledwo widać. Są domy, są ulice, ale to tylko szkice, ledwo uformowana prowizorka, smutek materii, która zastygła w pół drogi do spełnienia, osłabła w pół kształtu. Pomnik Lenina był pociągnięty złotą farbą. Główną ulicą szedł kondukt pogrzebowy. Otwarta trumna jechała na pace furgonetki. Obok trumny siedziała na krześle stara kobieta w czerni. Było gorąco. Nad twarzą martwego mężczyzny unosił się rój much. Kobieta odganiała muchy zieloną gałązką. To był powolny, monotonny ruch. Dziwnie to wszystko wyglądało, ponieważ szli w zupełnej ciszy pośród zgiełku codzienności, pośród straganów z chlebem i warzywami, pośród rowerów, furmanek i aut. Przeciskali się pod prąd zwykłego życia.

Przed Muzeum Gagauzji stał pomnik bohaterów wojny afgańskiej. Młody chłopak z karabinem pomalowany był srebrną farbą. Chciałem sobie coś obejrzeć, ale tam w środku jakby wszyscy tylko na to czekali. Dyrektorka i dwie inne kobiety. Szefowa wzięła drewnianą wskazówkę i zaczęła mówić o wielkiej wędrówce ludów z wnętrza Azji. Postukiwała patyczkiem w mapy i wychodziło na to, że Gagauzi są jednak Turkami, którzy zamiast zająć południowe brzegi Morza Czarnego, zabłąkali się na północ. Szliśmy przez kolejne sale zgodnie z nurtem czasu. Gdzieś z bocznych drzwi wyszedł staruszek i powiedział, że jest członkiem Związku Artystów Plastyków Gagauzji. Urodził się w 1935 roku we wsi Świątkowa Wielka, jakieś piętnaście kilometrów od miejsca, gdzie mieszkam. Nazywał się Andrej Kopcza.

Misza wciąż gubił drogę. Odjechał od rodzinnych stron pięćdziesiąt kilometrów i stracił orientację. Pokazywałem mu mapę. Bał się dróg, którymi nigdy nie jechał. Były na mapie, ale nie wierzył, że istnieją. „Tam żyją tylko Turcy, nie ma po co”. „Tam sami Bułgarzy...”. Nie chciał wyjść z auta, nie chciał kawy, nie chciał obiadu. Nie mieściło mu się w głowie, że ktoś może tak marnować czas i pieniądze, że ktoś może tu przyjechać bez wyraźnego celu. Bo czy wieś Albota de Sus może być sensownym celem? Albo wieś Sofievca? No więc Misza nie wychodził nawet z auta. Patrzył na szary postsowiecki liszaj rozpełzły w zielonym pejzażu, ja patrzyłem na niego i nasze umysły były dla siebie nawzajem nieprzeniknione. On tęsknił do tego, co

było, i nienawidził tego, co pozostało. „Ja sowiecki człowiek”, powiedział tego ranka. Przecież nic innego nie mogło pozostać, ponieważ wcześniej niczego innego nie było. Nędza i smutek prowizorycznie uformowanej materii robiły tylko to, co do nich należało. Przeżerały rzeczywistość. Cała ta przestrzeń wyglądała na bezpańską. Pustą drogą jechał traktor z przyczepą i mężczyzna zrzucał widłami świeżo skoszoną zieleninę. Po parę garści przed każdym obejściem. Trudno było zgadnąć, czy to jest jakaś jałmużna, czy należność.

W Baurci byliśmy o zmierzchu. Misza wziął pieniądze i odjechał. W Baurci mieszkają sami Gagauzi. Szukaliśmy Eleny. Poznaliśmy ją dwa dni wcześniej w autobusie do Cahul. Była ruda, uśmiechała się nieśmiało i pięknie. Powiedziała, że pracuje w Istambule, ale teraz przyjechała do domu, do dzieci. Zaprosiła nas i teraz jej szukaliśmy w ogromnej dziesięciotysięcznej wsi, rozłożonej na niskich wzgórzach w środku bezdrzewnej wyżyny.

„To ta, co miała dwóch mężów, a drugi był Turkiem”, tak nam mówili we wsi, i w końcu znaleźliśmy jej dom. Stał w długim szeregu podobnych. Wchodziło się na cieniste podwórko, na niewielki dziedziniec przykryty pnącą winoroślą. Elena znów się uśmiechała. Otaczały ją dzieci. Wyszedł jej ojciec. Wszyscy byliśmy skrępowani. „No tak żyjemy”, powtarzała. Wszystko chciała od razu pokazać. Poszliśmy do ogrodu. Oglądaliśmy warzywa, oglądaliśmy winne krzewy, to kapusta, to pomidory, to ogórki — tak powtarzali. W końcu przybyliśmy z daleka i mogliśmy tego

wszystkiego nie znać. Oglądaliśmy chude rude cielę, stojące na krótkim łańcuchu po pęciny w gnojówce. Świnie siedziały gdzieś w ciemności, więc czuliśmy tylko zapach. Wszystko było skupione, ścieśnione, obok siebie, łączyło się jedno z drugim. „Dali mało ziemi”, powiedziała Elena.

Spaliśmy w największym pokoju. Wypełniały go cudeńka. Ze szkła, z plastiku, z porcelany, z metalu, figurki, figurynki, ozdóbki, pamiątki, makatki, niewinne duperele, blade tancerki i tandetne zegarki, szklane kule, czyste piękno bez żadnych pretensji, muzeum śliczności, wschodni przepych, orgia nicości i marzeń, zmaterializowany sen. Przypomniały mi się pokoje moich ciotek i babek ze wsi, ale były tylko bladym odbiciem pokoju w Baurci.

Rano oglądaliśmy wieś. Poszli wszyscy. Elena, dzieci, jej ojciec, jej siostra, szwagier Ilia, który znał świat, bo służył w wojsku w NRD i budował domy w Moskwie.

Fronton domu kultury zdobiła ludowo-socjalistyczna mozaika. Betonowe popiersie Lenina stało na dwumetrowym cokole. „Samyj łuczszyj czełowiek”, powiedziała Elena i uśmiechnęła się jak to ona. Wtedy zrozumiałem, że oni nie mają tutaj nic więcej, że pamięć Baurci zaczęła się kilkadziesiąt lat temu, że wcześniej po prostu nic nie było. Osioł ciągnął wózek. Powoziło dziecko. W środku, w przepastnych i pustych wnętrznościach domu kultury, dudniła martwa muzyka. Znaleźliśmy to miejsce. Osiemnastoletnia blada dziewczyna odtwarzała ruchy i gesty zapamiętane z telewizji. Muzyka leciała z taśmy, a ona śpiewała mechanicznym głosem, zagubiona w smutnym

nerwowym tańcu. Tego ranka na śniadanie jedliśmy miejscowy przysmak — gotowaną świńską skórę. „Kiedyś przyjeżdżało kino”, powiedziała Elena. Pod drzewem siedziała stara kobieta ubrana na czarno. Obok stał worek z pestkami słonecznika. Na gałęzi wisiała zardzewiała waga. Kobieta siedziała prosto, nieruchomo, z rękami złożonymi na podołku. Na blaszanych bramach wiodących do obejść widniały emblematy olimpiady w Moskwie: stylizowany moskiewski wieżowiec zwieńczony czerwoną gwiazdą. Zrobione to było z drutu, przyspawane i pomalowane. Na co drugiej, co trzeciej bramie.

Baurci to był prawdziwy koniec Rewolucji. Tak to wyglądało. Nie zostało nic, co mogło się przydać, nic, co byłoby cokolwiek warte. Siedemdziesiąt lat jak psu w dupę. Karykaturalny monument zbrodniarza przed pustym gmachem, w którego wnętrzu dudniła rozpaczliwa podróbka muzyki zgniłego Zachodu. Tylko ośli zaprzęg wydawał się sensowny i rzeczywisty. Mówiąc szczerze, byłem bezradny. Ludzie przecież wiedzą, co jest dla nich dobre, a ich serca nie mogą kłamać, gdy odczuwają tęsknotę. Coś tu nie grało, coś nie pasowało. Czułem się jak intruz i jak idiota w świecie, którego nie potrafię pojąć.

W Baurci był tylko jeden nowy budynek, ale za to bardzo duży. Może nawet większy od domu kultury. Kremowe ściany, wielkie okna, czerwony dach, prostota, funkcjonalność i w ogóle jakoś tak wyzywająco jaśniał w zmęczonym pejzażu wsi. Coś takiego widuje się w amerykańskich filmach, w czymś takim amerykańskie pary

biorą ślub. „To protestanci”, powiedziała Elena. Zapytałem, czy gmina jest liczna, lecz nie potrafiła powiedzieć. Wiedziała tylko, że prozelici „nic nie robią i nie wiadomo skąd mają dużo pieniędzy”. W środku stały jasne sosnowe ławy, sosnowy ołtarz i było trochę jak w Ikei. Potem zobaczyłem dom jednego z wyznawców. Niczym nie różnił się od reszty, tylko na podwórku stała paroletnia japońska terenówka. „Jeździ do Kiszyniowa”, powiedziała Elena i zabrzmiało to jak zarzut.

Tego popołudnia my też pojechaliśmy do stolicy. Do przystanku autobusowego było dziesięć kilometrów. Odwiózł nas Ilia swoim żiguli. Od rana piliśmy na zmianę piwo i wino, ale Ilii wcale to nie przeszkadzało. Nawet Kiszyniów nie jest problemem, jeśli autobus nie przyjedzie. Tak mówił. Był niewysoki, żylasty, i nie bał się niczego, ponieważ widział w życiu i Drezno, i Moskwę. Ale autobus przyjechał i ściskaliśmy się mocno na zakurzonej drodze w Congaz. Obiecywaliśmy sobie, że na pewno się jeszcze spotkamy. To byli wspaniali ludzie. Powiedzieli: „Tak właśnie żyjemy”, pokazali nam swoje życie tak naturalnie, jak inni pokazują wnętrze domu. Siostra Eleny wstała o czwartej rano, zabiła królika i kurę, żeby nas podjąć śniadaniem. Matka dwu sióstr była sparaliżowana. Siedziała na fotelu w cieniu winorośli i przyglądała się z uśmiechem, jak pijemy wino. Ojciec częstował śliwowicą zabarwioną sokiem malinowym. Na talerzach leżały plastry arbuzów i melonów. Teraz ściskaliśmy się z Ilią na

zakurzonej drodze w Congaz, obiecując sobie, że na pewno się spotkamy, chociaż nikt z nas w to nie wierzył.

Kiszyniów, ach Kiszyniów! Białe blokowiska na zielonych wzgórzach. Widać je z północy, południa, ze wschodu i zachodu. Piętrzą się niczym skalne urwiska. Jaśnieją w słońcu. Chwała geometrii w rozfalowanym, nieregularnym pejzażu. Nie ma niczego większego ani wyższego w całej Mołdawii.

Gigantyczne nagrobki wetknięte w urodzajną, pulchną ziemię. Kamienne tablice egalitaryzmu. Termitiery wszechświatowego postępu. Nowe Jeruzalem w stanie śmierci technicznej. Na wylotówkach z miasta stoją ciężarówki załadowane plastikowymi beczkami, gąsiorami na wino, słoikami Wecka, tysiącami naczyń, w które Mołdawia przed zimą zapakuje swe bogactwa, żeby przetrwać. Zakisi, zamarynuje, sfermentuje, wypasteryzuje, zasoli zawartość swych sadów i ogrodów. W centrum na bulwarze Stefana Wielkiego i Świętego, wśród salonów z japońską elektroniką i włoskimi butami, wędrowali ludzie objuczeni słoikami. Nieśli po dziesięć, po dwadzieścia sztuk zmyślnie popakowanych nowiutkich weków. Albo błyszczące ocynkowane wiadra. Albo torby pełne ogórków i pomidorów. Turlały się furgonetki wyładowane arbuzami i ciągnęły przyczepy pełne melonów. Stary Kiszyniów był w istocie taką trochę wyższą wsią. Wystarczyło zejść nieco w bok z głównego deptaka i zaczynały się parterowe albo jednopiętrowe domy, zatopione w zieleni, odgrodzone drewnianymi parkanami, przechadzały się koty i ludzie

przysiadywali na schodkach. Takie było stare centrum, dwadzieścia ulic na krzyż i snujące się resztki zapachu sennej imperialnej prowincji. Gdyby znikły samochody, wszystko byłoby jak kiedyś, jak sto lat temu.

No więc Kiszyniów. Spędziłem wiele godzin pod parasolem w Green Hills Nistru przy bulwarze Stefana Wielkiego i Świętego, na rogu strada Eminescu. W knajpie siedziało towarzystwo bardziej międzynarodowe. Mówili po angielsku i niemiecku. Wyglądali na urzędników przepuszczających tutaj europejskie i amerykańskie pieniądze. Prócz nich rodząca się właśnie mołdawska klasa średnia: złoto, ciemne okulary, ogólnie dostępny styl, gdzieś między cinkciarzem, alfonsem i włoskim amantem. Kobiety przypominały te widywane w telewizji. Prawie wszystkie nosiły na szyjach małe srebrne telefony komórkowe zawieszone na łańcuszkach. Coś takiego zapamiętałem z Rumunii. Swoje piwo, kawę i resztę próbowałem zamawiać po rumuńsku, ale kelnerzy zdawali się nie do końca rozumieć i odpowiadali po rosyjsku. Oczywiście rozumieli, ale rosyjski był dla nich oznaką wykwintu i wielkiego świata. Możliwe, że brali mnie za kmiotka z besarabskiego zadupia albo szpiega, który nie do końca nauczył się roli.

Dziwne miasto. Wystraszeni osiemnastoletni gliniarze chodzący trójkami, kolesie w land cruiserach, patrzący na ulice jak na swoją własność, faceci pod pocztą handlujący impulsami z kart telefonicznych, ludzie objuczeni naczyniami, łysi małolaci w szerokich spodniach ze wzrokiem potulnie wbitym w ziemię, jakby uprawiali jakąś

nieśmiałą franciszkańską odmianę gangsta, panny z gołymi brzuchami, na niebotycznych i chwiejnych obcasach, przechadzające się główną ulicą niczym po missświatowym wybiegu, romańsko-słowiańska mieszanka urody, oszpecona burdelowym makijażem, chłopska nieśmiałość w rewiowych kostiumach i wrażenie, że wszyscy coś udają, że naśladują własne wyobrażenia o świecie, który jest gdzie indziej. Dlatego w końcu zostawiliśmy Kiszyniów.

Kola powiedział, że za trzydzieści euro może jeździć cały dzień. Miał starą renówkę vana z plastikowym, kosmicznym designem w środku. Za sowieckich czasów był instruktorem sambo. Ciężki, wąsaty i dobroduszny facet. Do Starego Orhei? Proszę bardzo. Nigdy nie był, ale żaden problem. Pojechaliśmy prosto na północ.

Gdzieś na wylotówce, może w Cioresc u, niedaleko jezdni w cieniu drzewa stało stare biurko. Siedział za nim tłusty glina i patrzył, jak młodsi w wielkich okrągłych czapach zatrzymują kolejne ofiary i biorą w milczeniu po dwadzieścia lei. Ale my jechaliśmy do Starego Orhei. Ktoś nam powiedział, że powinniśmy. Miał rację. Rzeka Răut wgryzła się w ziemię, jakby chciała wypłynąć z drugiej strony. Wąski język lądu wypiętrzał się na kilkadziesiąt metrów. Złota Orda założyła tu kiedyś miasto. Mieli gust. To był pejzaż sprzed stworzenia człowieka. Krajobraz z początków. Ledwo szkic, pierwszy pomysł, jak będzie wyglądała Ziemia, jakaś prawie abstrakcja, jakaś synteza najprostszych kształtów. Pionowe urwisko, płaskie jak stół dno doliny i powolna rzeka, szukająca sobie przejść w

tektonice. Tak samo jak sto tysięcy lat temu. Woda zapadała się coraz głębiej w ziemię. Miała bury, mulisty kolor.

Kaprys rzeki ukształtował tu coś w rodzaju stromego i długiego półwyspu. W skalnych ścianach był wykuty klasztor. Kilka maleńkich okienek wyglądało na ten przedwieczny pejzaż, na piękną nicość, która dopiero szukała formy. Do cel można było się dostać jedynie od strony urwiska, wspinając się za pomocą łańcucha po pionowej skale. Potem bracia zabierali łańcuch i zostawała samotność i pusta przestrzeń. Jak w egipskim Sketis, gdzie Ojcowie Pustyni wyzywali do walki demony. Później widziałem jeszcze inne klasztory, ale wyglądały jak coś z importu. Zresztą tak było w istocie, bo zbudowali je Rosjanie w pompatycznym imperialnym stylu. Orhei to były po prostu jamy wydrążone w skale, to była próba wyjścia z przekleństwa czasu. Próba życia w wieczności. W niskich sklepieniach cel, gdzie można było tylko leżeć albo klęczeć, widać było odciski muszli, kręte ornamenty skorupiaków, znaki pierwszych siedmiu dni stworzenia, gdy wody dopiero oddzielały się od lądów, a ciemność od światła. Próbowałem sobie wyobrazić, jak pełzają w mroku, żyją niczym zwierzęta w jaskiniach, na czworakach i w niewyobrażalny dla nas sposób wychodzą ze swojej cielesności, ze swojego człowieczeństwa. Opuszczają śmierdzące i zawszone powłoki, ponieważ widzialne i dotykalne istnieje tylko po to, by nie wszyscy mogli poznać prawdę.

Ale to było dawno. Teraz kilku braci mieszkało po prostu we wsi leżącej u podnóża urwiska. W maleńkiej, wydrążonej

we wnętrzu ziemi kaplicy zastaliśmy jednego mnicha. Był chudy, brodaty, chętny do rozmowy i widać bywały w świecie, bo wziął nas za Słowaków. Streścił nam historię klasztoru, pokazał puste, wymiecione do czysta cele bez okien, gdzie trzeba było kucać, i zaraz potem zajął się trzema oficerami z rosyjskiej, mołdawskiej i ukraińskiej armii. Dziwnie wyglądali w tym miejscu, w mundurach, bez broni i z aparatem fotograficznym. Rosjanin w czapie typu „lotnisko” był najstarszy wiekiem i chyba rangą. Ukrainiec był najmłodszy, przystojny i w czarnych lustrzankach wyglądał jak hollywoodzki aktor grający żołnierza. Tak, dziwnie wyglądali w tym przedwiecznym pejzażu z mnichem w roli przewodnika. Potem widzieliśmy ich, jak pozują do zdjęć na tle urwisk i meandrów rzeki Răut. Przekazywali sobie aparat i stawali sztywno, w napięciu, jakby zamiast bezludnego pejzażu mieli przed sobą przynajmniej batalion wojska. To byli mirotworcy, siły pokojowe. Pilnowali granic nieistniejącego państwa, pilnowali granic Naddniestrza. Tutaj byli chyba na przepustce.

No więc Naddniestrze formalnie nie istnieje. Żadne państwo świata nie uznaje Naddniestrza. Naddniestrze ma mniej więcej dwieście kilometrów długości, ale jest cienkie jak jakieś europejskie Chile. W najszerszym miejscu ma trzydzieści parę. Trochę strach tam było jechać. Mówili nam, że jak coś się stanie, to nie bardzo wiadomo, z kim rozmawiać. Widmowe państwo, więc i reguły postępowania dość widmowe. No, ale pojechaliśmy. Powiózł nas Walerij

dziesięcioletnią vectrą. Walerij nie bał się niczego: wczoraj Kijów, jutro Moskwa, pojutrze Wiedeń, więc może być i Naddniestrze — proszę bardzo. Za komunizmu, gdy pracował jako inżynier agrotechnik, było wprawdzie lepiej, ale teraz też można wytrzymać, tylko trzeba się bardziej starać. Tak, Walerij był w porządku i niczemu się nie dziwił. Chcieliśmy wjechać do nieistniejącego państwa przez największe zadupie, przez Răscăieţi, bo tam Dniestr rozdziela się na dwie odnogi, meandruje, kluczy i na mapie wygląda jak rzucona byle jak błękitna wstążka. Najpierw był długi i pusty most nad rzeką. Nic a nic nie jechało, tylko dwóch chłopaków na rowerach od naddniestrzańskiej strony. Na bagażnikach wieźli wiązki suchych patyków. Potem zaczynały się łany kukurydzy i wśród nich stała budka z samotnym mołdawskim celnikiem w czarnym mundurze. Mołdawia nie uznaje oczywiście secesji tego niby-państwa, przyznając mu jedynie status czegoś w rodzaju okręgu autonomicznego, i nie uznaje granicy, więc nie trzeba pokazywać paszportów i tak dalej. Ale na wszelki wypadek trzyma tam swoich celników. W końcu w Naddniestrzu, w Cobasna, są jedne z większych składów broni w Europie. To stąd, z Tiraspola, miała ruszać ewentualna sowiecka inwazja na Bałkany, Grecję i tak dalej.

Ale celnik nic od nas nie chciał. Nie włożył nawet czapki i razem z nami przyglądał się rozłożonej na masce auta mapie z tymi wszystkimi rozlewiskami, zakolami, bagnami, z tym dniestrzańskim nurtem chwilami płynącym w górę

własnego biegu, zwyczajnie pod prąd, stukał w nią palcem i mówił, że tam, gdzie jest najfajniej, nie da się raczej dojechać naszą vectrą. Ani aparat fotograficzny, ani kamera nie robiły na nim wrażenia. Miał dwadzieścia parę lat i szpiegomania nie zdążyła zatruć jego umysłu. Pomachał nam na pożegnanie, pojechaliśmy i zaraz stał posterunek naddniestrzański. Tam już było zupełnie inaczej. Też byle jaka buda, ale siedziało ich ze czterech. Jacyś tacy rozchełstani, niby w mundurach, ale tak jakbyśmy wyrwali ich z łóżek i ze snu. Sznurowadła całkiem cywilnych butów wlokły się w kurzu, postsowiecki design wymiętych uniformów i jakaś taka natychmiastowa ponurość. Wzięli paszporty i od razu poczuliśmy się jak wrogowie. Nie patrzyli w oczy, patrzyli gdzieś w niebo, ponad, w jakiś bezmiar minionego wszechzwiązkowego nieboskłonu. Diabli wiedzą, może pierwszy raz widzieli obcego? Przez te parę naście minut przejechała fura z sianem i przeszła kobieta z motyką. O nic ich nie pytali i zaraz przepadli w kukurydzianej pustce. W końcu powiedzieli, żebyśmy jechali z powrotem i udali się do miasta Bender, gdzie urzęduje naczalstwo, które będzie wiedziało co z nami zrobić.

W Bender na przejściu była rozpierducha. Baraki, dykta, falista blacha, pokruszony beton, prowizorka i szlaban. Jakiś taki zanik i zarazem smutek podszyty czymś groźnym. Od razu wypatrzyli kamerę i odezwał się w nich prastary strach tych, którzy mają coś do ukrycia. Twierdzili, że filmowaliśmy przejście. Jasne, że filmowaliśmy, ale

mówiliśmy, że nie. Zabrali paszporty i we trzech albo czterech poszli do budy z dykty. Zostaliśmy w palącym słońcu. Widziałem, jak A. poci się, przysiada na krawędzi otwartego bagażnika i powoli, niemal niezauważalnie wyjmuje z kamery nagraną kasetę i zastępuje ją czystą. Nikt nic nie zobaczył. To jeden, to drugi wychodził z budy, w milczeniu się nam przyglądał, robił parę sztywnych kroków i odchodził. Tak, byliśmy dla nich wrogami. Żadnych wątpliwości. Czyhaliśmy na to, co mają. Trzymali nasze paszporty, w których nie mogli nawet postawić swoich stempli, jeśli je mieli.

Nikt ich nie uznawał, więc nie mogli stemplować. W końcu Walerij do nich poszedł. Po chwili wrócił i powiedział, że oni wiedzą, że filmowaliśmy, a to jest poważna sprawa i całkiem zakazane, ale jak dostaną sto lei, to możemy wjechać. Daliśmy te pieniądze. Nie chcieli nawet kasety. Byliśmy wrogami, ale płaciliśmy.

Dostaliśmy kawałek papieru, strzęp jakiegoś kwitu. Na odwrocie napisali długopisem, że jeden samochód, cztery osoby i kamera. To była naddniestrzańska wiza.

Nadddniestrze oderwało się od Mołdawii w 1992 roku. Była regularna wojna, zginęło kilka tysięcy ludzi. Naprawdę nigdy nie należało do historycznego państwa mołdawskiego. Gdy po drugiej wojnie Sowiety odbierały Rumunii ziemie między Prutem a Dniestrem, zamieniając je w kolejną republikę związkową, Stalin dokleił do Mołdawskiej SRR ten wąski pasek na lewym brzegu Dniestru. Tam była industrializacja, energetyka,

zbrojeniówka i oczywiście Rosjanie, którzy trzymali na tym wszystkim łapę. Po drugiej stronie zostało rolnictwo, kukurydza, winorośl, wieś, bydlęta i mówiący po rumuńsku Mołdawianie. Niewykluczone, że Gruzin wszystko przewidział i zaplanował. Zaprojektował rozpad własnego poronionego imperium tak, by niósł ze sobą jak najwięcej zamętu. Po prostu nie miał innego pomysłu na to, by go wspominano. Tak więc w Naddniestrzu było za dużo broni i za dużo Rosjan, by niepodległa, zielona i biedna Mołdawia mogła w ogóle o Naddniestrzu marzyć.

Z przejścia do Tiraspola było może z dziesięć kilometrów. Są krajobrazy i miasta, których nie da się zapamiętać. Coś się niby widzi, ale wszystko jest niewyraźne i mętne, jakby się podglądało cudzy męczący sen. No, po prostu nic. Jakaś dwupasmówka, szare kanciaste domy, wynędzniała czerwień sowieckich haseł przy drodze, zardzewiałe żiguli z nowymi tablicami rejestracyjnymi, idealnie udającymi tablice niemieckie, całkowity parter wyobraźni. Tak wyglądał wjazd do stolicy. Stanęliśmy przy bazarze. Chciałem jak najprędzej dowiedzieć się, jak wyglądają ich pieniądze. Zaraz za bramą stały budy z wymianą. Po prostu się podchodziło i podawało mołdawskie leje komuś w ciemnym wnętrzu. Zobaczyłem łapę ze złotym łańcuchem, ale twarzy już nie. Za jednego leja dawali dwa naddniestrzańskie ruble. Pięciorublowy banknot miał pięć i pół na trzynaście centymetrów. Z jednej był oczywiście Suworow, z drugiej trzypiętrowy blokas w stylu lat sześćdziesiątych i napis na dole głosił, że jest to „zawod

Kwint”, czyli miejscowa wytwórnia koniaków, całkiem zresztą przyzwoitych. No więc z jednej strony historia, podboje, rzeź Pragi, chwała rosyjskiego oręża — głównie za granicą — a z drugiej strony, jakkolwiek na to patrzeć, jednak gorzała jako państwowa czy też narodowa duma.

W każdym razie Walerij wziął torby i poszedł na zakupy. W Tiraspolu miało być znacznie taniej niż w Kiszyniowie. Nakupił melonów, arbuzów i brzoskwiń. Pojechaliśmy szukać jakiegoś miejsca na obiad. Niczego nie mogliśmy znaleźć. To w ogóle nie przypominało miasta, tylko jakieś peryferie. Coś niby chciało się zacząć, lecz nie potrafiło. W końcu nam pokazali, gdzie jest centrum. To była szeroka ulica, obsadzona starymi drzewami. Czasami coś nią przejechało. Zazwyczaj zabytkowy moskwicz, biedniutkie żiguli, a pomiędzy nimi od czasu do czasu pojawiały się wielkie terenówki z przyciemnianymi szybami i najczęściej czarne. Tiraspol to nie było miejsce, gdzie człowiek chciałby zostać. Wciąż pojawiali się wojskowi. Stanowili chyba połowę ludności miasta. Znaleźliśmy wielką księgarnię, ale prawie nie było w niej książek. Mieli za to portrety Lenina i blankiety honorowych dyplomów, też z jego podobizną. W jedynej czynnej knajpie siedzieli łysi w dresach i pili piwo. Czasami któryś wychodził, ale zaraz wracał, bo przecież w Tiraspolu nie było dokąd pójść. Zdaje się, że czekali, aż coś się stanie, aż ktoś ich wezwie i nareszcie będą potrzebni. Wyglądali jak dobrze umięśnione sieroty.

No właśnie, z Tiraspolem było tak, że właściwie wszyscy wyglądali tu na zbędnych, wyglądali jak dodatek do cudzych, dużych, niejasnych interesów, wyglądali jak dodatek do wojska, do składów broni, do stacjonującej tutaj rosyjskiej XIV armii, do czarnych terenówek i do wszechobecnej firmy Sheriff należącej do Smirnowa — niby-prezydenta niby-państwa. Jeżeli w całym Naddniestrzu było w ogóle coś nowego, coś niezniszczonego, to nazywało się Sheriff. Tak nazywały się wszystkie stacje benzynowe i supermarket w Tiraspolu. Żółta westernowa gwiazda świeciła w postsowieckim skansenie absurdalnym blaskiem. Tutaj wszystko było możliwe. Stary aparatczyk przebierał się za amerykańskiego szeryfa i zgarniał całą pulę. To była kraina ponurych cudów i tyle.

Pojechaliśmy na północ wzdłuż ukraińskiej granicy. Wszędzie rosła kukurydza i w tej kukurydzy, w poprzek polnych dróg, stały czerwono-białe szlabany i posterunki. Wyglądało to trochę surrealnie, ale z drugiej strony było w tym jakieś smutne piękno. Oni tam strzegli właściwie czystej przestrzeni, pilnowali pustki, bronili granicy, która jest czystą geometryczną ideą. Na mapie wyglądało to całkiem kanciasto, wykreślone przy linijce, bez wdzięku, bez płynności właściwej terytoriom, gdzie historia miesza się z geografią, z ludzką obecnością, z jakimś starym bałaganem. Z zachowaniem proporcji tutejsza granica na mapie przypominała nieco afrykańskie granice na Saharze. „Poprowadzili ją granicami sowchozów i kołchozów”, powiedział mi potem pewien znajomy, który się trochę znał

na Mołdawii. No i teraz przegradzali tymi swoimi szlabanami piaszczyste drogi, którymi wędrowało bydło, konie, świnie, chłopaki do dziewczyn nocą w odwiedziny, fury na gumowych kołach, baby na ploty, pijacy, żeby się napić, złodzieje, żeby ukraść, rodziny, żeby się zobaczyć, ludzie, żeby się spotkać. Jechaliśmy zupełnie pustą szosą i ci mundurowi w kukurydzianym bezkresie przypominali strachy na wróble. Najprawdopodobniej mieli tam jakąś broń, dostali jakieś rozkazy, ale w tym agrarnym bezmiarze wyglądali całkiem niepoważnie. Mogli płoszyć nadlatujące ptaki, rewidować chłopców wiozących wiązki patyków, odprawiać wozy załadowane sianem i zawracać zbłąkane zwierzęta.

Nic nie jechało. Na zupełnych odludziach mijaliśmy ruiny stacji benzynowych. Miejscami ten kraj przypominał dekorację do jakiegoś filmu. Tak było gdzieś między Mălăieşti i Butor. Ktoś wybudował szeroką szosę, po której nic nie jeździło, ktoś wybudował stacje benzynowe, które teraz zapadały się w ziemię. Wszystko wyglądało na porzucone, wzgardzone i niepotrzebne, na nic nie warte. Ludzie siedzieli w swoich domach i nie mieli nic wspólnego. Wychodziło się za drzwi, za furtkę, i już zaczynało się niczyje, zaczynała się pustka. Może dlatego Walerij zabrał nas do swojej rodziny, do normalnego domu z ogrodem w Grigoriopolu. Chciał nam pokazać zwykłe życie. Weszliśmy za wysoki mur w chłodny cień winorośli. Przywitał nas Misza. Był ogromny, brzuchaty i nagi do pasa. Bez przerwy mówił, a właściwie wygłaszał kwieciste, kurtuazyjne

przemowy. Od razu poprowadził nas w głąb ogrodu, prezentując kolejne zagony i głosząc pochwałę samowystarczalności oraz urodzajności mołdawskich ziem. Rzeczywiście, ogród był zielony i bujny jak w tropiku. Ta zieloność pięła się, płożyła, splatała, pełzała, wylewała się z zakamarków, w ogóle w tym gąszczu nie dało się postawić nogi, w ogóle nie było widać ziemi spod tej urodzajności. A Misza stąpał lekko jak baletnica pomiędzy ogórkami, pomidorami, fasolą, papryką, melonami, dyniami, kroczył niczym zwalista mołdawska Pomona. Objaśniał nam, do czego służą ogórki i cała reszta, i było trochę jak u Gagauzów: znów traktowali nas jak dzikusów, którzy przybyli z krain, gdzie nic nie rośnie. A potem musieliśmy jeszcze zwiedzić piwnicę. Była całkiem spora, wysoko sklepiona i chłodna. Wszystko, co rosło w ogrodzie, tutaj zamknięte było w słoikach, beczułkach, gąsiorach i butlach. Misza raz za razem nalewał czerwonego wina do szklanek i mówił, mówił, mówił. Wciąż był półgoły i wcale nie marzł. Wśród tej piwnicznej obfitości przypomniał sobie, jak w ponurych wczesnych latach osiemdziesiątych odwiedził Warszawę wraz z mołdawsko-radzieckim zespołem pieśni i tańca. Miał mnóstwo rubli, więc pił szampana i koniak, jeździł taksówkami i w tym wynędzniałym mieście czuł się jak król życia. Towarzyszył mu polski przyjaciel, biedny jak mysz kościelna sekretarz partii. Napełniając kolejne szklanki, Misza prosił nas, abyśmy odnaleźli jego druha i przekazali uściski oraz pozdrowienia. Wypijałem to, co mi

podawał, i obiecywałem odnaleźć dawnego sekretarza w dwumilionowym mieście.

To wszystko było zaledwie wstępem do prawdziwej gościny. Poszliśmy do domu. Ojciec Miszy obchodził święto swojego patrona, czyli po naszemu imieniny. Na stole stało wino, koniak i winogronowy samogon. Musieliśmy wciąż jeść i wciąż pić. Nie chcieliśmy nikogo obrazić. Takie są prawa gościnności: byłem pijany i obżarty. Misza wciąż mówił. Gospodarze byli zrusyfikowanymi Ukraińcami. Na ścianie wisiały ich młodzieńcze portrety. Solenizant i jego żona występowali na nich w sowieckich wojskowych mundurach. Wciąż pojawiały się nowe potrawy. To był mołdawski Eden: ogród, uczta i toasty wśród rodziny i przyjaciół. Misza wspominał czasy, gdy pracował jako strażnik więzienny. Jego matka wspominała czasy, gdy pracowała jako nauczycielka języka rumuńskiego. Walerij twierdził, że coś takiego jak naród rumuński w ogóle nie istnieje. Wszyscy zgadzali się co do tego, że kiedyś było lepiej. Ja właściwie też powoli zaczynałem się zgadzać. Broniłem się jednak przed tą zgodą i wypatrywałem chwili, gdy Walerij da znać, że trzeba już jechać.

Na granicznym moście w Vadul lui Voda stały transportery opancerzone. Nikt nas nie zaczepił i po paru minutach zobaczyliśmy blokowiska Kiszyniowa.

Do miasta Soroca pojechaliśmy z W., który miał tam swoje sprawy. Soroca leży na północy nad Dniestrem. Po drugiej stronie jest już Ukraina. Gdy się jedzie na północ, z pejzażu stopniowo znika winorośl, w jej miejsce zjawia się

kukurydza, która w końcu staje się wszechobecna. Do miasta Soroca jechaliśmy spotkać Cyganów. Mieli tam coś w rodzaju swojego minipaństwa.

Już z daleka, z nadrzecznego bulwaru, można było to zobaczyć: w górze nad miastem, na stromym dniestrzańskim brzegu, rozsiadła się cygańska dzielnica. Już z daleka było widać, że to jest zupełnie inne niż cała Mołdawia. Blaszane dachy lśniły w słońcu jak rybia łuska i z oddali wyglądały jak barokowo-bizantyńsko-tatarsko-tureckie obozowisko — to są dobre słowa. Dachy wypiętrzały się, wybrzuszały, wydawało się, że wiatr je nadyma jak żagle, że pączkują jedne z drugich niczym żywa materia. Tak to wyglądało z daleka. A z bliska to było tak, jakby się wsiadło na rollercoaster, który zabiera nas w podróż przez wieki oraz kontynenty. Wiktoriańskie pałace, mauretańskie rezydencje, chińskie pagody, klasycznogreckie frontony, rumuński renesans oraz nieco pomniejszona replika Teatru Bolszoj z Moskwy z trzema plastikowymi rumakami na szczycie, najprawdopodobniej zatrudnionymi wcześniej na jakiejś karuzeli. Przed pawilonem o dwudziestu oknach od frontu, wśród zielonych splotów ogrodu piętrzyła się sześciometrowa fontanna z białego kamienia w stylu surowego rokoko. U jej podstawy spoczywał krokodyl naturalnych rozmiarów z tego samego materiału. Dwóch Mołdawian wykańczało monument, wygładzając ostatnie ostre krawędzie. Przyglądały się temu Cyganki z papierosami w złotych cygarniczkach. Zapytałem Roberta, kto to wszystko projektował. Robert miał czarno-

złotą wizytówkę, piekarnię, pałac w budowie i beemę siedemsetkę na słowackich numerach na podwórku. Poza tym był kimś w rodzaju sorockiej szarej eminencji. „My”, odpowiedział. „To wszystko z fantazji”.

Poza tym wszystkim Robert miał jeszcze knajpę. To znaczy była ona trochę wspólna, ale najbardziej Roberta, ponieważ on wpadł na pomysł. Siedzieliśmy sobie na werandzie, a w środku oprócz stolików i baru stało dziesięć komputerów. Przy komputerach siedziały dzieciaki. Głównie cygańskie, ale było też parę mołdawskich. Tatusiowie mogli sobie spokojnie rozmawiać, popijać i mieli oko na buszującą w internecie dzieciarnię. Piliśmy koniak i zagryzaliśmy arbuzem. Robert mówił, że czasy się zmieniły i trzeba uważać na dzieci, żeby zamiast domu nie wybrały ulicy. Ale poza tym jest w porządku, granice właściwie otwarte, można podróżować, można robić interesy, trzeba mieć tylko paszport, pomysły i kontakty. Jak ktoś ma życzenie, może pojechać do Czukczów i sprzedawać im chińską bieliznę. Nikt tego nie zabrania. Kiedyś też nie było źle, ale możliwości były mniejsze. Tak mówił Robert, popijając koniak. Pojawił się Artur i Robert zaprosił go do stołu. Artur był królem, to znaczy baronem. Na jego wizytówce widniał napis: „Gipsy Baron of Moldova”. Miał siwą brodę do pasa, długie siwe spięte w kucyk włosy i przypominał trochę jakiegoś świętego męża z dalekich Indii. Był tego zresztą całkiem świadom, ponieważ opowiadał nam o tym, że hitlerowcy przed eksterminacją pobierali krew swoim cygańskim ofiarom. Ta krew miała dla nich stanowić

wyjątkową wartość, ponieważ była najczystszą krwią aryjską. Mówił to z kamienną twarzą, święcie wierząc w to, że i my też w to wierzymy. Kreślił na kartce jakieś znaki, wywodząc rosyjski alfabet z sanskrytu. Mimochodem wspomniał, że tego lata były u niego studentki etnografii z Polski. Tak, Artur to była postać. Na dziedzińcu swojego pałacu kolekcjonował sowieckie czajki. Dwie przykurzone limuzyny stały na sflaczałych kołach. Jedna miała w przedniej szybie otwór po kuli. Gdy wykład o Ariach i sanskrycie został ukończony, Artur pożegnał się, wstał, wsiadł do zielonej beemy iks piątki z własnym synem za kierownicą i udał się do swoich królewskich obowiązków. Inni też powoli zaczynali się zbierać. To już nie była mołdawska gościnność. To była tylko uprzejmość i grzeczność. Wypili z nami dwie butelki koniaku, zjedli trzy arbuzy, poświęcili trzy godziny ze swojego czasu, pokazali ze swojego życia tyle, ile uznali za stosowne, a teraz po prostu mieliśmy się rozejść do swoich światów i tyle.

Wracaliśmy marszrutką, czyli mikrobusem. Siedziałem obok kierowcy. Robił jakieś machlojki z biletami. Sprzedawał je, a przy wysiadaniu odbierał. Albo pokrzykiwał na pasażerów, by trzymali swoje bilety w rękach. Nic z tego nie rozumiałem. Gdzieś w szczerym polu wsiadła kobieta. Wchodząc po stopniach, zraniła się w nogę o ostry kawałek blachy. Płynęła krew, a kierowca krzyczał na kobietę, że powinna uważać. Był szczupły, chamski i neurotyczny. Prowadził w jakiś napięty i zaciekły sposób. Po trzydziestu kilometrach zatrzymał nas patrol. Gliniarz

machnął biało-czarną pasiastą pałką i zjechaliśmy na pobocze. Kierowca wyjął ze skrytki dwudziestolejowy banknot, wysiadł i podszedł do policjanta. Po prostu bez słowa dał mu pieniądze, a tamten skinął głową w czapie typu „lotnisko”, że możemy jechać. Do Kiszyniowa było ze sto pięćdziesiąt kilometrów i zatrzymali nas jeszcze trzy razy. Zawsze tak samo, w milczeniu, na oczach wszystkich, w majestacie władzy. Gęby glin były nieruchome i tępe. Kierowcę wypełniała rezygnacja i nienawiść. Ruszał i szeptem przeklinał. Zobaczyłem na własne oczy, jak wygląda błędne koło. W końcu zapytałem go, czy na tej trasie jest tak zawsze. „Tak”, odpowiedział. „Zawsze, od kiedy skończył się Związek Sowiecki”.

Gdy wyjeżdżałem, przejście w Leuseni było tak samo puste, jak dwa tygodnie temu. Czekałem na znajomego, który miał nadjechać od rumuńskiej strony. Spóźniał się. Nic nie jechało ani w jedną ani w drugą. Widać nie miało po co, nie miało dokąd. Nie było nawet rowerów objuczonych wiązkami patyków. Nic tylko pustka, nieruchomość i upał. Stałem godzinę albo półtorej i patrzyłem, jak kończy mały i samotny kraj. Był jak wyspa otoczona suchym lądem. Nawet na samym przejściu nic się nie poruszało. Siedzieli w budynkach, w biurach i budach i nie mieli żadnych spraw. Zadaje się, że czekali, aż coś się stanie i zmieni. Brakowało tylko wiatru niosącego kurz i piasek z głębi kontynentu.

W końcu nadjechał Alexandru i zatrzymał się po tamtej stronie. Pomachałem mu i ruszyłem do budki strażników. Ucieszyli się na mój widok, ponieważ pamiętali, jak

wjeżdżałem przed dwoma tygodniami. Wyobraziłem sobie, że jestem jedynym podróżnym, którego ostatnio tutaj odprawili. Wrzuciłem plecak do bagażnika, wsiadłem i pojechaliśmy. Po dwudziestu minutach minęliśmy Husi.

PROM DO GAŁACZA

No więc przestrzeń to tylko wieczna teraźniejszość. Mrozy z Ukrainy i Rosji suną nad Rumunię. Bukareszteńska znajoma mówi do słuchawki: „Very, very cold". Próbuję sobie wyobrazić nagą i lodowatą Deltę, i siny lód zarastający kanały, ale przychodzi mi to z trudem, ponieważ wcześniej muszę pokonać w myślach całą przestrzeń, która mnie dzieli od Sfîntu Gheorghe i Suliny: Šariš, Zemplén, Szabolcs-Szatmár, Maramuresz, Transylwania, Baraganul, Dobrudża... Muszę sobie wyobrazić, jak mróz wchodzi w te wszystkie miejsca, które pamiętam z wiosny i lata. Muszę otrząsnąć się z tamtych upałów jak pies z wody, bo nie potrafię uwierzyć, że między Samovą i Niculiţel jest teraz zimno, że świnie nie tarzają się w pyle ubitych na beton glinianych podwórek za trzcinowymi płotami i śnieg leży na strzechach lepianek stojących wzdłuż krętej szosy, z której widać już Ukrainę i białe statki płynące dunajską odnogą Chilia. Z trudem wyobrażam sobie, że z podłogi autobusu nie podnosi się gorący kurz, a topolowy zagajnik obok promowej przeprawy do Gałacza stoi nagi, bezlistny i pusty, bez tych facetów pijących wódkę — piętnaście tysięcy lei za flaszkę — kupioną w rozgrzanym jak piec blaszanym sklepiku. To prawie niemożliwe, że teraz w Bratianu jest

zupełnie inaczej, że pijaczkowie najprawdopodobniej gdzieś przepadli, że zniknęły też psy przy przeprawie, stada nastroszonych szczeciniastych kundli, wyglądających jak młodsi bracia tych lumpów — jedni i drudzy tak samo smutni i wysuszeni słońcem.

Tak, nie mam wyobraźni, i dlatego powinienem się pakować, upychać po kieszeniach drobiazgi, paszport, jakieś pieniądze, powinienem wybierać się w drogę, żeby sprawdzić, jak jest naprawdę. Zawsze gdy zmienia się pora roku albo pogoda, powinienem zwijać najpotrzebniejsze rzeczy i wyruszać we wszystkie te miejsca, gdzie już byłem, żeby przekonać się, czy jeszcze istnieją.

Co dzieje się z tym promem do Gałacza, ruszającym z niskiego brzegu, gdzie na wyrudziałych od upału łąkach snuły się chude i lśniące konie? Na pokładzie wśród paru wymytych aut płynęła szara dacia pick-up z wielkim, cuchnącym jak wszyscy diabli wieprzem na pace. Musieli zrobić kawał drogi, bo bydlę było ufajdane po sam grzbiet. Wciągałem z rozkoszą ten smród, ocierałem się udem o tylny błotnik czarnego merca, w którym siedział wygolony facet w lustrzankach i blondyna ze złotem w uszach, i patrzyłem na drugi brzeg Dunaju, na wielkie, rdzewiejące dźwigi portu. To była moja Rumunia — to chwilowe braterstwo mercedesa, złota, świńskiego smrodu i tragicznego industrialu, którego opuszczenie dorównywało jedynie jego ogromowi. Po pięciu minutach drogi wieprza, limuzyny i moje rozeszły się na zawsze.

To właśnie nie daje mi spać, to pragnienie, by w końcu się dowiedzieć, jaki jest los tych wszystkich obrazów, które przeszły przez moje źrenice i zostały w umyśle, co dzieje się z nimi, gdy mnie już tam nie ma, czy zabrałem je na zawsze, unieruchomiłem we własnej głowie, i będą już ze mną do końca, odporne na zmiany pór roku i pogody.

Co stanie się z tymi dwoma facetami ubranymi w ciemne spodnie, białe koszule, krawaty i buty lśniące tak, jakby czyścili je przed minutą. Wydostali mnie ze środka Tecuci, z tego płaskiego i zakurzonego miasta, i wywieźli parę kilometrów na wylotówkę, a na koniec wypisali flamastrem na płachcie papieru „Bacau”, żebym miał czym wymachiwać przed nosem kierowców. W mołdawskim dusznym zmierzchu wyglądali jak aniołowie. Nie prosiłem ich o pomoc. Po prostu zjawili się, bo byłem zmęczony i zagubiony. I nie byli to aniołowie prawosławni. Potem przeczytałem, co było napisane po drugiej stronie prowizorycznego transparentu, który mi wręczyli. Między innymi znalazłem tam zdanie: „Creaza o buna imagino publica Bisericii Adventiste”. Aniołowie byli adwentystyczni i dobrze mnie rozumieli, ponieważ w Tecuci byli zagubieni tak samo jak ja.

Teraz wszystko wydaje się takie proste. Zdarzenia dotykają się, przechodzą wskroś siebie uwolnione od logiki następstwa, przykrywają przestrzeń i czas równą, półprzejrzystą warstwą. Pamięć odtwarza je w tył, w przód albo równolegle, i nic im od tego nie ubywa. To jest jedyny sposób na to, by sens nie podciął nam nóg i nie wytrącił z

ręki tego, co chcemy schwytać. Gdzie skończyła się Mołdawia, gdzie zaczął Siedmiogród? Zapewne gdzieś na drodze numer 120, gdzie koło miejscowości Tasca zaczęła się ta wolna przemiana. Zabrało mnie stuletnie audi. W środku wszystko zwisało, odłaziło, odpadało, kable z deski rozdzielczej, tapicerka z sufitu, od podłogi ciągnął wiatr i kurz. Koleś za kierownicą siedział w krótkich gaciach i podkoszulce. Na szyi miał złoty łańcuch, na nogach żółte klapki. Był opalony na ciemny brąz i tylko spod ciężkiej bransoletki zegarka przeświecało coś bielszego. Na wolnych obrotach silnik zaczynał przerywać, więc ani na chwilę nie zdejmował nogi z gazu i wcale nie zwalniał tam, gdzie powinien. Mieliśmy przejechać przez najgłębszy wąwóz w Europie. Próbowaliśmy rozmawiać. Był z Satu Mare i nie lubił Węgrów. Żeby pokazać, jak bardzo ich nie znosi, wyprzedzał tym swoim zabytkiem wymyte passaty i cordoby na węgierskich numerach. Droga nie nadawała się do tego kompletnie, ponieważ składała się głównie z zakrętów. Wyprzedzał pod górę, z głową wystawioną za okno, żeby sięgnąć wzrokiem o metr, dwa dalej. Bałem się, ale miałem ze sobą piersiówkę rumuńskiej brandy. Za Bicaz--Chei zrobiło się prawie ciemno. Ściany wąwozu miały po kilkaset metrów i jechaliśmy jak w gigantycznej jaskini. Chciałem podziwiać ten cud natury, ale jednocześnie za nic nie chciałem przegapić momentu, w którym się rozbijemy. Facet mamrotał przekleństwa i tłukł pięścią w kierownicę, gdy brakowało mu mocy i na kilkudziesięciu metrach prostej musiał oglądać srebrny tyłek seata z

budapeszteńską rejestracją. Na przełęczy stały stragany z rękodzielnym towarem dla turystów. Zaczęliśmy zjeżdżać. Za którymś zakrętem na asfalcie stało stado koni. Niektóre miały dzwonki. Odbiliśmy w lewo, wprost pod nadjeżdżający autobus. I jemu, i nam udało się zatrzymać w poprzek szosy. To było, zdaje się, całkiem normalne, bo facet przeżegnał się tylko trzy razy i dalej ruszyliśmy w tym samym tempie. Teraz powtarzał ten gest przed każdym wyprzedzaniem. Wysiadłem na głównej ulicy w Gheorgheni. Do auta podeszło dwóch podobnych do niego, tylko mniej opalonych i z grubszymi łańcuchami. Widziałem, jak podaje im grube paczki banknotów po dziesięć tysięcy lei, które przez całą drogę turlały się po tylnym siedzeniu.

I to wszystko. Dalszy ciąg mógłby się dziać wieczorem, gdzieś, powiedzmy, na Słowacji. Powiedzmy, w przydrożnej knajpie między Šarišem i Zémplinem, gdzie dwaj kierowcy ciężarówek jedli swoje placki ziemniaczane z duszoną wątróbką i cebulą. Popijali herbatę i patrzyli na kapiący kran ze złotym bażantem. Z małej sali obok baru wychodziła co jakiś czas ciemnowłosa dziewczyna. Zamawiała cztery borowiczki i znikała z kieliszkami za drewnianym przepierzeniem, zza którego wypływał papierosowy dym i męskie śmiechy. Za każdym razem, gdy zjawiała się po nową kolejkę, długo szeptała z barmanką, jakby chciała opóźnić chwilę powrotu. Dopiero podniesione głosy zza lichej ściany sprawiały, że przerywała nerwową, szybką rozmowę. Nie potrafiłem zgadnąć, czy któryś z kieliszków na tacy należał do niej, czy też gościła tych

rozgęganych i niewidzialnych mężczyzn w jakimś sobie tylko znanym celu. Może po to, by nakłonić ich do zbrodni, a może do spełnienia dobrego uczynku. W każdym razie płaciła za wszystkie kolejki, wyciągając z ciasnej kieszeni dżinsów zwitki czerwonych setek. To wszystko działo się jednak gdzie indziej i w innym czasie niż ten, który próbuję sobie teraz wyobrazić. To było prawdopodobnie między Nemcovą a Predajną na trasie do Bańskiej, i była wtedy zima.

Tak, ze zdarzeniami, gdy już przeminą, nie ma żadnego kłopotu, pod warunkiem że nie próbujemy być mądrzejsi od nich, pod warunkiem że nie próbujemy za ich pomocą załatwiać jakichś własnych spraw. Jeśli damy im spokój, zamieniają się w cudowny roztwór, w czarodziejską tynkturę, która rozpuszcza i czas, i miejsce, trawi kalendarze i atlasy, przemienia w słodką nicość współrzędne uczynków. Jaki sens ma zgadywanka? Na co komu chronologia — siostra śmierci?

W Kisvárda o północy dudniły basowe głośniki i chłopcy startowali z piskiem opon, by zatrzymać się dziesięć metrów dalej. Wśród gorącej pogranicznej nocy ich nagie czaszki błyszczały jak mleczne żarówki. Szukaliśmy noclegu, ale to miasto cierpiało na bezsenność. Bliskość granicy spędzała sen z powiek. Na przedmieściu ciągnęły się szpalery festyniarskich willi. Zbudowano je w tydzień albo w miesiąc. Upiorna pistacja ścigała się ze wściekłym różem i jadowitą żółcią. Centrum było stare, skryte wśród drzew, pełne cienistych otchłani, w których przepadały

parterowe uliczki. Jednak ten owadzio ruchliwy i zarazem rozleniwiony tłum przy Krucsay Marton utca przywodził na myśl najazd, zabawę zdobywców, jakąś poronioną konkwistę. Młodzi przypominali stado zwierząt, które znalazło się w mieście i nie potrafiło zrobić z niego użytku. Przemieszczali się to tu, to tam, spotykali, obwąchiwali, oddalali i znów zbliżali do siebie, połączeni niewidzialnymi nićmi interesów, lęku i pożądania. Krążyli w świetle jak ćmy. To była neuroza pogranicza, szybkiego zwycięstwa i nagłej klęski. Dwadzieścia kilometrów dalej leżało Záhony, jedyna droga z Węgier na Ukrainę, więc tutaj wszystko nabrzmiewało, puchło, pęczniało i nabierało sił. W hotelu Bastya wielka tleniona baba z dawnych czasów nie chciała ani dolarów, ani marek, chciała tylko forinty, których nie mieliśmy.

Hotel na przedmieściu miał w nazwie Paryż, a może Paradis. Wyglądał jak dekoracja do powiatowego remake'u *Kaliguli.* Gipsowe fontanny, posągi, plusze i draperie. Na parkingu połyskiwały czarne, wypasione zady beemic i merców. Typ, w którego oczach pustka mieszała się z czujnością, powiedział, że nie ma dla nas miejsc. Wyjął jednak z kieszeni forinty i sprzedał po umiarkowanie uczciwym kursie. Zapytaliśmy go, kto się tutaj bawi. Czy tylko Węgrzy, czy również Ukraińcy? Popatrzył na nas jak na dzieci. „Ukrainians? They aren't European people". Pojechaliśmy w stronę Vásárosnamény, by nagle znaleźć się w ciemności i ciszy. Mijając Ilk i Anarcs, słyszeliśmy oddechy śpiących za drewnianymi żaluzjami w oknach

niskich domów i czuć było nocną wilgoć podnoszącą się z ogrodów. W miasteczku długo stukaliśmy do drzwi hotelu, zanim otworzył nam zaspany portier w kapciach. W holu na ścianach wisiały trofea: skóra zebry, wypchane łby antylop i egzotyczne poroża. W półmroku bocznego korytarza mignęło coś cętkowanego, może lampart. Prócz kobiety, która właśnie zapalała światła w kuchni, i tego portiera nie było w całym hotelu żywej duszy.

Czasami wstaję nad ranem, żeby popatrzeć, jak rzednie ciemność i powoli ukazują się rzeczy, drzewa i reszta pejzażu. W dole słychać rzekę i koguty we wsi. Światło świtu jest zimne i niebieskie. Wypełnia powoli świat, i tak samo dzieje się we wszystkich miejscach, w których byłem. Ciemność blednie w gminie Sękowa, w mieście Sulina na skraju dunajskiej Delty i wszędzie, gdziekolwiek czas składa się z dnia i nocy. Piję kawę i wyobrażam sobie brzask gdzie indziej.

NAMIOT ROZBITY W NOWYM MIEJSCU

Jest połowa listopada i nie ma jeszcze śniegu. Od dwóch miesięcy wybieram się na Węgry i nie mogę wybrać. Chcę pojechać na północny wschód, do Szabolcs-Szatmár, i pewnie w końcu zrobi się zima, a ja będę rozmyślał o przejściu w Hidasnémeti i o tym, jak prawie rok temu dzień przed sylwestrem przekraczaliśmy w deszczu granicę. Mokry grudzień przesłaniał Zemplén jak firanka. Węgry były nagie. Czarne drzewa niczego nie zasłaniały. Może dlatego wciąż się gubiliśmy: Gönc, Telkibánya, Bózsva, Pálháza, Hollóháza, Kéked, Füzér. Pejzaż był półprzezroczysty i przypominał labirynt. Latem miałem wrażenie, że te strony to kraj nieustannego południa. Nawet w nocy. We wsiach i miasteczkach paliły się latarnie, drążąc w gorącej ciemności długie tunele. Za płotami w dusznych ogrodach wśród orzechowych i morelowych liści pełgały błędne ognie telewizorów. Teraz wodniste światło wypełniało wszystkie te miejsca, w których latem zalegał cień. Tokaj był pusty i płaski jak stara dekoracja. Bodrog i Cisa straciły zapach. Pogoda zarządzała tymi stronami spokojnie i bezwzględnie. Właściwie niewiele zmieniło się od czasów, gdy nie było tutaj ani domów, ani miast, ani żadnych nazw. Aura, jak najstarsza religia, wypełniała tak samo Beskid, Zemplén, bagienną nadcisańską nizinę,

Erdőhát, Maramuresz, Wyżynę Siedmiogrodzką i resztę krain, w których strawiłem miesiące, ponieważ wciąż miałem nadzieję, że ujrzę je takimi, jakimi są w istocie. Deszcz w Mátészalka, deszcz w Nagykálló, deszcz w Nyírbátor. Rozmiękłe podwórka z głębokimi śladami świńskich racic, odarte sady, ogrody wypełnione szklistym lśnieniem, domy coraz niższe i niższe, jakby pochłaniała je grząska ziemia. W Cigánd albo w Dombrád po obu stronach drogi ciągnął się łańcuch kałuż, które wyglądały jak płaskie skrawki szarego nieba. Ale równie dobrze mogło to być w Gönc albo gdziekolwiek indziej, w Polsce, na Słowacji, na Ukrainie. I nigdzie żywego ducha. Długie jak we śnie perspektywy uliczek z parterową zabudową i nikogo, żadnych spraw, ani pojazdów, ani psów. Bardzo możliwe, że kałuże były jednak w Abaújszántó przy głównej drodze z niebieskim domem po lewej, kościołem po prawej, a kawałek dalej stał dom żółty z okiennymi wnękami i zieloną furtką w niskim murze. I rosło tam kilka wierzb. Ale to już chyba było podczas powrotu, w samego sylwestra. To właśnie tam, w bezludnym miasteczku, w pustej przecznicy wychodzącej na wietrzną dolinę, zamkniętą masywem góry Szokolya, trafiliśmy na knajpkę, italbolt, ponieważ chcieliśmy pozbyć się reszty forintów, a tam wisiał papierosowy dym pół na pół z gwarem i odprawiał się rodzaj nieruchomego święta, które obchodzi się na siedząco za pomocą podniesionych głosów, powolnych gestów i lśniących oczu. Poprzez tytoniowe kłęby wyglądało to tak, jakby na ulicach obowiązywała absolutna cisza i tylko w tej

ciemnej izbie nakaz milczenia tracił moc. Tak, myślałem, że za stołami siedzą wszyscy obywatele, że porzucili swoje domy, by ustalić jakieś doniosłe, dalekosiężne plany, jakby nadciągał wróg albo zaraza i nie mogli znieść samotności, i skupili się tutaj jak kurczęta, jak stado ptaków. Ale w końcu papierosowy półmrok się trochę rozwiał i zobaczyłem kilku Cyganów w czarnych skórzanych kurtkach i dwie ufarbowane na blond Cyganki.

Lecz to było następnego dnia, gdy już wracaliśmy. Teraz natomiast błąkaliśmy się w poszukiwaniu noclegu w plątaninie dróg i nie chciało nam się zwalniać, więc błękitne tablice z nazwami miejscowości odczytywaliśmy pobieżnie i z tym przyjemnym zdziwieniem dla języka węgierskiego, który sprawia, że podróż wymyka się geografii i zaczyna biec śladem baśni albo legendy w stronę dzieciństwa, gdy brzmienie i muzyka słów brały górę nad sensem.

Zatrzymaliśmy się chyba w Hollóháza. Wokół żwirowego dziedzińca stały długie parterowe domy z podcieniami. Dali nam pokoje i nikt o nic nie pytał. Wszyscy byli zajęci jutrzejszym dniem: zapachy z kuchni, brzęk naczyń, girlandy, serpentyny i baloniki rozwieszane w sali, w której na co dzień wydawano posiłki gościom tego ni to kempingu, ni to zajazdu. Zostawiliśmy rzeczy i pojechaliśmy dalej. Na wiejskich placykach rosły świerki. Kołysały się na nich kartonowe anioły i gwiazdy. Mokły i rozmiękały. To było rok temu i teraz już nie potrafię odróżnić Tokaju od Hidasnémeti, Sárospatak od Pálhaza. Zapamiętałem

brązowe dachy Mád po prawej stronie szosy. Wyglądały jak gliniane rumowisko na zboczu żółtego wzgórza. Lśniące, nasiąknięte i nagie, bo nie było tam drzew, tylko martwe winnice z rzędami drewnianych krzyży, które ciągnęły się zgodnie z rytmem wzniesień i nie miały końca. Ale Mád było już następnego dnia, a wtedy pojechaliśmy chyba do Mikóháza, by niedaleko za wsią odnaleźć tę samotną knajpę, która przypominała obozowisko. We mgle, w zapadającym zmierzchu żarzyły się węgle i czuć było dym. Na powietrzu pod dachem mężczyźni rozdmuchiwali wielkie blaszane ruszty. Kobiety coś rozkładały na stołach. Wszyscy wyglądali jakby właśnie zeszli z gór albo przybyli z bagien. Byli ubłoceni, ubrani w myśliwskie paramilitarne stroje. Brakowało tylko koni, cichego rżenia w ciemności, pobrzękiwania wędzideł i stukotu podków. Pili palinkę. Czułem jej zapach pomieszany z wonią węgla drzewnego i pieczonego mięsa. Z tyłu za knajpą był bagienny staw i pierdolnik wiejskiego obejścia, klatki dla kaczek, słoma, zielone grzęzawisko i druciane płoty, a dalej już tylko zmierzch, ale gdzieś tam w głębi pejzażu czułem mokry masyw góry.

Weszliśmy do środka, do drewnianej izby, żeby zjeść zupę gulaszową i popić czerwonym winem. Przy stołach siedzieli ludzie w grubych swetrach i ciężkich butach. Nikt nie zwracał na nas uwagi. Możliwe, że na tym zadeszczonym końcu świata w środku zimy cudzoziemcy byli czymś codziennym.

Teraz, rok później, oglądam słowacką mapę Zemplina i widzę, że miałem rację z tymi bagnami i górą. Tuż za knajpą, za kaczym stawem, płynął potok Bózsva, za nim ciągnęły się mokradła, a potem, już w zupełnej ciemności, wznosił się grzbiet Ritkahegy. Ta wiedza nie jest mi właściwie do niczego potrzebna, ale gromadzę ją, żeby jakoś wypełnić przestrzeń, żeby wciąż wszystko zaczynać od początku, ponawiać, pisać nieustanny prolog do tego, co było, ponieważ jest to jedyny sposób, by minione i martwe chociaż na chwilę ożyło w złudnej nadziei, że pamięć wślizgnie się w jakąś niewidzialną szczelinę i podważy wieczko nicości. Powtarzam więc tę beznadziejną mantrę nazw i krajobrazów, bo przestrzeń umiera wolniej niż ja i jest czymś na kształt nieśmiertelności, mamroczę tę geograficzną modlitwę, topograficzne zdrowaśki, klepię kartograficzną litanię, żeby ten jarmark cudów, ten diabelski młyn, ten kalejdoskop choć na chwilę zastygł, zatrzymał się ze mną w środku.

A potem było Sátoraljaújhely i noc jak lśniąca atłasowa podszewka. Na Kossuth utca przesuwały się zasłony dżdżu. Szukaliśmy bankomatu albo w ogóle czegokolwiek, co byłoby otwarte, lecz przez szyby widzieliśmy tylko, jak kasjerki w sklepach liczą utarg, sprzątają, zmywają podłogi, a faceci ucinają sobie pogawędki przy drzwiach, wypuszczając ostatnich klientów.

Pierwszy raz byłem tutaj cztery lata temu w lipcu. Ledwo zauważyłem cesarsko-królewską ochrę i żółć fasad. Przemknęliśmy cienistym tunelem głównej ulicy i miasto

przepadło tak nagle, jak się zaczęło. Po prawej pięły się winnice, po lewej od czasu do czasu połyskiwał Bodrog. Szosa numer 37 rozcinała pejzaż na pół. Wschód to była bagienna ciemna zieleń Bodrogköz, a na zachodzie wznosił się łańcuch wzgórz, gdzie panował wyżynny suchy upał i spod wulkanicznej gleby tu i ówdzie wystawały grzebienie wapiennych skał, jak okruchy pradawnego kręgosłupa. To tutaj zaczynała się Wielka Nizina Panońska, by sięgnąć aż po Belgrad. To tutaj jej północny kraniec niemal dotykał Karpat, a zachodnia krawędź ocierała się łagodnie o Średniogórze Węgierskie, właśnie o Zemplén, potem o Góry Bukowe i o góry Mátra. Płaski i podmokły kraj w widłach Cisy i Bodrogu porastały topolowe zagajniki i tylko resztki prawdziwej Puszty za zachód od Debreczyna mogły iść o lepsze z melancholią tych okolic. Wszędzie czuć wodę, a gąbczasta i ciężka ziemia ugina się pod ciężarem nieba. Wsie przypominają żółte murowane wyspy. Świat klei się do horyzontu i z oddali wszystko przyjmuje postać poziomej kreski. Z szosy wiodącej przez Tiszacsermely i Nagyhomok widać góry za Sárospatak. Podnoszą się nagle, bez uprzedzenia, bez wstępu, jak piramidy na pustyni, a ich kształt jest równie doskonały i geometryczny. Ale Sárospatak było kiedy indziej. Teraz patrzyliśmy na deszcz i na pustoszejące, zamykane Sátoraljaújhely. Sátoraljaújhely znaczy tyle, co „namiot rozbity w nowym miejscu".

DELTA

Od przyjazdu śni mi się woda. Śnią mi się różne miejsca na świecie, ale składają się tylko z wody. Te miejsca mają konkretne nazwy: Londyn, Bułgaria albo NRD, ale zawsze pogrążone są w odmętach. Godzę się na to, bo podróż, z której wróciłem, była właściwie snem. Siedmiogród, Wołoszczyznę, Dobrudżę, Deltę i Mołdawię wypełniał upał i teraz nie dałbym głowy, że moja pamięć odtwarza rzeczy, które tam pozostały, rzeczy, które tam istnieją już bez mojego udziału. Przeszukuję kieszenie i plecak w poszukiwaniu dowodów, ale przedmioty, które znajduję, wyglądają jak rekwizyty: tysiąclejowe banknoty z Michałem Eminescu, który umarł całkiem jak Nietzsche — na obłęd i syfilis. Nic za nie nie można kupić i biorą je chętnie tylko cygańskie dzieci. Zbierają wizerunki narodowego wieszcza, a potem idą do sklepiku, by wymienić je na cukierki i gumę do żucia. Tak było w Richis, w Iacobeni i w Roandola. Na pięciotysięcznych z kolei jest Lucian Blaga, który napisał: ,,Kur Apokalipsy pieje, wciąż pieje po wsiach rumuńskich”. Dziesięciotysięczne zdobi Nicolae Iorga, którego zamordowała Żelazna Gwardia, chociaż — jak twierdził Eliade — ,,był prawdziwym wieszczem rumuńskości". Widywałem ich wszystkich powiązanych sznurkiem w grube pliki. Tak było w Klużu, gdzie o ósmej rano przy strada Gheorge Doja zatrzymała się furgonetka i wysiadł facet w

kombinezonie obładowany paczkami banknotów niczym święty Mikołaj prezentami. Tak było w Sighisoarze w banku, gdzie na kontuarze leżały całe stosy niskich nominałów powiązane szpagatem i nikt się nimi specjalnie nie interesował, bo strażnik akurat mi wyjaśniał, że prawo zabrania cudzoziemcom sprzedaży zachodnich walut. Rozkładał przepraszająco ramiona i półszeptem doradzał: „black market, black market.".

Teraz wyjmuję z kieszeni dostojne wizerunki, wygładzam je i dziwię się, że nie zniknęły, nie rozpłynęły się w powietrzu, gdy w drodze powrotnej o czwartej rano przekraczałem granicę w Curtici. Niebo nad pustą stacją było granatowe. Pogranicznicy i celnicy przeczesywali budapeszteński pociąg, z którego właśnie wysiadłem, żeby zaczekać na koszycki. Przez okno widziałem, jak patroszą bagaże Anglików, którzy wsiedli w Sighisoarze. Miałem czyste sumienie i spokojnie popijałem bihorską palinkę. Mundurowi w końcu wysiedli i pociąg miał już ruszać, gdy wyskoczyła z niego dziewczyna z plecakiem. Miała błędny wzrok i rozwiane włosy. Może to był strach, a może wściekłość. Nigdy się tego nie dowiem. W każdym razie należała do grupy tych obcokrajowców. Przebiegła peron na skos i zniknęła w budynku dworca. Nikt jej nie ścigał. Pociąg odjechał. Niebawem miał zjawić się mój, razem ze srebrnym światłem świtu, wstającym gdzieś zza Gór Bihorskich.

Przedział i korytarz były puste. Mogłem spokojnie spoglądać to na tę, to na tamtą stronę. Wzdłuż składu co

kilkadziesiąt kroków stali żołnierze. Mieli chłopięce twarze i niedopasowane polowe mundury: za krótkie spodnie, kurtki w innym odcieniu, ten, który stał najbliżej, nosił cywilne czarne buty z masywnymi sprzączkami. Wyglądali jak zaskoczeni we śnie, jak wzięci do niewoli. Byli bez broni, bez pasów i drżeli w porannym chłodzie. Patrzyli gdzieś w przestrzeń, jakby nie chcieli dostrzec pociągu, jakby nie chcieli napotkać cudzego wzroku.

Wyjmuję banknoty z kieszeni i nie mogę uwierzyć, że nie zniknęły, że nie pozostały tam na granicy razem z tą nierealną strażą. Oglądam je i zamiast Eminescu, Iorga i Blaga widzę twarze tamtych chłopców.

Ale mam też parę innych dowodów na to, że niezupełnie śniłem. Na przykład bilet na wodolot za sto dwadzieścia tysięcy lei. ,,Rapid, Comod, Efficient". Kupiłem go w Tulczy, żeby popłynąć do Suliny. Chciałem zobaczyć, jak kontynent pogrąża się w morzu, chciałem zobaczyć, jak ziemia opada i wślizguje się pod powierzchnię wód, jak zostawia za sobą ludzi, zwierzęta i rośliny, jak umyka od swoich zajęć, strząsa z siebie ten cały bałagan historii, ludów, języków, ten starodawny pierdolnik zdarzeń, zamęt losów, chciałem zobaczyć, jak szuka odpoczynku w wiecznym półmroku głębin w obojętnym i monotonnym towarzystwie ryb i wodorostów. Dlatego wstałem rano, żeby na bukareszteńskim Gara de Nord złapać pociąg do Konstancy.

Branesti, Dragos Vodă, Ştefan cel Mare — na stepowej równinie domy wyglądały tak, jakby chciały zagrzebać się w

ziemi w poszukiwaniu chłodu. Były niskie, spalone słońcem i kruche. Przypominały kamienie albo skorupy. Czasami widziałem odległe sylwetki koni i ludzi. Miały tak czarną barwę jak własne cienie. Pomyślałem, że niebo w tych stronach, jeśli w nie zastukać, wydaje twardy metaliczny dźwięk. Za Fetesti pociąg jechał wysokim nasypem nad bagnami, a w miejscowości Cernavodă przeturkotał stalowym mostem spinającym Dunaj. Atomowa elektrownia przypominała przywidzenie i zaraz znikła. Pojawiły się szare urwiska pełne ptasich gniazd. Wydawało mi się, że czuję morze, ale na dworcu kolejowym w Konstancy zapach znikł.

Na autogara po drugiej stronie miasta było trochę jak na wsi. Kobiety w chustkach siedziały z rękami splecionymi na podołkach, a dzieci podfruwały wokół jak stada wróbli. Kupiłem ser i chleb, i poszedłem do przydworcowej knajpki napić się piwa ciuc. Do środka wpełzła kilkunastoletnia dziewczynka. Miała piękną twarz. Przesuwała się po posadzce za pomocą rąk. Mężczyźni śmiali się i rzucali na ziemię papierosy. Zbierała je i też się uśmiechała. Bawili się w jakąś dobrze sobie znaną grę. Potem widziałem ją na dworcu. Oddawała papierosy starej kobiecie siedzącej nieruchomo wśród dzieciarni.

Pierwszy w życiu minaret zobaczyłem w Babadag. Jechałem do Tulczy, żeby popłynąć do Suliny. Mikrobus obsługiwało dwóch facetów. Jeden prowadził i sprzedawał bilety. Drugi, młodszy, wyskakiwał na przystankach, żeby otwierać i zamykać drzwi. W Mihai Viteazu ktoś chciał

jechać bez pieniędzy i ten od drzwi pchnął go w pierś tak mocno, że tamten się zatoczył. Żółte i nagie wzgórza Dobrudży przypominały wymarłe mrowiska. Upał sięgał w głąb ziemi i rozsadzał ją od środka. Gdzieś po prawej leżała Histria: Grecy, ruiny, marmurowe kolumny, siódmy wiek przed naszą erą, ale guzik mnie to obchodziło. Przeszłość im starsza, tym jest gorsza. Zużywa się od ludzkich myśli jak książka telefoniczna od dotyku. Minaret w Babadag był surowy i prosty. Wyglądał jak ołówek skierowany w niebo. Mieliśmy pięć minut postoju, lecz nikt nie poszedł sikać. Wszyscy pili wodę i natychmiast występowała im na skórę. Widziałem ciemną plamę na plecach kierowcy. Magnetofon grał nawet na postoju. Wciąż ludowe kawałki w tej dziwnej jękliwej skali, która pasowała do minaretu, do upału i kurzu. Czułem, jak kończy się kontynent, czułem przyspieszony oddech lądu, który porzuca swoje obowiązki. Mieliśmy zostać z całym dobytkiem, ze swoją klątwą i histerią, i patrzeć, jak jego nagi grzbiet wślizguje się pod gładkie prześcieradło wód.

Tulczę zobaczyłem z daleka i z góry. Opuszczaliśmy się łagodnymi zakosami pośród wzgórz. Nad miastem i rzeką wisiała szarosina mgła. Dunaj rozdzielał się tutaj na trzy odnogi, na dziesiątki kanałów, jezior i rozlewisk. Ramię rzeki zamieniało się w wielką dłoń. Palce odnóg, ścięgna kanałów, paznokcie piaszczystych plaż na wybrzeżu, biżuteria rozlewisk i limanów, wszystko pokryte zieloną skórą bagien i bezkresnych trzcinowych pól. Tak sobie to

wyobrażałem, oglądając mapę. Tulcza to był przegub, nadgarstek.

W porcie pasły się konie. Coś skubały na nagim placu wśród dźwigów, kolejowych szyn i porzuconego żelastwa. Ich gniade grzbiety ginęły na tle rdzewiejących statków i taśmociągów do transportu kruszywa. Nikogo nie było, tylko paru chłopców przeskakiwało z nabrzeża na wrak holownika i z powrotem. Szukałem w powietrzu zapachu morza, ale czułem tylko rzekę; mulisty, ciepły rybi odór pomieszany z zapachem oleju napędowego.

Sto dwadzieścia tysięcy lei. „Rapid, Comod, Efficient". Rano przy trapie zebrał się tłum. Wodolot był jeszcze radziecki. Najpierw wchodzili ci, co mieli bilety, które Bóg wie gdzie wcześniej kupili. Reszta czekała, aż się okaże, czy są wolne miejsca. Dwójka młodych Francuzów powoli, sennie przeliczała banknoty. Podawali je sobie w kółko, jakby w coś grali. Papier furkotał na wietrze. Wyglądali na upalonych w drobny mak. Reszta to byli chłopi z tobołami, skrzynkami i workami, trochę wędkarzy z zapasami chleba w plecakach. No i mundurowi. Naliczyłem cztery rodzaje militarnych albo paramilitarnych uniformów. Każdy miał kaburę z pistoletem. Nie potrafiłem rozstrzygnąć, którzy nas strzegą, a którzy po prostu dokądś płyną. Wszyscy mieli takie same poważne, ściągnięte twarze.

Nic właściwie nie pamiętam z tej podróży. Siedemdziesiąt kilometrów z trzema przystankami i siedziało się jak w autobusie. Czasami tylko, gdy przecinaliśmy czyjś kilwater, brzuch wodolotu uderzał o wodę w miękki, rybi sposób.

Koło Crisan wyprzedziliśmy turecki statek. Był wielki i czarny jak stara fabryka. Wiózł owce. W dziesiątkach spiętrzonych klatek stało i leżało kilkaset białoburych zwierząt. I zewsząd wystawała słoma albo siano.

Wyszedłem na górny pokład. Od tureckiego statku wionęło wonią sianokosów i stajni. Francuzi leżeli na rufie z przymkniętymi oczami. Dwóch tureckich marynarzy paliło papierosy. Oparci o reling patrzyli na zieloną nieskończoność Delty. Przez chwilę wydawało mi się, że ich statek nazywa się „Betlejem", ale to tylko moja wyobraźnia próbowała uporać się z niecodziennością.

W Sulinie przybiliśmy przy głównej ulicy. Na nabrzeżu tłum wyczekiwał swoich. Wzdłuż strada Deltei rosły drzewa i zalegał cień. W najbliższej knajpce wziąłem kawę i usiadłem pod parasolem. Czekałem, aż dotrze do mnie świadomość końca. Rzeka przepadła w morzu raz na zawsze i kończyła się ziemia ze wszystkimi zdarzeniami. Nie można się było stąd wydostać inną drogą, niż się dotarło. Czułem, jak czas ujęty dotąd w ludzkie formy rozlewa się i powraca do swojej pierwotnej formy. Tutaj, w Sulinie, był wszechobecny jak wilgoć w powietrzu. Trawił domy i statki, toczył twarze i pejzaż, szklanki w barach i towary w sklepach. On po prostu przepalił, przeżarł delikatną powłokę minut, godzin i dni, i wziął w posiadanie całą przestrzeń, wszystkie widzialne i niewidzialne rzeczy, i ludzkie myśli też.

Droga nad morze ciągnęła się przez pustynny bezdrzewny wygon. Wraki statków, holowników i kutrów rdzewiały w

piasku. Woń zwierzęcego nawozu wisiała nad okolicą jak gorąca mgła. Słone podmuchy od morza ginęły w niej bez śladu. W bagiennych zapadliskach, w kolczastych karłowatych zaroślach połyskiwały ławice śmieci. Błękitnoszary plastik butelek lśnił trupio jak brzuch martwej ryby. W szarożółtym pejzażu tkwiły betonowe bunkry. Wzdłuż całego wybrzeża na rozpalonym wygwizdowie stały kanciaste militarne ruiny. W ich cieniu puszczone samopas konie szukały wytchnienia. Zza białych krzaczastych wydm dochodził szum morza. Monotonny dźwięk był stary jak świat. Przelewał się przez piaszczystą zaporę i sunął w stronę miasteczka. Niewykluczone, że to on niszczył kruchą powłokę godzin i kwadransów. Bardzo możliwe, że to jego syreni śpiew nawoływał dni, by rozpłynęły się w nim samym, porzucając granice zegarów i kalendarzy. Tak, to wieczność nawoływała Sulinę. Pokusa spokojnej zatraty wypełniała zaułki, niskie domy w ogrodach i kamieniczki przy promenadzie. Na podjeździe hotelu Sulina rosła trawa. Hotel Europolis był zamknięty i cichy. Stowarzyszenie Ofiar Komunizmu mieściło się w budyneczku tylko trochę większym niż domek dla lalek.

Koło piątej po południu na przystań zaczęły zjeżdżać furmanki, ręczne wózki i rowery. Nadchodzili ludzie. Z zachodu, z Tulczy, nadpływał prom „Moldova". Wiózł wieści, towary i pasażerów, a oczekujący przypominali mieszkańców wyspy. Statek przybywał z głębi lądu, a oni wyczekiwali go tak, jakby zjawiał się z dalekich mórz. Wysoki policjant stał z boku i przyglądał się ciżbie.

„Moldova" majestatycznie dobiła i rzuciła cumy. Najpierw wyszli ci, którzy mało co mieli, a potem zaczął się wyładunek. Wśród towarów było to wszystko, czego nie miała Sulina: zgrzewki wody mineralnej, palety piwa w puszkach, chleb w skrzynkach, owoce w słoikach, nieodgadnione pakunki, nieforemne toboły, gąbkowe materace, kiełbasa w zaparowanych od upału foliowych workach, kawa, białe wino w plastikowych butlach, gumowce, szkło i porcelana, jarmark tysiąca cudów, rolki papy z mojego powiatowego miasta, lejce, tiszerty, kaszkawał i hochland, szwarc, mydło i powidło, cacka z dziurką, zeszyty i nesca, krzesła, nakręcany zegar z kukułką i wiązka plażowych parasoli. Furmanki, wózki i biała dacia pick-up ledwo to zmieściły na swoich grzbietach, by zaraz rozwieźć do paru sklepików przy strada Deltei.

Poszedłem w stronę morza pomiędzy martwe kadłuby i bunkry. Wdrapałem się na gigantyczną betonową rampę, w której być może ktoś kiedyś chciał odpalać rakiety ziemia-woda. Stąd mogłem widzieć, jak słońce stacza się nad Dunaj. Rzeka połyskiwała zielono i fosforycznie. Przypominała napiętą jaszczurczą skórę. Z otwartego morza nadpływał statek. Był wysoki na kilka pięter i smoliście czarny w gasnącym świetle dnia. Wślizgiwał się w gardło ujścia i sunął na wprost czerwonego słońca. Nie widziałem żadnego ruchu na pokładzie. Nikt nie stał przy burcie, nie palił, nie spluwał ani nie wyglądał portu. Gdy się ściemniło, poszedłem jego śladem. Cumował na samym końcu nabrzeża, niedaleko hotelu Sulina. I on, i hotel byli

tak samo ciemni i cisi. Pływał pod libańską banderą. Nikogo nie interesowało jego przybycie. Przeczekiwał noc, by o świcie ruszyć w górę rzeki.

Ja spałem na kwaterze pod makatką z widokiem Mekki.

Do Sfîntu Gheorghe płynie się niecałe trzy godziny prosto na południe. Łódź była niebieska i smukła. Miała silnik hondy. Najpierw trochę w górę głównego biegu, a potem siecią kanałów. Czółno nie było szersze niż metr dwadzieścia, za to bardzo długie. Pięćdziesięcioletni mężczyzna siedział na dziobie i dawał znaki sternikowi. Kanały są płytkie i pełno w nich niepewnych miejsc. Czasami trzeba było gasić silnik i go podnosić, żeby przeskoczyć mieliznę albo nie zaplątać śruby w wodorosty. Tam, gdzie było węziej, płynęliśmy w zielonym trzcinowym tunelu. „Wietnam", tak mówił kapitan i zapalał papierosa snagov. Chwilami trzciny rzedły i można było dostrzec spłachetki obsadzone kukurydzą, kapustą i czym tam jeszcze. Dochodziły do samej wody i wystawały może pięć, może dziesięć centymetrów nad powierzchnię. Były niewiele większe niż kopczyki na cmentarzu albo rabatki. Niektórych pilnowały psy na krótkich łańcuchach. Potem musieliśmy powrócić do głównego nurtu, żeby odnaleźć kolejny kanał. Trafiliśmy prosto na policyjny kuter. Glina stał metr nad nami i obojętnie, martwo przepytywał kapitana „skąd", „dokąd" i „jaki typ silnika". W końcu machnął ręką i popruliśmy prosto na południe.

Do Sfîntu Gheorghe płynie się dwie i pół godziny, może trochę dłużej. Mijaliśmy staroświeckie łodzie z dieslowskim

napędem i nadbudówkami jak strażnicze budki. Nad jeziorem Roşu szybowały białe pelikany. Minęliśmy rybacką osadę. Na brzegu widziałem tylko mężczyzn. Dłubali przy łodziach i sieciach. Kanał prowadził prosto jak strzelił i był gładki jak szkło. Geometria trzymała w ryzach trzcinowe brzegi i wzrok nie miał na czym spocząć. Ślizgał się w poszukiwaniu czegoś wystającego, czegoś nieregularnego, lecz wszędzie znajdował tylko monotonię zielonych linii i płaszczyzn, przykrytą szklistym bezkresem nieba. Delta wyglądała tutaj jak nieskończoność wykonana z prostych równoległych i prostopadłych. Co jakiś czas na skraju zarośli stali wędkarze w długich gumowych butach, lecz i oni nie stanowili urozmaicenia: nieruchomi, nieobecni i szarzy, przypominali duże czaple.

Przy pomoście w Sfîntu Gheorghe leżała sterta zgniłej słomy. Poszedłem w stronę dwupiętrowego betonowego bloku. Parter był niezamieszkany, zawalony śmieciem i zasrany. Wyżej ktoś żył, bo w oknach widziałem firanki. Nad pylistym pustynnym majdanem wisiał upał. Niebo miało barwę piasku. Chciałem znaleźć trochę cienia. Kilka wysokich drzew rosło przed knajpą na świeżym powietrzu. W drewnianym baraczku mieli siedem gatunków piwa i dwanaście wina. Za drewnianymi stołami siedzieli mężczyźni. Dochodziła druga po południu. Wziąłem piwo ciuc i też usiadłem, bo wreszcie udało mi się dotrzeć tam, skąd można było tylko wracać.

Promy do Istambułu odpływały z Konstancy. Pociągi w świat ruszały z Tulczy, a może nawet z Gałacza. Siedziałem

na wyspie oddzielonej błotem, bagnami i czasem, który rozkładał się nad Deltą niczym organiczna materia, gnił i butwiał, wydzielając pradawną woń początku, gdy życie jeszcze nie wychynęło ze śmierci i odwrotnie. Kontynent tlał tutaj jak skraj tkaniny. Piasek, pył, psy i wiekuista sjesta. Mężczyźni wstawali od stołów, znikali i pojawiali się znowu. Przychodziły też kobiety, przysiadały na ławach trochę z boku i przysłuchiwały się rozmowom. Z ich ciał promieniowała spokojna ociężałość. Prawdopodobnie znali już na wylot wszystkie gesty, które mieli wykonać, zanim umrą.

Przejechała furka zaprzęgnięta w niewiarygodnie chudego konia. Powożący chłopak okładał zwierzę złamanym patykiem. Wiózł mineralną i żółte skrzynki piwa bergenbier. Zniknęli za rogiem w absurdalnym, neurotycznym pośpiechu.

Podszedł do mnie mężczyzna i zapytał, czy potrzebuję pokoju, miejsca do spania, bo jak tak, to on zna tutaj „babuszkę”, która chętnie mnie przyjmie, ale muszę się zdecydować teraz, bo on zaraz musi iść. Mówił po rosyjsku, jak wielu w Sfîntu Gheorghe. Powiedziałem, że jeszcze sam nie wiem, co będę robił, że muszę się zastanowić i w ogóle. Nie chciało mi się w pośpiechu dopijać piwa, nie miałem ochoty opuszczać cienistej knajpy. Facet odszedł, ale nie zniknął. Przebiegał szybkim krokiem przez knajpiany placyk, to tu, to tam rzucał jakieś słowo i szedł dalej, nie czekając na odpowiedź. Czasami przepadał gdzieś na moment, ale zaraz się pojawiał: szybki, zaaferowany, jakby

pełnił funkcję posłańca w znieruchomiałej wsi. Ubrany był w szarą koszulę, szare garniturowe spodnie, na bosych stopach miał gumowe klapki. Wcale nie chodziło mu o to, żeby zrobić na mnie interes. Za którymś prędkim przemarszem powiedział, że dziewczyna za knajpianym barem też mówi po rosyjsku i w sprawie kwatery może mi pomóc. Zanim otworzyłem usta, już go nie było.

W końcu jednak po godzinie czy dwóch poszedłem do babuszki. Mieszkała niedaleko od knajpy w małym białym domku. Zielone słupki podtrzymywały ganek. Od frontu aż kipiało od kwiatów. Z tyłu zalegał gęsty cień orzechów, śliw i jabłoni. Babka była maleńka jak jej dom i gadatliwa. Pytała i nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej swoje albo też przyjmowała moje odpowiedzi niczym oczywistości: Polska, na parę dni, przypłynął łodzią, co robi, gdzie żyje, na wsi, w mieście — niegroźne wścibstwo mieszało się z obojętną życzliwością.

Otworzyła mi pokój. Był mały i pachniał jak pokój mojej babki. Nieruchome powietrze przechowywało woń starego drewna, pościeli i wilgoci. Nikt tu od dawna nie wchodził, przynajmniej nikt obcy. Stół, krzesła i łóżko wypełniały przestrzeń co do joty. Wszystko stało i leżało na swoich miejscach od niepamiętnych czasów. Gdy przesuwałem krzesło, by położyć na nim plecak, czułem się jak złodziej. Wydawało mi się, że niechcący unicestwię ciemnobrązowy mebel, że zagarnie go nicość aktualnej chwili, że umrze jak stworzenie z morskich głębin nagle wydobyte na powierzchnię.

„A Boh u was jest’?”, zapytała i wskazała na ikonę wiszącą w rogu pokoju pod samym sufitem. „Nu da”, odpowiedziałem. Pokiwała głową, dała mi klucz i zostawiła samego. Na tej samej wysokości co ikona i tuż obok stały na skraju szafy opakowania po zachodnich perfumach, dezodorantach i po kawie. To pewnie od syna z Bukaresztu albo od córki z Konstancy, pomyślałem, bo staruszka w ciągu piętnastu minut zdążyła mi opowiedzieć również o swoich dzieciach. Ikona i ten zachodni śmietnik to były jedyne ozdoby w tym surowym wnętrzu. Nie chciało mi się rozważać symboliki ani semantyki zestawienia. Czułem się staro i nie miałem już sił na oczywistości. Zostawiłem bagaż i poszedłem zobaczyć morze.

Z wału ciągnącego się wzdłuż dunajskiej odnogi był widok na jedną i na drugą stronę. Po prawej rzeka toczyła zielonkawe muliste wody. Na płyciznach stały zakotwiczone czarne łodzie. Ich dzioby i rufy lekko zawijały się ku górze. Były smukłe i staroświeckie. W zmiennym wodnym pejzażu, wśród płynnych płaszczyzn blasku i cienia, wśród połyskliwych luster nurtu, wśród zmatowiałych od wiatru rozlewisk, czarny zarys czółen sprawiał nierzeczywiste wrażenie. Zwłaszcza o zmierzchu, gdy ich cienie stawały się nie do odróżnienia od nich samych. Tkwiły w migotliwej lucyferycznej przestrzeni jak wycięte z najczarniejszego kartonu albo wyrzeźbione z węgla. Przypominały pozostałość najstarszej nocy i w snach musiały być używane do transportu dusz. W każdym razie nie widziałem w Delcie piękniejszych i prostszych przedmiotów.

Po lewej ciągnęła się trzcinowa wieś. Płoty, dachy, ściany, zagrody dla bydląt i drobiu — wszystko zrobione było z suchych, pustych w środku łodyg. Trzcina leżała w stosach, stała powiązana w snopy, czekała ułożona w kopy i rzucona luzem. To dlatego ludzki pejzaż był tutaj tak płaski. Z czegoś takiego nie można przecież wybudować nic wysokiego. Z niektórych budynków odpadała gliniana obrzutka i ukazywała konstrukcję z żerdzi wypełnioną trzcinową plecionką. Wieś ciągnęła się niczym wielkie koczowisko. Wszystko, co posiadali ludzie, wyglądało na zagrożone nieustanną stratą. Ledwo wzniesione nad ziemię, ledwo sklecone, spojone jako tako i poodgradzane od reszty płotkami, żerdkami i parkanami z trzech patyków na krzyż. Tak, wieś Sfîntu Gheorghe miała w sobie zrezygnowany heroizm. Wystawiona na żywioły, wypełniona nietrwałością, skazana na zapomnienie, tuliła się do lądu jak jaskółcze gniazdo.

A potem, tak samo jak w Sulinie, zaczynała się pustynna równina i ciągnęła się aż do samej plaży. Na jej skraju, tuż za wsią, sterczały w niebo radary. Za ogrodzeniem widziałem kilka łaciatych ciężarówek. Wcale mnie tam nie ciągnęło. Wojsko w mojej części świata w czasach pokoju zawsze wygląda tak samo: jest smutne i trochę śmierdzi. Wolałem przyglądać się z daleka. Czarne kratownice anten wznosiły się ponad trzcinowymi lepiankami. Próbowałem sobie wyobrazić nudę tego posterunku, monotonię pustego nieba i zielonkawych ekranów. Karty, przemycony alkohol, rozmowy o kobietach, radiostacje, na których łapie się

zagranicznego rokendrola albo ludowe kawałki, senność, kawa i żadnych barbarzyńców na widnokręgu.

Niewykluczone jednak, że obserwowano stąd po prostu resztę świata — tego bezkształtnego, bezkresnego potwora, który zawsze osaczał narody zanadto zajęte własnym istnieniem. Patrzyłem na schnące w słońcu krowie placki i próbowałem nie myśleć o historii, ale guzik z tego wychodziło. Który to już raz geografia wystawiała mnie na pastwę tych wszystkich niejasnych zdarzeń, tych mętnych niby-faktów, tych szemranych prawd i niepodważalnych kłamstw, urabianych i lepionych w coś na kształt przeznaczenia. Tak, za horyzontem od wieków czaiła się groza. Wszystko, czego pragniemy, zabiera czas, a przestrzeń przynosi rzeczy niechciane. Zza widnokręgu wynurzają się armie albo idee i nie ma przed nimi ucieczki. Dawno minął czas przenośnych, ruchomych państw, których historia polegała na nieustającej teraźniejszości. Dzisiaj nie ma już dokąd pójść, żeby zacząć wszystko od nowa, i dlatego żyjemy zanurzeni w przeszłości, którą przesiąkają nasze terytoria, tak jak legowiska zwierząt przesiąkają ich zapachem. W każdym razie radary celowały zapewne w Turcję.

Na plaży leżeli ludzie. W piasku tkwiło kilka parasoli. Były niewiele większe od deszczowych. Poza tym jak okiem sięgnąć nie dostrzegłem żadnego cienia. Kolczaste zarośla na wydmach sięgały najwyżej do ramienia. Poszedłem wzdłuż brzegu na południe i po chwili byłem zupełnie sam. Widziałem, jak nurt rzeki łączy się ze słoną wodą. Dunaj był

ciemniejszy i przepadał w przejrzystym srebrze fal. Wyglądało to tak, jakby wielka chmura rzucała cień na lustro wód. Nadpłynął czarny, lśniący wąż, wypełzł na brzeg i sunął przez nagą plażę w stronę zarośli. Jego zwinna i maleńka obecność w pustym po widnokrąg pejzażu przypominała przywidzenie, więc poszedłem w ślad za nim. Poczuł na sobie mój cień, zwinął się i znieruchomiał. Zostawiłem go w spokoju. Odczekał chwilę i ruszył w głąb lądu.

Wieczorem Sfîntu Gheorghe ożyło. Zupełnie tak, jakby wszyscy czekali, aż zapalą się elektryczne światła. Nie zrobiło się wcale chłodniej, zrobiło się tylko ciemniej, ale widać ciemność zastępowała tutaj cień. Z domów, z plaży, z łodzi, z połowów nadchodzili ludzie. Knajpa pod drzewami nie mogła wszystkich pomieścić i przypominała obozowisko: dziesiątki, może setki postaci w ciągłym ruchu, w plamach półmroku i wątłego blasku, w gestach, które zaczynały się w świetle, a urywały w ciemności, wszystko zwielokrotnione przez cienie, przez odgłosy dobiegające z głębi nocy, jakby wieś przylegała do jakiejś kolejnej wsi, a ta znowu do następnej, jakby wieś Sfîntu Gheorghe miała swoich bliźniaków gdzieś w czarnych otchłaniach albo była małą matową planetą, która próbuje niezdarnie odbijać dźwięki i blask wielekroć większe od niej. Niebo raz po raz zapalało się rtęciowym rozbłyskiem. Eto majak — tak mi ktoś powiedział — latarnia morska. Majestatyczna martwota i monotonia światłości sprawiały, że wszystko, co odbywało się na ziemi, wyglądało na chaos, na zbieg

okoliczności. Ludzie pozbywali się energii szybko i nerwowo jak jaszczurki. Brałem w knajpie piwo ciuc i odchodziłem w mrok, żeby patrzeć na fiestę z oddali. Miałem wrażenie, że zabawa wiruje we wnętrzu jaskini. Noc napierała ze wszystkich stron i trzeba było nieustannie się poruszać, rozmawiać, przekrzykiwać mechaniczną muzykę, trącać szklankami i gestykulować, by gorąca ciemność nie zrosła się, nie zasklepiła jak rana. Tak, to był karnawał, europejski tropik, lęk przed oślepiającym blaskiem dnia, zapomnienie, i wszystko przenikał rozwibrowany, jękliwy dźwięk klarnetu w tej obcej skali, jaką spotyka się na południe od Karpat.

Żeby ochłonąć, szedłem nad wodę, na pomost, gdzie przybijał prom. Tutaj nie było nic widać. Słyszałem tylko plusk, rybie plaśnięcia i czułem ciepły, mulisty oddech rzeki, czułem jej gigantyczne tętno i obojętną obecność. Wyobrażałem sobie, jak z ciała kontynentu wypływa zielonkawa krew, lecz życie nie zamiera, i tak jest od tysiącleci.

Zaczynałem rozumieć sens knajpianej frenezji. To był po prostu znak istnienia. Wszyscy spotykali się w tym nędznym świetle, ciągnęli do niego jak ćmy, żeby sprawdzić, czy żyją. Musieli przyglądać się sobie nawzajem i podnosić wrzawę. Pomiędzy nieskończonością nieba i znikającą ziemią nie było miejsca na ludzką obecność. Tak, musieli się spotykać na skraju lądu, właściwie na skraju bagiennej wyspy, musieli odnajdować własne odbicia w cudzych oczach,

ponieważ nie ma gorszej rzeczy niż nicość przybierająca postać geografii.

W nocy pogryzły mnie pluskwy i wstałem o świcie. Wyszedłem z babcinego domku. Powietrze było niebieskoszare i trochę chłodniejsze niż wieczorem, ale upał wciąż wypełniał piaszczyste uliczki. Przygasł na chwilę, ale nie wywietrzał. Sączył się ze ścian domów, z ziemi, z płotów i ogrodów, wypływał ze świata jak gęsty sok z owocu, jak prąd z lepkiego wnętrza alkalicznej baterii. Minąłem biały wrak furgonetki wsparty na czterech sflaczałych oponach. To było jedyne auto w Sfîntu Gheorghe. Poszedłem tam, gdzie kończyła się wieś. Zaraz za ostatnimi domami zaczynały się śmietniska: martwy, szary, jednorazowy plastik, puszki, szkło, szmaty, tysiące opakowań, folia, trochę kartonów, stare garnki, wiadro bez dna, zamknięte kształty, w których zbierała się mulista, wilgotna przestrzeń, aż po najdalsze zakamarki tetrapaków i zgniecionych flaszek typu pet. Jęzor wysypiska spływał w stronę martwego kanału i na powierzchni wody tracił nieco ze swej masywności, rozpływał się, rozlewał w ławicę wystających szyjek, wzdętych toreb, namokniętej tektury pół na pół z aluminiową folią, i tylko metal pomieszany z potłuczonym szkłem spoczywał gdzieś na dnie.

I wtedy zobaczyłem ten krzyż. Stał w środku śmietnika. Był niewielki — metr, może półtora — zbity z dwu grubych desek i pomalowany na brązowo. Końce ramion pieczołowicie zaokrąglono, by surowe drewno nabrało pozoru jakiejś formy. Nie było żadnego napisu, żadnego

postumentu, krzyż tkwił po prostu w ziemi. Za najbliższe towarzystwo miał kilka podziurawionych wiader, trzcinową miotłę, puszki po farbie, rozklejony but i opakowanie mydła lux z twarzą ciemnowłosej kobiety. Próbowałem zgadnąć, czy stał tutaj, zanim zaczęto znosić śmieci, czy też ktoś umieścił go już na tym cmentarzysku rzeczy. Ta druga możliwość była piękna i patetyczna, ale mniej prawdopodobna. Nie było w Sfîntu Gheorghe chyba nikogo, kto mógłby pragnąć zbawienia przedmiotów, nikogo, kto odważyłby się myśleć o zmartwychwstaniu, o nieśmiertelności rzeczy. Prawdopodobnie niewielu wierzyło we własne zmartwychwstanie — stąd ta symbioza krzyża i nieorganicznej trupiarni.

Poszedłem z powrotem. Szósta pewnie już minęła, ale siódma jeszcze nie nadeszła. W knajpie siedziało kilku mężczyzn. Mieli ze sobą wiadro, kielnię i poziomicę. Wyglądali jak proletariaccy wolnomularze. Pili czystą wódkę i spłukiwali piwem. Po wieczornym karnawale nie było śladu. Na stołach stały czyste popielniczki, a faceci prawie ze sobą nie rozmawiali. Od wschodu podnosił się upał. Cienie ludzi kurczyły się jak plamy wilgoci. Murarze wypili i poszli. Zjawił się wczorajszy człowiek od babuszki. Miał ze sobą szczotkę z nawiniętą szmatą. Przecierał nią wszystko, co napotkał na swojej drodze: krawężnik obok knajpy, betonowy murek, jedną czy dwie chodnikowe płyty. Robił to szybko, w marszu, niemal nie zwalniając. Szmata była sucha. Nie zostawiała żadnych śladów. Zniknął za rogiem, a potem pojawił się w oddali po drugiej stronie

piaszczystego majdanu pod sklepem i tam też wykonywał to swoje pospieszne sprzątanie. Przez najbliższą godzinę widziałem go to tu, to tam, wciąż w pędzie, w opadających spodniach, wciąż w walce z kurzem i pyłem, niczym Buster Keaton Delty, który próbuje zapanować nad chaosem lotnych minerałów, próbuje ocalić Sfîntu Gheorghe przed kurzem niesionym z kosmosu.

Potem wrócili murarze, ale już bez narzędzi. Znów wzięli po szklaneczce wódki i po piwie. Widać zaczęli pracę i teraz z czystym już sumieniem, bez pośpiechu, mogli zmierzyć się z nadciągającym dniem. Coraz więcej ludzi zbierało się przy stołach. Była siódma, mężczyźni mieli ciężkie, nieruchome twarze. Niebo nabierało matowomlecznej barwy i zaczynało puchnąć od gorąca. Piłem piwo ciuc na zmianę z piwem ursus, ponieważ chciałem stać się trochę mniej widzialny w tym porannym towarzystwie, chciałem, by dosięgło mnie zmęczenie podobne do tego, które wydobywało się z ich twarzy i ciał. Widać sen wymagał tutaj takiego samego wysiłku jak życie na jawie. Miałem ochotę zostać przy drewnianym stole i czekać, aż moja dusza pogrąży się w nieoczywistości, a moje ciało zanurzy w dziwnej mieszaninie poranku i zmierzchu. Niewykluczone, że moja skłonność do peryferii, pociąg do prowincji, perwersyjna miłość do wszystkiego, co zanika, przepada i niszczeje, znalazły w Sfîntu Gheorghe zaspokojenie. Pomyślałem sobie, że mógłbym siedzieć tu przez lata i oswajać się z myślą o śmierci. Wychodziłbym codziennie na przystań promu i wyglądał jej przybycia. Zatarte, rozcieńczone miary

czasu to przybliżałyby jej nadejście, to oddalały, i w końcu być może zyskałbym coś na kształt warunkowej nieśmiertelności. Bo przecież jeśli z taką łatwością zanikało tutaj życie, to i ona musiałaby przyjmować jakąś niejasną, fantomatyczną postać. W codziennej wędrówce między cieniem knajpianych topól i przystanią pozbywałbym się zbytecznej energii, zostawiając sobie tylko tyle, by nie zgasły zmysły i wyobraźnia, za pomocą której nieustannie odtwarzałbym resztę świata, ponieważ musiałbym wciąż na nowo upewniać się o tym, że nic nie utraciłem. W samo południe, gdy dopadałaby mnie nuda, wybierałbym się na ten płaski piaszczysty wygon rozciągnięty wzdłuż wybrzeża. Z głębi lądu nadciągałyby zjawy z dalekich miast i miejsc. Pomiędzy lustrem wód i chmurami sunąłby Bukareszt, snuł się Berlin, płynęła Praga, Londyn, Stambuł i reszta, a przy dobrym układzie świetlnych i termicznych prądów pewnie i Nowy Jork przemieszany z Montevideo, z Tokio i Montrealem. Niewykluczone, że dzięki kaprysom atmosfery mógłbym oglądać też swoje minione życie, gesty i uczynki przechowane wśród powietrznych płaszczyzn, zamarznięte w stratosferycznych przechowalniach i teraz ożywione na pociechę, dla rozrywki albo jako pomoc dydaktyczna w rachunku sumienia. W Sfîntu Gheorghe mogło zdarzyć się wszystko — byłem tego pewien około siódmej trzydzieści, gdy przy stolikach przybywało gości. Są takie miejsca, w których nie ma nic prócz potencjalności. A tutaj rzeczywiście jedynym wyjściem mógł być cud, znak, nagłe objawienie. Próżnia, nieruchomość, horror zaniku, smutek

żywiołów ukształtowanych w geometrię płaszczyzn, niebo i ziemia rozcierające między sobą udręczone i ospałe człowieczeństwo — to wszystko samo w sobie było cudem i znakiem, ponieważ zatrzymywało wyobraźnię w pół kroku, w jej miejsce stawiając nieubłaganą rzeczywistość.

Wypiłem swoje ciuc albo ursus i wstałem. Projekty, które snułem, były tak pociągające, że za wszelką cenę musiałem zająć się czymś konkretnym. W portowym basenie wielkości małego stawu cumowało parę łodzi. Na przybitej do słupa desce ktoś napisał kredą: „crap 35000, som 38000”. To były ceny skupu karpia i suma. Pod drewnianą szopą siedziało dwóch mężczyzn. Podszedłem i zapytałem, jak właściwie można by się stąd wydostać, czy jest jakaś łódź, która popłynie do Suliny. Długo się zastanawiali, i w końcu jeden powiedział, że nie, że takiej łodzi nie ma w całej wsi, że nikt nie popłynie i dopiero jutro będzie prom. To samo powiedzieli mi inni, którzy smołowali wyciągnięte z wody czarne czółno. Kogokolwiek zapytałem, powtarzał to samo. „Nikt nie popłynie”. Wcale nie chciałem wyjeżdżać. Po prostu chciałem wiedzieć. Wszyscy mówili o promie i czasem o jakimś traktorze, który o piątej rano ruszył przez bagna w stronę Suliny. Ten jutrzejszy prom nawet mnie zmartwił. Chciałem nim popłynąć, ale nie tak szybko. Właściwie od samego przyjazdu wyobrażałem sobie, że tu powrócę. Ta myśl była tak wyraźna, że w pewien sposób przesłaniała teraźniejszość. W sklepie kupiłem chleb, kaszkawał, mineralną i białe wino w plastikowej flaszce. Ruszyłem w stronę wybrzeża. O ósmej było już gorąco jak u

nas w południe. Ziemia pachniała krowim gównem i kurzem. Znalazłem miejsce, gdzie nie było nikogo. Wszedłem do morza i poczułem, że jest tak samo ciepłe jak powietrze.

Dno opadało niemal niezauważalnie. Odszedłem tak daleko, że ląd zmienił się w kreskę, a woda wciąż sięgała mi ledwo po pierś. Czasem czułem zagubione chłodniejsze prądy, które zaraz znikały, i znów było tak samo ciepło, jakbym zanurzał się w ogromnych ruchomych wnętrznościach.

Niewykluczone, że wszystko, co napisałem do tej pory, zaczęło się od tej fotografii. Jest rok 1921 w niewielkim węgierskim miasteczku Abony, siedem kilometrów na zachód od Szolnok. W poprzek ulicy idzie niewidomy skrzypek i gra. Prowadzi go kilkunastoletni bosy chłopak w

kaszkiecie. Muzyk ma na nogach rozdeptane buty. Jego prawa stopa przekracza akurat wąski ślad pozostawiony przez wóz na żelaznych kołach. Ulica nie ma twardej nawierzchni. Jest sucho. Nogi chłopca nie są zabłocone, a ślad wąskich kół płytki, ledwo odciśnięty. Skręca łagodnie w prawo i ginie w nieco niewyraźnej głębi zdjęcia. Wzdłuż ulicy drewniany parkan i widać fragment domu: w oknie odbija się niebo. Nieco dalej stoi biała kapliczka. Za płotem rosną drzewa. Muzyk ma opuszczone powieki. Idzie i gra dla siebie i dla niewidomej przestrzeni, która go otacza. Prócz pary wędrowców na ulicy jest tylko paroletnie dziecko. Zwrócone w ich stronę, patrzy jednak gdzieś dalej, poza kadr, jakby za plecami włóczęgów działo się coś ciekawszego niż na fotografii. Dzień jest pochmurny, bo ani rzeczy, ani postacie nie rzucają cienia. Skrzypek na prawym ramieniu (tak, jest leworęczny) ma zawieszony kostur, a przewodnik coś, co wygląda na niewielką derkę. Od krawędzi kadru dzieli ich kilka

kroków. Zaraz znikną i muzyka ucichnie. Na fotografii pozostaną tylko malec, droga i ślad kół.

Od czterech lat prześladuje mnie to zdjęcie. Dokąd się nie wybiorę, szukam jego trójwymiarowych i barwnych wersji, i często wydaje mi się, że znajduję. Tak było w Podolińcu, w bocznych uliczkach Lewoczy, w rozpalonym do białości Gönc, gdzie szukalem stacji kolejowej, która okazała się pustym, zrujnowanym budynkiem, i do wieczora nie odjeżdżał żaden pociąg. To samo w Vilmány, na opuszczonym peronie wśród zatopionych w upale

bezkresnych pól, to samo na targowym placu w Delatyniu, gdzie stare kobiety sprzedawały tytoń, to samo w Kwasach, gdy pociąg już odjechał i okazało się, że wokół nie ma żywej duszy, chociaż domy stały jeden przy drugim. I w Sołotwinie, wśród nieruchomych kopalnianych szybów pokrytych słonym pyłem, i w Dukli, gdy od przełęczy wieje ciężki, monotonny wiatr. W tych wszystkich miejscach na przejrzysty ekran przestrzeni nakładał się André Kertész z 1921 roku, jakby właśnie wtedy zatrzymał się czas i teraźniejszość okazywała się przez to pomyłką, kpiną albo zdradą, jakby moja obecność w tych miejscach była anachronizmem i skandalem, ponieważ przybyłem z przyszłości, lecz wcale przez to nie byłem mądrzejszy, a tylko bardziej przerażony. Przestrzeń tego zdjęcia hipnotyzuje mnie i wszystkie moje podróże służą tylko temu, by w końcu odnaleźć ukryte przejście do jej wnętrza.

JADĄC DO BABADAG

Policzyłem stemple w paszporcie. Sto sześćdziesiąt siedem sztuk przez jakieś siedem lat, ale naprawdę powinno być więcej, bo niektórym leniom nie chce się ręką ruszyć. Tak mnie kiedyś załatwili w Oradei. Parę dni później wracałem przez Satu Mare, na przejściu pusto, samo południe, a oni: że zjechać na bok, zostawić auto, i kiwają, żebym szedł za nimi w te szklane hangary, w te cieplarnie, bo w środku pięćdziesiąt stopni, Amazonia, jedne drzwi, drugie, a na końcu centrum dowodzenia, dziesięć martwych komputerów, koleś z nogami na biurku i sterta pestek słonecznika. Cały czas gryzł, w ogóle nie przestawał. Zdjął tylko nogi. Byliśmy sami. Tamci gdzieś poszli. Pewnie do budki, pilnować, żeby się ktoś niebezpieczny nie prześlizgnął. Rozumiałem piąte przez dziesiąte: „cind?”, „unde?”, „intrare”, „stampila”, ale udawałem, że ani-ani i czysta niewinność. Oglądał paszport na wszystkie strony, od tyłu, od przodu, do góry nogami i jeszcze prawo jazdy, i dowód rejestracyjny, i carte verde, i w końcu kazał mi wyjść na korytarz. Widziałem go przez szklane drzwi. Znów położył nogi na stole i zajął się pestkami. Czekał, aż zmięknę w tym terrarium, aż przyznam się do szpiegostwa, przemytu i operacji plastycznej i będę skłonny wymazać te zbrodnie za pomocą paru dolców. Oparłem się o ścianę, zamknąłem oczy i udawałem, że śpię na stojąco. Po

półgodzinie zawołał mnie i znowu coś mówił, a ja odpowiadałem po polsku, że chuj mnie obchodzi, że jego koledzy w Oradei zaniedbują obowiązki służbowe. Tak sobie rozmawialiśmy. W końcu popatrzył na mnie z wyrzutem, oddał dokumenty i machnął ręką.

No więc nie zawsze stemplują, ale też nie zawsze się czepiają, że nie wbili. Nie ma tutaj reguł. Węgrzy czasami nie wbijają i wcale się nie przyczepiają, tylko wykonują ten mój ulubiony powolny, ciężki gest dłonią, który tak naprawdę oznacza: a pies was wszystkich. W ogóle lubię węgierskich grenszuców. Zwłaszcza na przejściu w Sátoraljaújhely latem. Są rozleniwieni, trochę porozpinani, kabury zwisają niedbale, poruszają się z godnością, jakby chcieli powiedzieć: kiedyś to wszystko było nasze, ale zachciało się wam Trianon i teraz musicie stać w tych zasranych kolejkach. Mówię im „jo napot" i jakoś mnie puszczają. To „jo napot" jest na cześć jednego pogranicznika z kolejowego przejścia w Lőkösháza. Wracałem wtedy z Sybina i była jakaś piąta rano. Pojawił się na końcu korytarza, a moje serce struchlało. Miał dwa i pół metra wzrostu, ogoloną na łyso głowę, polowy mundur, w którym ledwo się mieścił, i jakiegoś gigantycznego gana przy boku. Wyglądał jak jakiś pies wojny, zmutowany najemnik. Usiadłem w przedziale, położyłem dłonie na kolanach i wstrzymałem oddech. Potem drzwi się otworzyły, zobaczyłem wielką, uśmiechniętą gębę i usłyszałem: „Dzień dobry, całuję rączki. Tak się to mówi? Narkotyki, broń,

materiały, semtex? Nie?". „Dziękuję". „Do widzenia, całuję rączki. Tak się to mówi?". I zniknął.

Zresztą rumuńscy tak naprawdę wcale nie są gorsi. Ani ukraińscy, ani słowaccy. Nawet austriackim potrafi wszystko zwisać. Niektórzy są roztargnieni — jak ten słoweński na przejściu w Hodoš, który z uporem dopytywał się, ile wwozimy dinarów, ponieważ wyleciało mu z głowy, że jego kraj od dziesięciu lat nie jest już Jugosławią. Albo zdziwieni jak ten grecki na Korfu, który nie mógł uwierzyć, że spędziliśmy w Albanii dwa tygodnie dla przyjemności, i oglądał pod światło nasze brudne gacie, szukając rozwiązania niepojętej tajemnicy.

Tak, sto sześćdziesiąt siedem stempli, a jeśli doliczyć zaniechane, to pewnie zebrałoby się ze dwie setki. Czerwone, fioletowe, zielone, czarne, rozmazane, z jakimiś dopiskami długopisem, z obrazkami zabytkowych lokomotyw, automobili, z dziecinnymi sylwetkami samolotów i statków, bo to wszystko ma w sobie coś z dziecinady, z gry w berka, w ciuciubabkę, w chowanego, z czczej rozrywki, z zabawy, która raz rozkręcona, nie może się skończyć. Niektóre są niewyraźne jak odciski pieczęci z kartofla, jak amatorszczyzna „małego drukarza", jakbym sam to sobie narysował kredką albo flamastrem, zero powagi.

Ciekawe, jak wygląda stempel Mołdawii. To znaczy Republiki Moldovy, tej na wschód od Prutu ze stolicą w Kiszyniowie. Będę musiał sprawdzić. Chciałbym, żeby był zielony. Tak sobie wyobrażam ten kraj: zielona pagórkowata

ziemia i od czasu do czasu las. Sady i ogrody w słońcu. Dojrzewają arbuzy, papryka i winorośl. W zaułkach starego Kiszyniowa zalega cień kasztanowców. Kuchnia podobno jest tłusta, ciężko strawna, ale smaczna. Jedyny mankament to brak w jadłospisie białej wódki, którą zastępuje słodkawe ciężkie brandy. W pewnej niemieckiej gazecie napisali, że najważniejszym działem mołdawskiej gospodarki jest handel ludzkimi organami. Sprzedają na ogół własne, ale bywa też, że i cudze. Pewnie pojadę tam latem. Lubię jeździć do krajów, o których wie się tak niewiele. Potem wracam i wynajduję jakieś książki, wypytuję ludzi, zgarniam na kupkę okruchy informacji i sprawdzam, gdzie naprawdę byłem. Guzik z tego wychodzi, bo wszystko staje się jeszcze bardziej obce i przypomina sen śniony wewnątrz snu. Muszę zaglądać do paszportu, żeby się upewnić, że obce kraje w ogóle istnieją. No bo w końcu co to za kraje? Wspomnienia po dawnych, resztki minionych i projekty przyszłych, jakieś potencjalności, jakieś niejasne obietnice i „my wam jeszcze pokażemy”. Powinienem w końcu pojechać za jakąś prawdziwą granicę, gdzie kobiety chodzą w butach z wężowej skóry i nic nie przypomina jakiejkolwiek znanej rzeczy, gdzie życie raptem się urywa i zaczyna karnawał albo coś w rodzaju traumy, albo transgresji. Sto sześćdziesiąt stempli jak psu w dupę. Wracam zawsze tak samo głupi, jak ciemny wyjeżdżałem. Wszędzie stoją faceci na rogach ulic i czekają, aż coś się zdarzy, wszędzie siedzenia w pociągach mają dziury powypalane papierosami i ludzie po prostu spędzają czas i

patrzą spokojnie, jak historia dociska gaz do dechy. Tracę czas i kasę. Równie dobrze mógłbym nie ruszać się z domu, bo to wszystko mam na miejscu. Gdziekolwiek się ruszę, wyglądam Cyganów. W Prekmurju wyjeździłem bak benzyny, żeby na nich trafić, ponieważ brała mnie cholera na ten wysprzątany kraj i na Słoweńców, na tych zdrajców słowiańskiej rozpierduchy, ale nie znalazłem żadnego, chociaż wyczytałem, że na pewno tam są. Bardzo możliwe, że się ukryli, że wyczuli mnie na sto kilometrów z tym moim zamiłowaniem do rozpadu, z tą żałosną skłonnością do wszystkiego, co nie wygląda tak, jak powinno. Wyczuli mnie już, gdy wyjeżdżałem z domu, już na Słowacji, gdy mijałem ten ich rozdupczony slams za Zborovem, to miejsce przy szosie na wzgórzu, tę prowizorkę i kpinę ze wszystkich pokus ładu i dostatku. Tam moje serce zawsze drży z podziwu, że można mieć ten świat w dupie i uprawiać starożytne zbieractwo pośród postmodernistycznego postindustrialu: kobiety niosą wiązki chrustu, faceci ciągną wózki wyładowane złomem, dzieciarnia wygrzebuje plastik z wysypisk, przed budami z dykty stoją wraki bez kół i suszą się dywany, wszędzie fruwają foliowe torby. W gruncie rzeczy robią to samo, co wszyscy, czyli próbują przetrwać, ale się tym nie chwalą, bo nie zapisali swojej historii i wolą swoje bajki i legendy, swoje bajania z pokolenia na pokolenie, swoje „pewnego razu” zamiast, powiedzmy: „trzynastego grudnia roku pamiętnego, dajmy na to, w Kopenhadze”. Dlatego dokądkolwiek się wybiorę, zaraz rozglądam się za nimi, za tą żywą obrazą cywilizacji

śródziemnomorskiej oraz chrześcijańskiej, za tym ludem bez ziemi, który nawet jak już coś zbuduje, to tak, jakby miał zaraz to porzucić, podpalić dla zabawy albo z rozpaczy i przenieść swoje ruchome państwo gdzieś dalej, gdzie biała europejska hołota dyszy mniejszą nienawiścią. No więc wypatruję ich — tak jak w słoweńskim Prekmurju — i czuję zawód, gdy ich nie spotykam, czuję, że wypuściłem się za daleko, że pora wracać. Pewnie łączy mnie z nimi jakieś bękarcie pokrewieństwo: niby nauczyłem się pisać, składam jakoś słowa, które potem gdzieś zostają, ale nie potrafię za pomocą tych opowieści stworzyć sensownej historii, historii do uwierzenia. Te wszystkie rzeczowniki, czasowniki i reszta odklejają się od świata, odpadają jak stary tynk, i w końcu wracam do legend, do bajduł i ballad, do rzeczy, które wprawdzie się zdarzyły, ale są czystym kłamstwem, kitem i metaforyczną farmazonią. Po prostu trwały za krótko, żeby mieć jakiekolwiek znaczenie. Albo trwały tylko w mojej głowie.

Kiedyś na Okęciu wopista w budce oglądał mój paszport ze wszystkich stron, kartkował go, spoglądał na mnie spod oka, znów zerkał między wyświechtane kartki i już myślałem, że po ptakach, że zostaję w domu, ale on w końcu pochylił się w stronę szklanego lufcika i zapytał: „Panie, gdzie jest ta cała Konieczna?”. Pięćdziesiąt razy ruszałem tamtędy w drogę na południe z duszą na ramieniu i w słodkim lęku przed tym, co mnie spotka, a on nie miał nawet pojęcia, że coś takiego istnieje, chociaż siedzą tam jego koledzy i wklepują stemple takimi samymi maszynkami

na sprężynę. Tam się to wszystko zaczyna: ucieszone chłopaki targają ze słowackiej strony pięciolitrowe bańki z sokiem — czerwone, żółte, pomarańczowe i zielone — prześwietlone słońcem, lśnią jak skarby Ali Baby, targają wódkę, piwo całymi skrzynkami, co śmielsi biorą nawet czerwone modranskie, bo chociaż cholernie wytrawne, to jednak po pięć złotych, kobiety targają wory cukru, mąki i ryżu, a trzy sklepy po tamtej stronie w szczerym polu i głuchym lesie kołyszą się jak okręty, jak emigranckie statki płynące sto lat temu za ocean, wypełnione taką samą gawiedzią, takimi samymi twarzami, i nawet kapoty i kaszkiety nie zmieniły się specjalnie od tamtego czasu. Bogactwo taniochy kołysze się wśród łagodnych zielonych fal Beskidu i nadzieja szybkiej zwałki za pół ceny jak obietnica Ziemi Obiecanej ożywia tę moją Konieczną. Czasami staję sobie w kolejce pod pretekstem nabycia tmaveho smadneho mniha albo horkej demanovki, ale tak naprawdę wyobrażam sobie, że gdzieś tutaj, w sklepie „Na colnicy”, zaczyna się ten południk, który przepada w Morzu Jońskim u brzegów półwyspu Peloponez, a wzdłuż niego jak ptaki na drucie siedzą tacy sami faceci, jak ci tutaj. Mają swoje wypchane torby i pomysły na to, jak sobie poradzić, mają swoje rude wredne celniczki w okularach i zawsze mają za mało pieniędzy, więc muszą się przemieszczać, muszą robić uniki, żeby wykiwać rzeczywistość i wieczorem wyjść na swoje. Koszyce, Tokaj, Arad, Timiszoara i Skopje tkwią na tej świetlistej południkowej nitce jak paciorki. Spod sklepu „U Pufiho” jest wielki widok na dolinę

Kamenca. Chłopy piją piwo i patrzą na południe. Po tej stronie blask jest wyraźniejszy, więc patrzą zachłanniej niż u siebie. Koszyce, Tokaj, Arad, Timiszoara, Skopje... Tak. Można by tych z Małastowa, ze Zdyni, z Gorlic przenieść i posadzić przed sklepem w Hidasnemeti, tam, gdzie wydaje się ostatnie forinty przed granicą, albo na targ w Suczawie, albo do Sfîntu Gheorghe, gdzie Dunaj w bagiennych oparach uchodzi do Morza Czarnego, albo nawet do Tirany, gdy nad placem Skanderbega zapada duszny od spalin zmierzch i harmonia świata w zasadzie pozostaje nienaruszona. Nikt nie rozpoznałby w nich cudzoziemców. Przynajmniej do chwili, gdy musieliby przemówić. Niedawno zabłądziłem nocą w Grójcu, szukając zjazdu na Końskie, i czułem się tak, jak kiedyś w mieście Abrud w Transylwanii. Taka sama ciemność i dwuznaczne światła, taka sama nieoczywistość ludzkiej obecności i cienie przypominające postacie, i przestrzeń ledwo przetarta, oskrobana z przedwiecznego mroku. Z tymi facetami jest podobnie: wyglądają na zaczętych i trochę niedokończonych. Jakby się zatrzymali i oczekiwali na dalszy ciąg ewolucji albo stworzenia, jakby czekali na rozwój wypadków i żyli w nieustannej teraźniejszości, która wciąż zamienia się w przeszłość. Przyszłość jest wymysłem. Oczywiście ma nadejść, do znudzenia się o tym słyszy, ale stara mądrość wie, że istnieje tylko to, co jest i było. Reszty nie ma, bo nikt nie dotknął ani nie widział. Dlatego spod sklepu „U Pufiho” też gapię się na południe i planuję podróże w teraźniejszości pomieszanej pół na pół z

minionym. Nie potrafię myśleć o tym, co będzie, nie przypominając sobie tego, co było. Czasami mam wrażenie, że to wszystko trzyma się w kupie tylko dzięki granicom, że prawdziwym obliczem tych ziem i ludów są kształty ich terytoriów w atlasach.

To głupia myśl, ale nie mogę się jej pozbyć. „Reasumując, rumuńska kultura ludowa jest jedną z najbardziej złożonych i najbogatszych w treść kultur europejskich". Kiedyś w Mediolanie zapytałem Francesca: — Kim są romańscy bracia Rumuni dla przeciętnego Włocha. — Dla przeciętnego Włocha wszyscy Rumuni to Cyganie — odpowiedział Francesco. Kiedyś w Sybinie szukałem jakiejś muzyki w sklepie płytowym gdzieś przy strada Nicolae Bălcescu. Sprzedawczyni zapytała, skąd jestem. Odpowiedziałem, że z Polski, i wtedy zaczęła recytować: „U łukamorja dub zielonyj; złataja cep' na dubie tom: I dniom i noczju kot uczonyj wsio chodit po cepi krugom". „Wszystko się pani popierdoliło", powiedziałem z rezygnacją. Kiedyś w knajpie w Krakowie Jabłoński próbował oczarować dwie Słowaczki i przez trzy godziny mówił do nich po czesku, a one patrzyły na niego z malejącym zaciekawieniem. W końcu przyszedł Kamil, który je znał, i powiedział do Jabłońskiego: „To są Słowenki i nie rozumieją, o co ci chodzi". Anglicy znają Czesława Miłosza, ale myślą, że to ten Czech, co zrobił *Hair.* I tak to się kręci, a ja wcale nie pragnę jakichś zmian i kompletnie mnie strzyka lepsza jakość obrazu czy dźwięku. Dobrze jest żyć w krainach nieoczywistych, ponieważ ich granice zawierają w sobie

więcej przestrzeni, niż wskazuje geografia. To są otchłanie nieznanego, to jest nieskończona dal domysłów, uciekający horyzont wyobrażeń i fatamorgana słodkich przesądów, którym nigdy nie sprosta rzeczywistość.

Któregoś lata przez tydzień błądziłem wzdłuż rumuńskiej granicy i wyobrażałem sobie, co jest z tamtej strony.

Snułem się po wschodnich Węgrzech, po Szabolcs-Szatmár, po piaszczystych zadupiach i wsiach dusznych od woni świńskiego gnoju, gdzieś między Mátészalka, Nyírbátor i Nagykálló, i wyobrażałem sobie Rumunię, o której wiedziałem tyle co kot napłakał, ale moja wyobraźnia nie znała granic, więc śniłem sny na jawie, sny pozbawione treści, oczyszczone z kształtów, i to było jak dotknięcie nierzeczywistego, o którym się wie, że istnieje mocniej niż sama rzeczywistość. Potem przez Záhony przejechałem na Ukrainę i wzdłuż Cisy wlokłem się pociągiem na wschód, znów z Rumunią po prawej na wyciągnięcie ręki, i dopiero gdzieś na wysokości Sygietu Marmaroskiego odbiłem na północ, żeby wyzwolić się z tej maligny. Rok później pojechałem do Rumunii naprawdę, ale to „naprawdę" było powtórzeniem tego starego snu, tamtej nadgranicznej halucynacji, i tak naprawdę trwa to do dzisiaj i kolejne stemple w paszporcie niczego nie zmieniają, bo nie da się ostemplować majaków, które są większe i trwalsze niż wszystkie granice razem wzięte.

Wiem coś o tym: sto sześćdziesiąt parę stempli przez siedem lat i zdecydowana ich większość w „pasie ludności mieszanej", w krainie, gdzie jedno wynika z drugiego bez

przyczyny i z obojętnym dla całości skutkiem, w przestrzeni, gdzie strzygi wciąż jeszcze łączą się w pary z wilkołakami i wyobraźnia nie może zaznać spokoju, ponieważ tylko ona jest w stanie uporać się z chaosem tego, co niby widzialne, niby dotykalne i od biedy stwierdzone. Południe, południowy wschód. Wszystko przypomina tutaj i wolność, i dzieciństwo. Jakbym cofał się w przeszłość, mając do wyboru nieskończoną ilość ścieżek. Tak, w Koniecznej czuć w powietrzu pewien rodzaj nicości i już w okolicach Zborova zaczyna zwisać człowiekowi jego tożsamość. Z każdym kilometrem robi się jej coraz mniej i tak jak w dalekim dzieciństwie opuszcza nas w końcu własne istnienie, jako coś różnego od reszty świata. Jeśli jedziemy na Węgry przez Slovenske Nove Mesto, to w miejscu, gdzie naszą szosę przecina droga numer 552, zaczyna się ten dziesięciokilometrowy kawałek, na którym można przycisnąć, ile dała fabryka. Jeśli jest wiosna, wzgórza zemplińskie są żółte od kwitnącego rzepaku. Wokół panuje taka pustka, że trudno rozstrzygnąć, czy jest to jeszcze pejzaż, czy już jego synteza. Szosa wspina się na kolejne grzbiety i opada, i biegnie tak prosto, jakby ktoś cisnął przed siebie krążek szarej wstążki. Przez te dziesięć kilometrów czuję się tak, jakbym w końcu trafił na jakąś nieszczelność bytu, jakbym oglądał świat od drugiej strony: wszystko jest tak samo, jak było, ale nie jest takie samo. Przed Cerhovem trzeba zwolnić na przejeździe kolejowym i rzeczy powoli wracają na swoje miejsca prawdopodobnie po to, żebym czuł się jak rozbitek ocalały z katastrofy,

prawdopodobnie po to, bym mógł opowiadać te wszystkie dyrdymały, klecić te legendy dające wytchnienie od rzeczywistości, której nie jestem w stanie pojąć i w dodatku nawet nie próbuję. Wiem, że za stacją Slovnaftu raz w życiu powinienem pojechać prosto, a nie jak zwykle w prawo, i nareszcie obejrzeć wieś Borsa — miejsce narodzin Franciszka II Rakoczego — bohatera jednego z odcinków francuskiego serialu pt. *Słynne ucieczki oraz przywódcę węgierskiego powstania narodowego przeciw Habsburgom w 1703 roku. Tak, wiem, powinienem to zrobić, powinienem pojechać prosto, żeby raz w życiu spotkać się z rzeczywistością, ale zawsze, niczym Dyzio Marzyciel, wybieram ucieczkę w słodkie przywidzenie i jeśli nie ma kolejki na przejściu, po dziesięciu minutach wjeżdżam w cień starych drzew rosnących przy głównej ulicy miasta Sátoraljaújhely. Ten cień nie daje mi spokoju. Niewykluczone, że to tylko kontrast z zieloną półpustynią ostatnich słowackich kilometrów, kontrast między ideałem pejzażu i doskonałością miasta, gdzie wiekowe drzewa przesłaniają wymyślne fasady domów w sposób tak wyrafinowany, że nie sposób odróżnić ruchliwych plam światła od liszajów na tynku. Tak samo jest w Satu Mare na głównym placu, gdzie drzewa przesłaniają niebieskie tablice drogowskazów i jeździ się w kółko i w kółko, i nie można znaleźć wylotu ani na Kluż, ani na Sygiet, ani na Oradeę, ani tym bardziej na Baia Mare, więc w końcu człowiek parkuje gdzie bądź, siada w zielonym cieniu,*

przeklinając rumuńską roślinność, i czeka do jesieni, aż opadną liście i odsłonią kierunki świata.

I tak samo jest w Czerniowcach, ten sam stary blask i przedwieczny cień próbują rozkruszyć mury, stiuki, próbują wygładzić skomplikowaną powierzchnię ścian, utrącić te wszystkie gzymsy, pilastry, balkony, wykusze, ale Czerniowce pamiętam akurat jak przez mgłę, ponieważ Saszko w swojej nieopisanej gościnności narzucił takie tempo, że dzień następny przypominał wnętrze ognistego pieca, który w te pędy chciało się opuścić. Na dworcu autobusowym podchodzili grubi taryfiarze i mówili, że do Suczawy nic już dzisiaj nie pojedzie. Podchodzili i kręcili na palcach pękami kluczyków samochodowych, do których doczepione były klucze do mieszkań, klucze do piwnic, klucze do kłódek, do furtek, do skrzynek pocztowych i cholera wie do czego jeszcze. Pobrzękiwali tym złomem i byli źli, że nikt im nie chce wierzyć, że nikt z nimi nie chce jechać za głupie pięćdziesiąt dolców do Seretu, i stali, to znaczy drobili nerwowo w tę i z powrotem, i wyciągali szyje ponad tłumem, bo taryfiarze w tej części świata, nawet gdy są kurduplami, widzą zawsze więcej niż reszta. Tak, facet, który ma wielką bryczkę, ale nie może nigdzie pojechać, to jest ciężka sprawa. Wszędzie tak samo: w Gorlicach, w Kołomyi, w Delatyniu i w albańskiej Gjirokastër, gdzie za kilometr chcieli tyle, ile w Berlinie, przy krajowym produkcie brutto tysiąc pięćset dolarów na głowę mieszkańca. Siedzieli jeden za drugim w swoich dwudziestoletnich mercach-beczkach i nic, tylko te

niemieckie ceny. Zero negocjacji. Z nieba lał się żar, żadnych drzew, konie grzebały kopytami w rozwleczonych śmietnikach przy szosie, a oni podłubywali w nosie, kręcili kulki i pstrykali nimi w kurz drogi, zupełnie jak nasi na tych swoich wiekuistych postojach. No a ja się uparłem, że chcę do Erind, bo wypatrzyłem, że tam kończy się droga i dalej jest tylko masyw Lunxherise, który wyglądał bezludnie, niczym podłużny kawałek księżyca, zaryty w dzikim i pięknym ciele Albanii. Musieli to wyczytać w moich oczach, musieli to wyczuć swoim siódmym taryfiarskim zmysłem. Pokonany wsiadłem do zielonej dwusetki z zadem tuż przy ziemi i ruszyliśmy. Ach, trzeba było pojechać do Erind, żeby coś zrozumieć. Wlekliśmy się pod górę — dwójka, dwójka, czasem trójka i dzwonienie rury wydechowej o wystające kamienie. „Przy drodze nie było cienia. Wędrowcy brodzili w kurzu jak w błocie i patrzyli na zżółkłe zbocza przy drodze, z których powodzie, wichry i słońce zabierały wszystko, czego by się głodny i nieszczęśliwy człowiek mógł uchwycić”. Tak to wyglądało. I potem rumowisko Erind. Domy podobne do jaskiń, żaroodporna zieleń i kilkoro dzieciaków wśród białych murów, a reszta pewnie wyjechała na plantacje do Grecji, bo nie było nawet psa ani kury, tylko na samym końcu, na rozpalonym placyku, stał pomnik poległych partyzantów z porcelanowymi nagrobnymi fotografiami. Jeden nazywał się Misto Mame, drugi Mihal Duri, dwadzieścia jeden i dwadzieścia cztery lata. Taryfiarz stanął właśnie tam i czekał, aż sobie obejrzę. Myślał, że o to mi chodzi, bo przecież nie było tam nic

innego. „Ach, pierdolić niemieckie ceny”, westchnąłem i zasalutowałem. W końcu facet pokazał mi to, co mieli tu najcenniejszego, a nie tak znowu wielu rwało się, by to oglądać. Następny kurs tutaj mógł mu wypaść za dwa lata, więc pieniądze podzielone przez czas tak naprawdę zamieniały się w nicość.

Czasami sobie wyobrażam, że tak to powinno wyglądać: cała kasa świata, szmal z frankfurckich banków, czeluście Bank of England, wirtualne zapasy korporacji krążące w elektronicznej przestrzeni, zawartość wielopiętrowych piwnic przy Bahnstrasse w Zurychu, cały ten papier, kruszec oraz szeregi cyfr wirujące w lodowatym krwiobiegu światłowodów, to wszystko powinno przepadać, tracić wartość, rozmieniać się na nieistniejące, w takich miejscach jak Erind, jak Vicşani, Sfîntu Gheorghe, Rozpucie, Tiszaszalka, Palota, Bajram Curri, Podoliniec, plac przed kościołem w Jabłonnej Lackiej, stacja kolejowa w Vilmány, stacja kolejowa w Delatyniu wczesnym świtem, sklep spożywczy w Livezile, sklep spożywczy w Białej Spiskiej, knajpa w Biertan, deszcz w Mediaş i tysiąc innych miejsc, bo gdy spojrzę na mapę, to wygląda ona jak sito, jak nocne rozgwieżdżone niebo, jak stary tiszert i przetarte prześcieradło, i przez te miejsca, gdzie byłem, prześwieca blask silniejszy od zamierzchłego blasku geografii jako takiej, od złowrogiej poświaty geografii politycznej i martwego światła geografii gospodarczej. I nic nie zaceruje tych dziur. Wszystko, co ma nadejść, przeleci przez nie jak pokarm przez kaczkę, przecieknie jak piasek przez palce.

Ani idee, ani forsa, ani skundlony czas nigdy nie dotkną tych miejsc, tych przetarć w wątku i osnowie, tych śladów mojej obecności. Tak, to są czarne i reakcyjne myśli. Jest 11 stycznia, piętnaście po drugiej w nocy, i zdaję sobie sprawę z tego, że snuję projekty jakiegoś rezerwatu i gdyby obywatele wymienionych miast i wsi o tym się dowiedzieli, zwyczajnie skopaliby mi dupę. Prawdopodobnie jednak, zwłaszcza w Erind, nikt nigdy tego nie przeczyta. Tak, rezerwat i skansen, na które prószy wiekuiste światło, tak sobie to wyobrażam i chciałbym, aby tak było, ponieważ moje serce zamiera, ilekroć coś znika mi z oczu, coś przepada za zakrętem albo w ciemności, i nigdy nie mogę uwolnić się od myśli, że przepadło na zawsze i byłem jedynym, który to widział, i teraz mogę tylko opowiadać i opowiadać, jeśli w ogóle ktoś będzie chciał słuchać. W dodatku te wszystkie miejsca i rzeczy to jest rozpad, rozpierducha, ledwo kamień na kamieniu albo resztki dawnej świetności, więc ten mój strach nie jest wymysłem, bo jak wrócę tam, gdzie już kiedyś byłem, mogę niczego nie zastać. To jest specjalność mojej części świata, ten nieustanny zanik pomieszany pół na pół ze wzrostem, ten cwany niedorozwój, który każe wszystko brać na przeczekanie, ta niechęć do eksperymentów na własnym organizmie, to wieczne pół gwizdka, które pozwala wyskoczyć na brzeg strumienia czasu i akcję zastąpić kontemplacją. Wszystko, co nowe, jest tu podrabiane i dopiero gdy się zestarzeje, zniszczeje, zetleje i rozkruszy, nabiera jakiegoś znaczenia. Chłopaki z Kisvârda, z Gorlic, z

Preszowa i z Oradei w czapkach z daszkami do tyłu udają czarnych braci z zaoceanicznych slamsów, ponieważ tutaj nie ma nic do udawania. Wszystko, co nowe, przypomina film i nie ma nic wspólnego z tym, co było. Dlatego wolę stare i wybieram rozpad, którego ciągłość jest nie do podważenia. W Elbasan na głównej ulicy widziałem wielkie stosy szmat. To miał być handel, ale wyglądał na wysypisko. Kobiety grzebały w ciągnących się przez wiele metrów hałdach, usypanych prosto na betonie. Wyglądały tak, jakby szukały ciał bliskich zaginionych w katastrofie. Przebierały, odrzucały, próbowały dogrzebać się do czegoś lepszego. Było tego ze dwie ciężarówki i diabli wiedzą, skąd przyjechało. Może z Grecji, może z Włoch, w każdym razie z jakiegoś miejsca, gdzie już nie było potrzebne. Idee i myśli przybywają tutaj tak samo zużyte, tym bardziej że od początku były pomyślane jako jednorazowe. To jest kraina recyklingu i ona sama też w końcu zostanie przetworzona.

Takie podejrzenia nawiedzają mnie późnym wieczorem. Wieje z północnego zachodu i białe półokrągłe ostrza zasp kładą się w poprzek szosy wiodącej do Koniecznej. Powinienem wymyślić jakąś zgrabną historię, która tam właśnie miałaby swój początek i koniec, jakiś cwany kit, który zaspokaja wyobraźnię, łagodzi lęk i oszukuje głód. Powinienem w ciemnościach życia wypatrzyć jakiś pojedynczy ślad, który w cudowny sposób zamieni się w los, w coś, co można naśladować, coś, czym można się pocieszać. Nic z tego nie wychodzi. Świat jest teraźniejszością i ma gdzieś opowieść. Gdy próbuję sobie

coś przypomnieć, przypomina mi się wszystko inne. Spod dzieciństwa wyłazi Rumunia, spod wakacji u dziadków wychodzi Albania, a teraz, gdy jestem w miarę dorosły, okazuje się, że żyję w okolicy, która przypomina mi najwcześniejsze zapamiętane obrazy. Mam czterdzieści parę lat i znów jest ta sama wieczna przypadkowość, kurniki, komórki na węgiel, komórki na cokolwiek — jakby ktoś wyświetlał przezrocza z czasów, gdy bawiliśmy się w policjantów i złodziei, w Indian i kowbojów. Śnieg zasypuje Konieczną i zasypuje Zdynię, i całą gminę Uście Gorlickie, niegdyś zwane Uściem Ruskim. W monochromatycznym pejzażu poruszają się kolorowe szufle: czerwone, zielone, niebieskie i żółte. Ludzie próbują dotrzeć do swoich komórek, składzików, budek i przybudówek, gdzie czekają zwierzęta i stare samochody. Na przejściu rosną zaspy i nikt się nie wybiera na słowacką stronę. Tutaj też przybyła nowa budka wielkości kiosku z gazetami: sklep, bar i kantor w jednym — tak głosi napis na szybie. Ale dzisiaj nie ma żywej duszy poza chudym porucznikiem w kominiarce, który mnie pociesza, że u Słowaków jest lepiej, że pługi śnieżne kursują co dwie godziny. Jest chyba rozczarowany, gdy mówię, że nie jadę, że wpadłem tylko tak, żeby popatrzeć, jak śnieg próbuje zatrzeć granice, przykryć mapę i wyrównać na gładko karpacki wododział. Nie wiadomo skąd zjawia się człowiek z błękitną łopatą na ramieniu i mówi z rezygnacją: „Pójdę chyba po traktor”. Zawracam na zaśnieżonym parkingu i myślę, że za rok ma tego wszystkiego nie być, że znikną biało-czerwone szlabany i

świetlna sygnalizacja, i stemple, i niepewność, i pytania: „Jakiś towar jest?”, „Dokąd wyjazd?”, zniknie pies do poszukiwania amfy i semtexu, znikną pogaduszki i lekka niepewność, przepadnie cały hazard i hasło: „No to na Konieczną…”, i wcale się z tego nie cieszę. Już teraz zbieram i odkładam czarno-złote stukoronówki z Madonną mistrza Pawła i Lewoczą po drugiej stronie, zielone dwudziestki z Pribinem na awersie i Nitrą na odwrocie, i fioletowe tysiące z Andrejem Hlinką i Matką Boską na rewersie. Zbieram też czeskie pięćdziesiątki, setki i dwusetki ze świętą Agnieszką, Karolem IV i Janem Amosem Komenskym — wszystkie pastelowe i trochę jakby wypłowiałe, niczym opakowania od jakichś zabytkowych słodyczy. Za to węgierskie forinty mają w sobie ledwo powściąganą dzikość. Zwłaszcza bladoniebieski tysiąc z królem Maciejem Korwinem, który wprawdzie był renesansowym koneserem sztuk i nauk, ale tutaj wygląda na kogoś, kto w razie potrzeby żywi się surowym mięsem. Młodszy od niego o ponad dwieście lat Franciszek II Rakoczy z pięćsetki spogląda wzrokiem nieco łagodniejszym, ale i tak na jego ustach błąka się grymas pysznej barbarzyńskiej pogardy dla cywilizowanego Zachodu z Habsburgami na czele. Wprowadził wprawdzie do Wersalu modę na menueta de Transylwania, lecz jego pięćsetforintowy wizerunek bardziej przypomina Chmielnickiego z dwudziestohrywnówki albo naszego Sobieskiego niż któregokolwiek Ludwika. Tak, lubię węgierskie banknoty, ponieważ nie owijają rzeczy w

bawełnę, mają gdzieś całe Trianon i opłakują czasy, gdy konie Hunów pławiły się w Adriatyku. Lecz moim ulubionym banknotem jest pięćdziesiąt słoweńskich tolarów. Na awersie przedstawiony jest Jurij Vega (1754-1802), o którym niestety milczy Encyklopedia PWN. Stylistyka banknotu sugeruje jednak, że był astronomem. Jego fizjonomia może się kojarzyć z młodym Beethovenem albo zgermanizowanym naczelnikiem Kościuszką. Ale najbardziej lubię drugą stronę nominału: trzy czwarte banknotu jest intensywnie błękitne i przypomina pogodne niebo nad miasteczkiem Piran w styczniu. Ta dziecięca niebieskość jest bezkompromisowa jak rysunek z przedszkola i konkurencją dla niej może być tylko dwa tysiące rumuńskich lei w całości wykonane z plastiku w narodowych barwach plus wstawki z przezroczystej folii. Całość wypuszczona z okazji całkowitego zaćmienia słońca w 1999 roku: „Duoa mii lei, eclipsa totala de soare”. Tak, to wszystko kiedyś przepadnie, więc już teraz zakładam prywatne muzeum, żeby na starość mieć jakieś wspomnienia.

Na półce trzymam czarną puszkę po litrowej flaszce absolutu, a w niej przynajmniej dziesięć kilogramów bilonu, i gdy dopada mnie chandra, wysypuję to wszystko na stół i przypominam sobie wszystkie knajpy, sklepy, dworce, stacje benzynowe, wszystkie taksówki i autobusy, w których dostawałem resztę tymi drobniakami. Przypominam sobie rzeczy i miejsca: uliczne stragany w Sarandzie, bramki na słoweńskiej autostradzie A1, promy na Cisie, parkometry na

Szenthâromsâg ter w Baja, wielkie żółte beczki z piwem na ulicach Stanisławowa, papierosy, kieliszki, szklanki, szafy grające, automat z gadką dla turystów w kościele świętego Jakuba w Lewoczy... Zawsze gdy wracam, mam pełne kieszenie monet i nigdy nie pozbywam się ich do końca, ponieważ wierzę w czereśniacką magię, która sprowadzi mnie na powrót w te wszystkie miejsca chociażby po to, by coś jeszcze kupić za ten drobiazg. Ale co można kupić za sto lei z Michałem Walecznym? Nic. Można w tych solidnych i ciężkich krążkach wiercić dziurki i zawieszać to sobie na szyi w charakterze medali za odwagę. W każdym razie ten mój skarb poprawia mi humor w podłe dni. Mogę sobie wyobrażać te wszystkie dłonie, przez które przechodził, i wymyślać drogi, którymi wędrował z miasta do miasta, ze wsi do wsi. Widzę tych wszystkich mężczyzn pijących po gospodach, kobiety na targowiskach i dzieciarnię przy kioskach ze słodyczami. Kto wie, ile razy moje sto lei z dziurką przewędrowało Siedmiogród, Mołdawię i Wołoszczyznę, Muntenię, Oltenię, Dobrudżę i Deltę, zanim całkiem utraciło wartość. W tym ciężkim krążku niczym na hard dysku zapisana jest historia bogactwa, nędzy, pożądania, zysku, straty oraz hossy, bessy plus recesji, ale nie potrafię jej odczytać i mogę jedynie przechować. Biorę to wszystko w garść, przesypuję przez palce i czuję, jak wymyka mi się przestrzeń, czas, historia społeczna i gospodarcza razem z ludzkimi losami, czuję jak Karpaty, Wyżyna Czesko-Morawska, Wielka Nizina Węgierska, Nizina Rumuńska, Transylwania i kawałek

Bałkanów zamieniają się w cichy brzęk. Kiedyś na drodze numer 19, parę kilometrów za Satu Mare, zobaczyliśmy cygański tabor w czerwonym blasku zachodzącego słońca. To były trzy albo cztery wozy stojące na poboczu szosy, bieda z nędzą, chude konie i foliowe budy całe w strzępach, rozpięte nad ruchomym dobytkiem. W środku posłania, koce, materace, kobiety, dzieciarnia, garnki, pierdolnik człowieczego życia, ale w tym słońcu wyglądało to tak, jakby płonęło, jakby za chwilę miało zniknąć, unieść się do nieba niczym zwielokrotniona wersja proroka Eliasza, a mężczyźni poprawiający coś przy rozpaczliwych uprzężach byli smaglejsi niż ich własne długie cienie. — Muszę to mieć — powiedział Piotrek i zatrzymał auto prawie w miejscu. Chwycił aparat i pobiegł. Zaczął pertraktacje, ale cud tego światła miał się zaraz skończyć, więc machał do mnie, żebym przyszedł i zajął się finansową stroną przedsięwzięcia. Wyjmowałem z kieszeni garście koron, forintów i lei — tak bowiem przebiegała nasza podróż — i wyjaśniałem na migi, że jak najbardziej i bardzo chętnie, ile tylko sobie zażyczą, w granicach rozsądku. Chudy, żylasty szef w białej podkoszulce patrzył na bilon, gdzie samych forintów było przynajmniej za dwa dolary (do granicy węgierskiej trzy kroki), i w końcu skrzywił się, machnął pogardliwie ręką i powiedział: „Nu, ţigari”. Oddałem mu wszystko, co miałem: paczkę snagov, resztkę marlboro i resztkę carpati. Wziął, poszedł do swoich i zaczął dzielić. Chwilę potem zaszło słońce, a oni ruszyli w stronę Satu Mare. Trzy albo cztery postrzępione wozy zamieniały się w

ciemność i nicość, ponieważ wcale nie należały do tego świata. Ani siedemset lat temu, gdy na Półwyspie Peloponeskim europejska pamięć pierwszy raz odnotowała ich obecność, ani 4 maja 2000, gdy facet przypominający własny cień powiedział do mnie: „Nu, ţigari”, bo pieniądze wydawały mu się kłopotem przewyższającym ich wartość. Rok później stałem na światłach gdzieś za Sybinem — może to było w Cristian, może w Miercurea Sibiului. Był remont szosy i to ten, to przeciwny pas dostawał zielone. Dwóch szczeniaków czaiło się na tym wymuszonym postoju. Podbiegali do auta i dawali mały spektakl dobrego humoru i cwaniackiej prośby. Podałem im banknot i wtedy ten, który nie dostał, wyrwał forsę szczęściarzowi, a ten z kolei uderzył w bek i lament. Wyjąłem drugą piątkę i pocieszyłem beksę. Potem zobaczyłem ich we wstecznym lusterku, jak w najlepszej zgodzie cieszą się zdobyczą i rozegraną psychodramą. Przesypuję bilon i tasuję banknoty, i to jest tak, jakbym dotykał jakiejś hiperbrajlowskiej odmiany fotografii, ponieważ pod palcami czuję fragmenty zdarzeń, a w nozdrzach zapachy. Mała i ciężka stuforintówka już na zawsze będzie wizerunkiem i herbem zielonych wzgórz Zemplén. Właśnie tyle tamtego lata kosztował kieliszek körte palinki w wiejskich gospodach. W Gönc, w Telkibánya, w Vilmány. Przez wyświechtaną tysiąclejówkę z Eminescu zawsze będzie przeświecał Siedmiogród i małe ciemne sklepiki w Biertan, w Roandola, w Copşa Mare albo Floreşti, które były niczym chłodne jaskinie wydrążone w transylwańskim upale, i gdy kupowałem kolejne butelki

wina, dostawałem jako resztę całe zwitki i pliki tych ciężkich od potu i brudu gałganków. Bo czym w końcu jest pamięć, jeśli nie wieczną wymianą nominałów, nieustannym dzieleniem i wydawaniem, i liczeniem od początku w nadziei, że bilans się zgodzi, że to, co było, powróci bez manka, w całości, nienaruszone, a może i oprocentowane przez miłość i tęsknotę. Czym w końcu jest podróż, jeśli nie wydatkiem, potem liczeniem tego, co zostało, i przetrząsaniem kieszeni. Cyganie, pieniądze, stemple w paszporcie, bilety, kamień znad rzeki Mát, krowi róg wygładzony przez fale Dunaju w Delcie, blok na pokutu, czyli mandat ze Słowacji, racun parkinrina — kwit parkingowy z Piranu, nota de plata — rachunek z knajpy w Sulinie: dwa razy smażony sum, dwa razy ziemniaki i dwie sałatki, karafka wina, jedno piwo silva — razem osiemdziesiąt pięć tysięcy siedemset.

To było na tyłach strada Deltei. Wchodziło się wprost z ulicy do wnętrza z czterema stolikami, na piętrze mieli mały hotelik. Za barem stała wysoka szczupła dziewczyna z krótko obciętymi włosami. Miała delikatną, melancholijną twarz. Sama gotowała, sama wycierała szklanki i podawała do stołu. Przypominała jasny cień. Przychodzili faceci cuchnący rybą i dieslowską ropą. Trzeszczały pod nimi krzesła, pili swoje piwo, palili, pomrukiwali i szli z powrotem na nabrzeże, do rdzewiejących barek i holowników, do nasiąkniętego mulistą wodą żelastwa, do smutku rzeki, która otwiera swoje arterie na nicość. Dziewczyna sprzątała popielniczki i butelki i wracała za

kontuar, żeby przełożyć na drugą stronę kasetę ze składanką anglosaskich kawałków: Elton John, Gilbert O'Sullivan, The Carpenters, siedemdziesiąte i osiemdziesiąte lata. Za oknem stał wychudzony kary koń, wprzęgnięty do wózka na gumowych kółkach. Krył się w cieniu poczerniałego drewnianego domu, a tyczkowaty glina siódmy albo dwunasty raz tego dnia przemierzał zapiaszczony chodnik. Kawałek dalej przy drucianym płocie stał mężczyzna w pasiastej piżamie i patrzył przed siebie. Budynek wyglądał na opuszczony, ale napis głosił, że to szpital. Na podjeździe hotelu Sulina rosła wysoka trawa. Kończył się kontynent i zdarzenia też dobiegały kresu, ale ona wyglądała jak wcielenie spokojnego oczekiwania na coś, co mimo wszystko się wydarzy. Z ledwo dostrzegalnym uśmiechem przyniosła rachunek i zaraz powróciła do swojego świata.

Albo parkovaci preukaz z małego hotelu w Ružomberoku. Wylądowaliśmy tam późnym wieczorem po całym dniu jazdy. Miasto śmierdziało fabryką celulozy. Na tle nieba ciemniała czarna wycinanka gór. W środku było tandetnie i jednorazowo. Rzeczy, które normalnie robi się z czegoś solidniejszego, tutaj zrobione były z plastiku. Ściany, drzwi, meble udawały coś lepszego. W knajpie bawił się właściciel z rodziną. Dwóch grajków w białych koszulach i wiśniowych kamizelkach obsługiwało parapet yamahy i mikrofon. Ten, który śpiewał, miał gruby kajet z tekstami. Drugi szył z czapki. Tańczyło siedem, osiem osób. Dwie paroletnie dziewczynki wyglądały na gwiazdy programu. To były

wnuczki szefa. Pięćdziesięcioletni facet miał nieruchomą twarz, złoty zegarek, złoty łańcuch i próbował nie utracić w tańcu godności. Wszyscy poruszali się oszczędnie i sztywno, jakby nie chcieli niczego dotknąć, niczego potrącić, chociaż miejsca było dość. Wyglądało to na jakiś przymus, na grę, której ledwo się nauczyli, albo na ćwiczenie nowych ról. Smutne słabe żarówki oświetlały wnętrze równie niepewne siebie jak goście. Kobiety miały spiętrzone fryzury i nie panowały nad wysokimi obcasami. Szef zdjął marynarkę i został w szarej kamizelce i białej koszuli. Przesuwał swoje masywne ciało tak ostrożnie, jakby pierwszy raz w życiu usłyszał muzykę. Potem weszły trzy czy cztery osoby. Prowadził je ogromny facet w czarnym garniturze, ogolony na łyso i w ciemnych okularach. Prawdopodobnie wyglądał dokładnie tak, jak sobie zaplanował. Ktoś z tyłu trzymał bukiet kwiatów. Stali i czekali na powitanie, ale ono nie następowało, więc powoli wchodzili w głąb tej martwej zabawy, i tylko ten ogromny, z karkiem szerszym niż wygolona czaszka, stał wyzywająco w wejściu i patrzył na wnętrze, jakby stanowiło jego własność. Musieli oglądać wszystkie trzy części *Ojca chrzestnego.* Zwłaszcza sekwencje z przyjęciami, i teraz próbowali to odgrywać wśród pozłacanego plastiku żyrandoli, sztucznych kwiatów i obić z buraczkowej dermy, w rytm niezniszczalnego hitu *Comme si, comme sa,* ale wszystko wskazywało na to, że przyszłość będzie należała do nich.

Trzymam te wszystkie zdarzenia w tekturowym pudełku po butach. Czasami wyciągam jedno albo drugie, tak jak

papuga wyciąga los na loterii: Valabil-2 Calatorii — wąski pasek papieru w kolorach zielonym, czerwonym i pomarańczowym — bilet tramwajowy dwukrotnego kasowania z Sybina do Răşinari. Tramwaj kursuje z miasta do wsi i z powrotem. Na moich najdokładniejszych mapach nie widać, że jest tam jakaś linia tramwajowa, ale jechałem nią przynajmniej dwa razy, a wzdłuż niej ze cztery. Od tego świstka można by zacząć parę niezłych opowieści: o sybińskiej bezsenności Emila Ciorana, o paltiniskim szaleństwie Constantina Noiki, który chciał założyć hodowlę rumuńskich geniuszy, albo o Lucjanie Blaga, który w letnie miesiące w Gura Ríului próbował ułożyć ontologię miorytyczną. Wszyscy trzej musieli jeździć tym tramwajem pamiętającym austro-węgierskie czasy. Tak właśnie działa pudełko po butach i mój umysł jak papuga wyciągający losy na loterii. Tak działa blaszana puszka po wódce absolut, laterna magica zbiegów okoliczności, przypadków i przygód składających się w opowieść, która toczy się we wszystkie strony i nie może potoczyć się inaczej, ponieważ dotyczy pamięci i przestrzeni, a one przecież zaczynają się w dowolnym momencie i nigdy nie kończą. Wystarczy pojechać do Koniecznej, by się o tym przekonać. Wystarczy wyjechać i wrócić po tygodniu albo dwóch, by dostrzec, że czas jest nieco martwy, że oczekiwał na nasz powrót, wcale nie zabraliśmy go ze sobą, i wszystko, co działo się w podróży, działo się równocześnie, bez następstwa, bez kolejności, i wcale się nie zestarzeliśmy. To takie złudzenie nieśmiertelności, gdy unoszą się biało-czerwone szlabany,

cwana odmiana tai--chi, czyli medytacji w ruchu, i w końcu, bądźmy szczerzy, najzwyklejsza ucieczka.

Dobrze jest przecież w środku zimy powiedzieć: a pieprzę to wszystko i jadę do Abony, do tej dziury w środku Niziny Węgierskiej koło Szolnok, z jednego zadupia w drugie. Tylko dlatego, że sześć lat temu zobaczyłem zdjęcie, które André Kertész zrobił tam 19 czerwca 1921 roku i które wciąż nie daje mi spokoju: niewidomy skrzypek idzie w poprzek piaszczystej wiejskiej drogi i gra. Prowadzi go kilkunastoletni chłopiec. Dawno nie padało, droga jest sucha i chłopiec ma czyste stopy. Ślad wozu na wąskich żelaznych kołach jest ledwo odciśnięty. Skręca w lewo i ginie poza kadrem, utraciwszy wcześniej ostrość. W rozmytej głębi zdjęcia widać dwie siedzące na skraju drogi postacie. Dwie białe plamy obok nich to prawdopodobnie gęsi. Jest jeszcze paroletnie dziecko, stojące gdzieś w połowie drogi między ostrością i umykającym konturem. Patrzy w bok, jakby nie słyszało muzyki, albo obecność dwóch wędrowców była czymś codziennym. I w związku z tym wszystkim pojechałem w środku zimy do Abony. Nic tam nie znalazłem. Zatankowałem przy wylocie na Budapeszt, a potem w cztery minuty przejechałem miasteczko. Kobieta rozwieszała pranie i domy zaraz się skończyły. Niczego zresztą nie szukałem, bo przecież nic nie mogło przetrwać, wszystko zostało na fotografii. Skręciłem w stronę Cisy. Nad Pusztą zaczynał się czerwony zmierzch. Pojedyncze rozrzucone domy, topolowe zagajniki, dwoje dzieci idących przez nagą ziemię w stronę horyzontu,

czarne i puste bocianie gniazda, wszystko pod bezkresnym płonącym niebem. Ciemność zapadła gdzieś za Tiszaalpár. Następnego dnia w muzeum fotografii w Kecskemét kupiłem album André Kertésza, żeby dowiedzieć się, że niewidomy grajek wcale nie jest leworęczny, a zdjęcie, które mam w domu, jest odwrócone. Musiałem pojechać w styczniu do Abony, minąć je bez zatrzymywania, by następnego dnia kilkadziesiąt kilometrów dalej dowiedzieć się, że chłopiec prowadzący muzyka jest jego synem. Ta wiedza nie jest mi do niczego potrzebna. Mogę tylko wyobrażać sobie ich życie, rozciągać tamten dzień poza krawędzie kadru, wypełniać dawną przestrzeń ich kruchą obecnością. Ojciec ma zniszczone, rozdeptane buty. Ubrany jest w ciemną marynarkę, ale przez prawe ramię ma przerzucone jeszcze jedno dodatkowe okrycie, przypominające postrzępioną derkę. Syn również niesie coś w rodzaju koca albo chusty. Są przygotowani na niepogodę i chłód. Chłopiec trzyma w dłoni małe zawiniątko. Pod rondem kapelusza grajka bieleje zatknięty papieros. Tak mi się przynajmniej wydaje, ponieważ muszę zebrać jak najwięcej faktów, żeby wypełnić tamten dzień. 19 czerwca słońce wstaje o 3:14 i godzinę, dwie później nad Pusztą zastyga upał. Nie ma tutaj cienia. Z miejsca na miejsce jest daleko. Samotne domy kryją się za widnokręgiem. Wiodące do nich drogi są proste i przypominają blizny. Do Újszász jest czternaście kilometrów, do Újszilvás czternaście, dziesięć do Törtel i Kőröstetétlen i siedemnaście do Tószeg. Stojące powietrze pachnie bydlęcym nawozem. Kiedy rusza

wiatr od wschodu, przynosi bagienną woń Cisy. Nad mokradłami słychać głosy ptaków. Wprawne ucho odróżnia nawet suchy świst skrzydeł. Czasami mija ich ociężały zaprzęg siwych wielkorogich wołów albo brzękliwa bryczka. Wtedy czują w powietrzu zapach tytoniu, niewyprawionej skóry i końskiego potu. Pojazdy cichną, jakby znikały za horyzontem. Zostaje po nich kurz. To są moje Węgry i nic na to nie poradzę. Wiem, że to było dawno i że tak naprawdę mogło się wcale nie zdarzyć. Wiem, że osiemdziesiąt pięć kilometrów dalej i osiemdziesiąt dwa lata później jest Budapeszt, potem Esztergom i reszta, i sława, i chwała, i wszystko, co się zbiera przez wieki we wszystkich umysłach, które pragną trwać dłużej, niż jest im dane. Ale moje Węgry są w Abony, gdzie nawet się nie zatrzymałem. Pewnie dlatego, że ślepy muzyk mógłby się zjawić w tych wszystkich miejscach, gdzie nie uświadczysz psa z kulawą nogą, w tych wszystkich miejscach, które nikomu nic nie mówią, a z których składa się świat jako taki. Jego życie i życie jego syna uchronił przed niepamięcią jedynie cud. „Zdjęcie zrobiłem w niedzielę. Obudziła mnie muzyka. Ten ślepy grajek grał tak pięknie, że do dziś go słyszę" (André Kertész).

Tak, to są moje Węgry. Mogę je zabrać ze sobą, przenieść w dowolne miejsce i nic nie utracą ze swojej wyrazistości. Są jak negatyw albo jak slajd, który prześwietlam światłem pamięci. W Tornyosnémeti podeszło do mnie dwóch mężczyzn. Po prostu wynurzyli się z ciemności i zaczęli grać. Jeden miał harmonijkę ustną, drugi gitarę z

półmartwym dźwiękiem. Był mróz i mgła. Cielska ciężarówek czekających na odprawę wyglądały jak czarny mur. Gitarzyście grabiały palce i widziałem, że gra sprawia mu ból. Muzyka była stwardniała od tego mrozu i ledwo się wydobywała z instrumentów. Nie dało się rozpoznać melodii, tylko nerwowy pospieszny rytm. W pewnym momencie pękła struna, ale oni grali dalej ze smutkiem w oczach i uporem właściwym dla spraw beznadziejnych. Potem próbowaliśmy rozmawiać w pogranicznej mieszaninie węgierskiego i słowackiego. Naprawdę nie chodziło im o pieniądze, ale o ich wymianę. Mieli garść polskich groszaków po dziesięć, po dwadzieścia i pięćdziesiąt, zebranych pewnie u naszych ti-rowców. Sprzedali mi ten bilon za forinty. Pożegnali się i przepadli w mroku. Mogli być z Gönc. Tak sobie to wyobrażałem, ponieważ ilekroć mam okazję, wyobrażam sobie Gönc. Młodszy z nich, ten od harmonijki, mógł być jednym z tych dwu chłopaków, których trzy lata temu nie chciał obsłużyć barman w knajpie obok Domu Husyckiego. W tej opowieści wszystko się może zdarzyć. Gdybym potrafił, zapytałbym, jak się miewa ten chudy facet w samodziałowej jesionce, założonej na gołe ciało, z którym tamtego lata siłowałem się na rękę i piłem zdrowie Franciszka Józefa. Jeśli byli z Gönc, na pewno go znali. I tego ciemnego jak czekolada, okrągłego jak kulka i nagiego do pasa, który codziennie przejeżdżał główną ulicą w maleńkiej konnej dwukółce. Wciąż jeszcze słyszę miękki stukot podków w grząskim od upału asfalcie.

Teraz jest zima i potrzebuję takich dźwięków. Z okna widzę dwukonny zaprzęg i czterech okutanych facetów na wozie. Konie, mimo że kute na ostro, niepewnie stąpają po lodzie. Wynurzyli się z mgły i po chwili znów ich nie było. Ach, gdyby było lato, zamiast wracać do swojej Pętnej albo Małastowa, mogliby ruszyć w stronę Koniecznej i tam jakimś cudem zmylić straże i przepisy, i przemknąć na słowacką stronę. I byle do Zborova, a tam przepadliby wśród miejscowych, nie różniąc się od nich stylem, strojem, fizjonomią i ogólnym wyglądem. To powinno być w maju, gdy jest już trawa dla koni i tylko czasem nad ranem chwyta przymrozek. Sam bym się z nimi wybrał, żeby patrzeć na wolno przesuwający się świat i na ich twarze, w których odbija się odmienność podobna do tego, co dobrze znane. Przysiadłbym sobie z boku jak duch i słuchał ich słów. Prawdopodobnie mówiliby o tym, że wszystko się zmienia, ale nie aż tak, żeby od razu wytyczać granice. Słowackie nazwy niepostrzeżenie zmieniłyby się w węgierskie, potem w rumuńskie, w serbskie, macedońskie, i w końcu zapewne w albańskie — jeśli przyjąć, że droga wiodłaby mniej więcej opłotkami dwudziestego pierwszego stopnia długości geograficznej wschodniej. Tak, siedziałbym z boku jak duch i w duchu popijał z nimi zmieniające się razem z pejzażem alkohole: borowiczkę, körte palinkę, cujkę, rakiję i na koniec, gdzieś nad Jeziorem Ochrydzkim, albańską raki. Nikt by nas nie zatrzymał i pies z kulawą nogą nie spojrzałby krzywo, jeśli tylko trzymalibyśmy się z dala od głównych szos. W tamtych stronach pełno jest

zapomnianych dróg. Skręca się trochę w bok i czas zwalnia, jakby się wymknął spod czyjegoś czujnego spojrzenia. Zużywa się powoli, jak ubrania facetów podróżujących na wozach. To, co wygląda jak do wyrzucenia, trwa, tleje i szarzeje aż do spokojnego końca, do chwili, gdy istnienie niepostrzeżenie zamienia się w nicość. Tak sobie to wyobrażam, gdy oni już zniknęli we mgle. Widzę, jak przemierzają stępa Nizinę Węgierską, Siedmiogród i Banat, jakby tam się urodzili i wracali właśnie do domu z targu, z odwiedzin, z pracy w polu albo w lesie. Czas rozstępuje się przed nimi jak powietrze i na powrót zamyka, gdy tylko przejadą. To zwierzęta sprawiają, że czas odzyskuje swoją starą postać. One są żywe, lecz nie niszczą jego delikatnej materii.

Ilekroć wracam latem z Rumunii, całe podwozie auta pokryte jest zaschniętym krowim gównem. Któregoś wieczoru zjeżdżałem serpentynami od strony Păltiniş i gdy znalazłem się wśród pierwszych zabudowań Răşinari, usłyszałem pod kołami serię ostrych, głośnych plaśnięć. Cała szosa pokryta była rozbryzgami zielonkawej sraczki. Parę chwil wcześniej stada schodziły z pastwisk. Widziałem jeszcze ostatnie bydlęta odnajdujące swoje obejścia. Stały pod bramami ze wzniesionymi ogonami i srały. Gdyby nacisnąć hamulec, skończyłoby się jak w zimie na gołoledzi. Krowy i bawoły zmieniły przelotówkę w ślizgawkę. Zafajdały trasę, którą towarzystwo z Sybina zwykło zasuwać na wywczas do swoich górskich daczowisk. Od pobocza do pobocza wszystko zapaćkane. Szczyny schły w

ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Najgorzej mieli motocykliści. Zwierzęce wchodziło w sam środek ludzkiego, i to było sprawiedliwe. Teraz ilekroć jadę o zmierzchu przez wsie Transylwanii, Puszty albo swojego Pogórza, nasłuchuję tego ostrego, klaszczącego dźwięku i jeśli go usłyszę, myślę, że nie jest najgorzej, że jeszcze nas nie dopadła ostateczna samotność.

Innym razem przed Oradeą zjechałem z szosy numer 76 i zaplątałem się w sieć wiejskich dróg. Może to było Tăşad, może Drăgeşti, nie pamiętam. W każdym razie w oddali na wschodzie widać było łagodne stożki gór, które po węgiersku nazywają się Király-erdő, po rumuńsku Pădurea Craiului, więc po naszemu chyba Królewski Las. Było późne popołudnie i ukośne światło złociło okolicę i wydłużało cienie. Za godzinę miałem zostawić Siedmiogród i wjechać na Nizinę Węgierską, więc chciałem sobie po prostu jeszcze trochę popatrzeć. I wtedy znalazłem się w tej wsi. Domy stały obok siebie i układały się w coś w rodzaju obszernego pierścienia. W środku był spory plac, ale cały porośnięty młodymi brzózkami. No więc była to wieś, lecz jechało się jak przez zagajnik, przez brzozowy młodnik. Śródwiejski majdan przypominał młody park i w tej przedwieczornej godzinie dziesiątki smukłych drzew wydzielały z siebie gęsty miodowy blask. Takie rzeczy widuje się tylko w snach. Tu i tam przeświecała biel ścian, ale nie było widać ludzi. Tylko ociężałe różowe świnie truchtały w tej scenerii. Było ich chyba z dziesięć. Węszyły z ryjami przy ziemi, szukały żeru albo śladów, jakby zamiast ludzi sprawowały tutaj

rządy, jakby tropiły wrogów. W złotym powietrzu ich stukilowe cielska przywodziły na myśl jakieś wyrafinowane bluźnierstwo. Były czyste, jakby nie mieszkały w chlewie. Spod matowej szczeciniastej skóry parowało spęczniałe od krwi mięso. Tak, to było coś: nadprzyrodzony blask i ciemna, gorąca materia. Wciąż o tym myślę i któregoś dnia tam wrócę, żeby sprawdzić, jak nazywała się ta wieś. Bez nazwy zanadto przypomina przywidzenie, a ja potrzebuję prawdziwych zdarzeń, w które mogę wierzyć, tak jak kiedyś wierzyło się w objawienia. Ostatniego lata jechałem autobusem do Sarandy. To był stary rzęch, zabytkowy mercedes i ledwo się wdrapał na przełęcz Muzinës. W dole, na dnie urwiska, widziałem rude podbrzusza wraków. Furgonetki i osobowe miały tam leżeć do sądnego dnia. W autobusie siedziało kilka osób. Po drugiej stronie gór Gjëre, gdzieś koło Delvine, wjechaliśmy w oberwanie chmury i razem z ulewą wtoczyliśmy się do Sarandy. Dwóch mężczyzn — wyglądali na ojca i syna — wyładowywało w strugach deszczu rzeczy z bagażnika autobusu: toboły, tobołki, worki i węzełki, pakunki i zawiniątka, kto wie, czy nie dorobek całego życia, i wszystko razem przypominało smutną, przemoczoną przeprowadzkę. Na końcu wyjęli z czeluści autobusu małego pieska, szczeciniastego kundelka. Zwierzę natychmiast dołączyło do stosu, wcisnęło się między bagaże, jakby tam właśnie był jego dom. Potem autobus ruszył i zasłonił ich deszcz.

Przypominam sobie te wszystkie zwierzęta i widzę je tak wyraźnie jak ludzi. Puszczone samopas konie w

Czarnohorze, wielkorogie pusztańskie bydło, krowy zanurzone po brzuchy w mulistym nurcie Delty, bukareszteńskie psy, wszystko luzem, w swobodnym ruchu i w poszukiwaniu pożywienia przemierzające świat bez wyraźnych granic człowieczego i bydlęcego. W Sfîntu Gheorghe wyszedłem o świcie do drewnianego sraczyka na podwórku. Budka była tak niska, że spodnie trzeba było opuścić na zewnątrz, bo środku człowiek musiał zgiąć się wpół. Żeby po wszystkim doprowadzić się do porządku, trzeba było wyjść. Właśnie wtedy zaatakował mnie czerwony kogut, celując dziobem w to, co akurat chowałem. Kury przestały na chwilę grzebać i patrzyły na niego z podziwem, a ja biegłem przez opłotki w stronę zbawiennych drzwi domu. Już mnie nie gonił, a jednak wciąż czułem strach, ponieważ na chwilę pękła powłoka świata, którą bierzemy na co dzień za raz na zawsze ukształtowaną rzeczywistość. Gdzieś za Përmet, może w Kosinë, z bocznej ścieżki wyjechała kobieta na ośle. Była tak stara, tak spalona słońcem, pomarszczona i przedwieczna, że gdyby nie strój, gdyby nie materia wykonana ludzką ręką, można by ją wziąć za część zwierzęcia. Zanurzeni w kurzu i upale, pokonywali tę samą drogę setny albo tysięczny raz. Ich cienie na białej kamienistej ścieżce stapiały się w jeden cień, tak samo jak łączył ich jeden los.

Ci moi czterej na wozie przejeżdżają już kolejny dzień. Zawsze o tej samej porze, żeby zdążyć, zanim zapadnie zmierzch, tak samo zmęczeni po całym dniu w lesie, w rozmiękłym śniegu i błocie, i koniom też brakuje sił, gdy

człapią noga za nogą, ze zwieszonymi łbami, i jest w ich ruchach taka sama ociężałość, jak w sylwetkach siedzących facetów, w ich opuszczonych ramionach i głowach, które kiwają się jak tuż przed snem. Gdy zaczyna pochłaniać ich mgła, zwierzęce i ludzkie staje się nie do odróżnienia. Patrzę w ślad za nimi i wyobrażam sobie zapach, który pozostawiają w zimnym powietrzu: stygnący koński pot, mokre bure ubrania, lgnące do pleców wilgotne koszule, spracowana skóra uprzęży i woń monotonnego wysiłku, na wieki uwięziona w materii. Tak pachniało dwóch pastuchów w niemieckiej knajpie w Spring, tak pachną opłotki Nagykállö i tak pachnie pociąg Czerwona Ruta o świcie wyruszający z Delatynia do Kwasów, i tak pachną stare domy w Sulinie. Mieszkałem w jednym z nich na południe od rzeki. Wszedłem w środku dnia i przez uchylone drzwi zobaczyłem wnętrze ciemnego pokoju. Na wielkim tapczanie leżeli ludzie. Troje, czworo, może więcej osób. W plątaninie półnagich ciał mogłem dostrzec wątłe ramiona dzieci, stopy wystające spod lekkiego przykrycia, ale większość tonęła w półmroku. Możliwe, że byli tam też dorośli, kobiety, mężczyźni, cała rodzina. Czułem zapach cienia i ciężkiego snu. Schronili się przed bezlitosnym białym niebem, ale upał przyszedł za nimi, jakby sami go wydzielali. Ktoś chyba coś powiedział na powitanie, lecz nikt się nie poruszył. Wśród jasnych prześcieradeł ich skóra wyglądała na niemal czarną. Wszedłem do cudzego domu i oglądałem obcych ludzi w chwili największej bezbronności. Opuszczało ich życie, zapadali w letarg i wcale tego nie

kryli, tak jak oswojone zwierzęta nie ukrywają przed nami swego snu. Poszedłem do swojego pokoju i nigdy więcej ich nie zobaczyłem. Zapamiętałem tylko ciemne ciała nasiąknięte materialnością i tak ciężkie, jakby nigdy nie miały wstać.

No tak, nie da się ukryć, że interesuje mnie zanik, rozpad i wszystko, co nie jest takie, jakie być mogło albo być powinno. Wszystko, co zatrzymało się w pół kroku i nie ma siły, ochoty ani pomysłu, wszystko, co się zaniechało, spuściło z tonu i dało za wygraną, wszystko, co nie przetrwa, nie pozostawi po sobie śladów, wszystko, co się spełniło samo dla siebie i nie wzbudzi żadnego żalu, żałoby ani wspomnień. Czas teraźniejszy dokonany. Historie, które trwają tak długo, jak są opowiadane, i rzeczy, które istnieją tylko wtedy, gdy ktoś na nie patrzy. Tak, to mnie prześladuje, ta cała reszta, to istnienie, bez którego wszyscy mogą się obejść, ta zbędność, nadmiar, który nie jest bogactwem, to ukryte, którego nikt nie pragnie poznać, i tajemnice, które sczezną w zapomnieniu, i pamięć, która pożre siebie samą. Kończy się marzec i słyszę, jak w ciemności z gór spływają śniegi. To jest tak, jakby świat zmieniał skórę niczym wąż. Każdego roku mam to samo uczucie i z roku na rok jest ono coraz głębsze: to jest prawdziwa twarz moich stron, mojej części kontynentu, właśnie ta zmienność, która niczego nie zmienia, ten ruch, który sam siebie wyczerpuje. Któregoś przedwiośnia spłyną nie tylko śniegi, ale i cała reszta. Bura woda zabierze miasta i wsie, i zwierzęta, i ludzi, i wszystko wypłucze, aż

po nagi szkielet ziemi. Meteorologia z geologią do spółki zrobią porządek z wątpliwą koalicją historii i geografii. Odwieczne weźmie za pysk przemijalne. Pierwiastki powrócą na swoje miejsca w wiekuistej tablicy Mendelejewa i nie trzeba będzie żadnych fabuł, żadnych narracji, żadnych historii, żeby wytłumaczyć istnienie.

Gdzieś na brzegu zatoki Lalëzit, gdzieś w okolicach Jubë, widziałem wojskowy obóz. Za rzadkimi zasiekami z kolczastego drutu stały namioty. Spłowiałe płótno było postrzępione i obwisłe. Spod płacht wystawały bose stopy żołnierzy śpiących na polowych łóżkach. Była niedziela. O parę kroków dalej wylegiwali się plażowicze z Tirany. Kolczasty płot właściwie niczego nie rozdzielał. I jedni, i drudzy nic nie mieli. Mogli wstać i odejść, wszystko zabierając ze sobą. Gdyby zwinąć namioty i plażowe parasole, wybrzeże wyglądałoby jak przedtem. Zostałyby tylko nikomu niepotrzebne bunkry z poprzedniej epoki, teraz powoli zmieniające się we fragment naturalnego pejzażu.

Tutaj też wszystko istnieje tylko dla siebie. Ludzie chłoną czas jak gąbki. Przesiąkają nim, gromadzą, jakby zbierali na zapas ze strachu, że się skończy. Czasami wsiadam do auta i przez parę godzin jeżdżę po okolicy. Trzydzieści, czterdzieści kilometrów od domu. Zapuszczam się w plątaninę szos, polnych dróg, skrótów na przełaj przez łąki albo zagajniki, ponieważ znalazłem na mapie przysiółek Dolna Galia albo Betlejem, albo trzy chałupy na krzyż opatrzone nazwą Ukraina albo Sybir. Nie zmyślam. Można

sprawdzić: *Beskid Niski i Pogórze,* Państwowe Przedsiębiorstwo Wydawnictw Kartograficznych im. Eugeniusza Romera, Warszawa—Wrocław, wydanie piąte, wszystko w lewym górnym rogu. Ale po drodze zapominam, dokąd się wybrałem. Wystarczy, że skręcę z głównej drogi i już dopada mnie poczucie, że przestrzeń świata staje się gęsta, nieustępliwa, że tak naprawdę robi łaskę tym wszystkim domom, zagrodom, temu lichemu majątkowi za płotami, temu wszystkiemu, co ledwo wydobyło się z ziemi, ledwo wyrosło nad powierzchnię i teraz próbuje przetrwać. Ale wszystko wygląda i trwa z dnia na dzień, jakby pozbawione było nadziei i tylko fatalizm trzymał to w kupie. Beton, cegła, stal i drewno mieszają się w przypadkowych proporcjach, jakby wzrost i upadek nie mogły się raz na zawsze dogadać. Dawne wygląda na zniszczone, opuszczone, zrezygnowane i bezsilne, a nowe jest aroganckie i wyzywające, ponieważ ostentacją próbuje zabić wstyd przeszłości i strach przed tym, co nadejdzie. Nic, tylko tymczasowość, prowizorka, czas teraźniejszy nieustannie się dokonujący, wszystko mogłoby zniknąć w jednej chwili i przestrzeń by to zniosła, zrosła się natychmiast i wygładziła jak gdyby nigdy nic. Bo to wygląda jak wstęp do czegoś, co nigdy się nie zacznie, jak peryferie bez centrum, jak przedmieścia po horyzont bez kulminacji miasta. Tak, pejzaż to połknie, przestrzeń się sfastryguje, ponieważ istnienie tych miejsc, tych zadupi, przez które jadę i które kocham beznadziejną miłością, wyczerpuje się w akcie samego istnienia, ponieważ ich sens wyczerpuje się

w próbie przetrwania. Pod tym względem tak bardzo przypominają naturę, że w mgliste dni przedwiośnia stają się prawie nie do odróżnienia od reszty. Jeszcze chwila i niskie niebo domknie się, zatrzaśnie i wszystko zniknie. Dlatego tak się spieszę z tymi jazdami, z tą pazernością na konkret, który zaraz zmienia się w nicość i trzeba go zrobić od nowa ze słów.

Nie wiem, dlaczego to wszystko istnieje, i dawno straciłem nadzieję, że znajdę odpowiedź, więc na wszelki wypadek zapisuję wszystko jak leci, żeby równością zastąpić sprawiedliwość i sens.

Parę dni temu jechałem przez Duląbkę. Cień Cieklińskiej Góry wypełniał dolinę. W górę gliniastego zbocza wspinał się koń zaprzężony do pługa prowadzonego przez pochylonego mężczyznę. Za nimi podążała zgięta wpół kobieta i odrzucała na bok wyorane kamienie. To była wielka scena i miała w sobie biblijny patos. Wiał wiatr i czasem spomiędzy chmur przebijały się ukośne przedwieczorne promienie. Wtedy trzy sylwetki na wzgórzu stawały się tak wyraziste, jakby nie były z tego świata. No tak, Duląbka parę dni temu, parę dni temu Turza, za tydzień znowu inna pipidówa w Mołdawii albo jakiejś innej Macedonii. A jakbyś napisał: „jechałem przez Złotą Pragę" albo „kiedyś w Budapeszcie", „pewnego razu w Krakowie", albo chociaż „w Sosnowcu"? Ni chu-chu, nie da się, nic tam nie ma, nie ma klucza do opisu, nie ma środków wyrazu, nie ma metafor i nie ma języka, który mógłby coś zdziałać za rogatkami tego czy tamtego miasta. Jak to w ogóle brzmi:

„któregoś dnia w Warszawie"? Miasta tej części kontynentu to są wypadki przy pracy, dzieła przypadku i dobrych chęci. Na zdrowy rozum powinno ich tu nie być. Spróbujcie w godzinach szczytu przejechać na przykład Budapeszt. W dodatku nie ma go jak ominąć. Siedzi jak pająk w środku pajęczyny dróg. Spróbujcie przedostać się przez Warszawę albo Bukareszt. Miasto w podróży to klęska. Zwłaszcza w krajach, które przypominają ogromne wsie. Wieśniacy nie potrafią budować miast. Wychodzą im totemy jakichś obcych bóstw. Środek jeszcze jako tako zmałpowany, ale przedmieścia zawsze wyglądają jak poroniony przysiółek. Hipertrofia powierzchni magazynowej i smutek straconych złudzeń. Ilekroć jadę sobie spokojnie i raptem w środku zadupia wyrasta mi aglomeracja, czuję osłupienie, ponieważ nic tej fatamorgany nie zapowiada ani nie uzasadnia. I gdy tylko mogę, omijam te fantasmagorie, szukając objazdów, ledwo widocznych nitek na mapie, nadkładam drogi, żeby tylko uciec z długiego cienia śródmiejskich wieżowców i peryferyjnych blokowisk. Wszystko, co ma więcej niż sto tysięcy, od razu jest skreślone, bawcie się sami i budujcie z nadzieją, że kiedyś zasłoni wam to widok na miejsca, skąd przyszliście.

Tak sobie powtarzam, uwikłany w sieć iluzorycznych obwodnic, estakad i przelotówek, ślepy od wypatrywania drogowskazów i numerów dróg, z mapą rozłożoną na kierownicy, z klaksonami na karku, zezowaty od zerkania w lusterka, w cuchnącym cieniu ciężarówek, rano w Duląbce, wieczorem w Bratysławie i dalej w splocie wiedeńskich

arterii, żeby przebić się na drugą stronę wielkiego cielska cesarskiej stolicy, i dalej na południe, by w środku nocy dotrzeć do uśpionych wsi nad rzeką Zala, do Bajánsenye pod samą słoweńską granicą, gdzie pięćdziesięcioletni pan Geza ma pensjonat w starym wodnym młynie i o drugiej w nocy przy czerwonym winie i jajecznicy na słoninie powtarza: „Budapeszt nie jest już taki sam. Ludzie przestali ze sobą rozmawiać". Jeżeli jest akurat bezśnieżny styczeń, to wierzbowe zagajniki i trzcinowe zarośla w porannym słońcu mają barwę starego zblakłego papieru do pakowania. Okolica jest chyba podmokła. Tak mi się teraz wydaje. Ale to być może dlatego, że niebo wisi tam wyjątkowo — nawet jak na Węgry — nisko, i może to jego ciężar sprawia, że wilgoć wychodzi z ziemi.

Dwadzieścia parę kilometrów stąd mieszkał podczas drugiej wojny Danilo Kiš. Jego ojciec przemierzał te strony w swoich szalonych wędrówkach i pił w karczmach „podrabiany tokaj z Lendavy", która teraz jest granicznym miastem po słoweńskiej stronie. I tędy jeździł na rowerze stryj Otton. Lewą nogę miał sztywną, więc zwisała nieruchomo, a drugą przypinał paskiem do pedału i podróżował w kurzu gliniastych dróg do Zalaegerszeg, żeby doglądać swoich skomplikowanych interesów. I jeśli ojciec był z Schulza, to stryj z Becketta — tak to widzę, gdy czytam *Ogród, popiół* w czarno-zielonej okładce, na której dziwnym zrządzeniem losu albo przypadku jest fotografia ptaszka z brązowej gliny. Dwa lata temu w zimie w tamtych stronach, w Magyarszombatfa, kupiłem dwa gliniane anioły

w takim samym odcieniu. To jest okolica garncarzy, lecz wydawnictwo Marabut wcale nie musiało o tym wiedzieć. Tak więc jest to przypadek albo zrządzenie losu, czyli znak, żeby jeszcze raz tam się wybrać, odszukać Hrabiowski Las i resztę topograficznych tropów rozsianych w tekście, ponieważ opowieść powinna trwać na przekór czasowi i logice, które rozdzielają wyobrażenia od zdarzeń, powinna mieć dalszy ciąg, który nie musi wcale przypominać początku, i wystarczy, że będzie się żywić tą samą substancją, tym samym, tylko trochę postarzałym powietrzem. Powtarzam sobie, że nic nie szkodzi, jeśli niczego nie znajdę. Widzę na mapie błękitną żyłkę rzeki. Nazywa się Kerka. W nadbrzeżnych zaroślach kilkuletni chłopiec żyjący w pamięci albo wyobraźni dorosłego Danila Kiša pełznie na czworakach, przeżuwa liście dzikiego szczawiu i raptem dostrzega w niebie Jego postać. „Stał na krawędzi obłoku, niebezpiecznie pochylony, zachowując jakąś nieludzką, nadludzką równowagę, z rozżarzoną obręczą wokół głowy. Pojawił się niespodziewanie i równie szybko, niespodziewanie zniknął niczym spadająca gwiazda". I nawet jeśli nic już tam nie ma z tamtych czasów, to pozostała rzeka i nadbrzeżne zarośla, i obłoki na niebie. Teofania nie potrzebuje niczego więcej, tak samo jak wieczność, która nie odwiedza naszych miast, ponieważ oznaczałoby to zrównanie ich z ziemią. No tak, musiał się w końcu pojawić Danilo Kiš. „Podróżować znaczy żyć" — napisał w roku 1958, powtarzając słowa Andersena, ale w jego wykonaniu miały całkiem nowy sens. *Rozkład jazdy na*

liniach autobusowych, okrętowych, kolejowych i lotniczych w projektowanej przez jego ojca skończonej i doskonałej wersji miał opisać, ba!, miał odwzorować w postaci jednostek czasu i odległości cały świat. Wolne miejsca między godzinami odjazdów i dystansami wypełniała cała dotychczas zgromadzona wiedza na temat lądów i wód, kultury i cywilizacji, historii i geografii, zaczerpnięta ze wszystkich możliwych dziedzin, począwszy od alchemii, a skończywszy na zoologii. Gdyby ta księga powstała, wszystkie podróże stałyby się zbędne. Zastąpiłaby je lektura. Nie musiałbym się tłucz Duląbki do Bajánsenye i potem jeszcze dwadzieścia parę kilometrów w dół biegu rzeki Kerka. Siedziałbym w domu, wiedząc, że to, co zobaczę, będzie tylko kopią, nędznym odbiciem jakiegoś podrozdziału albo akapitu wszechświatowego rozkładu. Nie tknąłbym długopisu, ponieważ droga z Duląbki i wszystkie inne drogi istniałyby w pierwotnej i doskonałej wersji, nietknięte ludzką stopą ani kołami pojazdów. Autobus do Jasła pozostałby w wiekuistej zajezdni, autobus do Krakowa tak samo i międzynarodowy do Budapesztu o 22:40, i tak dalej, aż po najdalsze zakamarki planety, i gdzie by się człowiek nie wybrał, zastawałby tam ślad szalonego geniusza rozkładów. Niestety, dzieło nigdy nie zostało ukończone, a wstępne szkice, notatki i diagramy w postaci upstrzonego poprawkami maszynopisu przepadły w latach czterdziestych gdzieś nad rzeką Zala.

Zdaje się, że między innymi z tego powodu mój paszport wygląda tak, jak wygląda. Bez rozkładu, bez opisu, bez

planu, zdany na przypadek, próbuję coś ustalić na własną rękę i wciąż muszę zaczynać wszystko od nowa. Muszę przyjechać do, dajmy na to, Baia Mare, tak jakby nikogo wcześniej tam nie było. Albo w samo południe w środku lata do Dukli, gdy cień u stóp zbiega się w małą plamę i nad Rynkiem gęstnieje samotność, jakby za chwilę miał się odbyć Sąd Ostateczny. Albo przejechać przez Pusztaradvány i wspiąć się na wysokie pustkowia nad słowacką granicą w styczniu, żeby zobaczyć martwotę pogranicza i pasma wzgórz, które wyglądają tak, jakby nie dotknęło ich ludzkie spojrzenie, a czerwono-biały szlaban i strażnica w Buzicy przypominają nawiedzony posterunek, na którym odprawia się pokutujące dusze przemytników. To właśnie tamtędy chciałem któregoś dnia ominąć Budapeszt, jadąc północnymi stokami Gór Bukowych i Mâtra w nadziei, że w kilka godzin cudem znajdę się w Zakolu Dunaju, gdzieś w Esztergom, gdzie któregoś sierpnia w bocznym zaułku niedaleko skrzyżowania Pâzmâny utca i Batthyany znalazłem knajpę, która w środku wyglądała jak wiejska chałupa przygotowana na przyjęcie weselnych gości: parę prostych stołów przykrytych kraciastymi obrusami, trochę krzeseł i to wszystko. Zjawił się gruby facet w szelkach i przyniósł kartkę, na której długopisem wypisane było kilka potraw. Litery miały staroświecki, kaligraficzny sznyt. Było chłodno, cicho i pusto. Czułem się tak, jakbym za wcześnie zjawił się na przyjęciu. W końcu dostałem swój gombaleves. Mężczyzna w szelkach przyniósł go i postawił przede mną tak, jak stawia się jedzenie przed kimś, kto właśnie wrócił z

pracy, i mogłem jeść, trzymając łokcie na stole, mogłem nawet siorbać i nikogo by to nie obeszło, chociaż kawałek dalej ponad tysiąc lat temu święty Stefan przyjął chrzest i przy okazji za jednym zamachem ochrzcił całe Węgry. Był sierpień i Wzgórze Bazyliki stało w upale niczym fatamorgana. Już nie pamiętam, skąd wracałem, ale zaraz za zielonym dunajskim mostem zaczęła się Słowacja z tą swoją sennością, z tym spokojnym chłopskim oczekiwaniem na to, co ma nadejść, ale przecież niekoniecznie nadejdzie. Szare cementowe tynki i wsie kończące się jak nożem uciął, i brzuchaci faceci w białych podkoszulkach, pijący piwo na plastikowych krzesłach wystawionych przed hostincami, w kapciach, w butach wsuniętych na bose stopy, jakby nie wyszli nawet z domu, z podwórka, jakby dom rozciągał się na całą wieś, na całą okolicę i resztę świata, sięgającą dwa, trzy przystanki autobusowe dalej. Czasem obok stoją kobiety w podomkach, w szlafrokach, w rozdeptanych pantoflach. Nie przysiadają się, tylko przystają, żeby zamienić parę słów.

Tak, słowacka senność, gęstniejące popołudnie i tylko Cyganie są ruchliwi, wszędobylscy, i turlają się pośród spiekoty niczym ciemne paciorki rozsypanego różańca. Piąta, szósta po południu i na koszyckich i preszowskich obwodnicach jest pusto jak w niedzielny świt. W Medzilaborcach też żywej duszy, tylko w ciemnoszarym wnętrzu knajpy przy wylocie na Zborov, tam, gdzie jest jedyny w mieście bankomat, pojawiła się czyjaś dłoń z kieliszkiem. Ale to było już kiedy indziej. Jechałem wtedy do

Ubli, na sam wschód, nad ukraińską granicę, ponieważ niejaki Potok doświadczył tam wielu przygód, parokrotnie ledwo uszedł z życiem i tygodniami w kurzu pogranicznego targowiska pił najtańsze i najbardziej trujące alkohole tej części Europy, raz po raz gubiąc kradziony pistolet, w którym pozostał tylko jeden nabój, zachowany na najczarniejszą z czarnych godzin. Tak więc jechałem, żeby to wszystko odnaleźć, a zwłaszcza tę total rozjebkę internacjonalnego bazaru, gdzie Mołdawianie rozkładają wprost na ziemi wszystkie skarby Transnistrii i próbują je wymienić na bogactwa Zakarpacia, klejnoty Szabolcs-Szatmár oraz nieprzebrane dobra prowincji Maramuresz. Chciałem to wszystko zobaczyć i usłyszeć ten babiloński zgiełk języków słowiańskich, ugrofińskich i romańskich, tę wschodnią pstrokaciznę namiotów, knajp z brezentu i dykty i starych autobusów przerobionych na ruchome burdele, chciałem poczuć zapach cygańskich taborów wyładowanych wspaniałościami, którym nie oprze się żadna kobieta ani żaden mężczyzna, ponieważ przybyły z krain, gdzie nikt jeszcze nie dotarł, a tym bardziej nikt z nich nie powrócił. Po to jechałem do Ubli, na wschód od wulkanicznych gór Vihorlat, gór, w które nikt przy zdrowych zmysłach się nie zapuszcza, bo błąkają się tam pokutujące dusze oficerów sztabowych i liniowych wojsk Układu Warszawskiego, a blade upiory dezerterów handlują widmowymi resztkami uzbrojenia i umundurowania. Jechałem przez miasto Snina, gdzie wśród płaczących wierzb stały paropiętrowe garnizonowe bloki pod czerwoną dachówką i wszystko

wyglądało tak, jakby zbudowane było tego samego dnia i starzało się, niszczało i rozpadało w identycznym tempie. Na ławkach pod drzewami siedziały kobiety z dziećmi. Może to były żony żołnierzy, opuszczone żony oficerskich widm? W każdym razie Snina przypominała sen, śniący się sam sobie na skraju państwa, które utraciło wszystkich wrogów. No, ale ja jechałem do Ubli. Przez Stakčín, przez Kolonicę i Ladomirov, w cieniu bieszczadzkiego wododziału przez Ruś Zakarpacką jechałem do Ubli, bo parę lat temu niejakiemu Potokowi miał się w tamtych stronach objawić duch tych ziem i czasów, geniusz tej części kontynentu miał przemówić mieszaniną języków, jakby to były jakieś wczesnokapitalistyczne Zielone Świątki, gdzieś tam, może jeszcze trochę bardziej na południe, był ten plac, ten majdan, targowica, na którą ściągnęły wyklęte ludy ziemi zaraz potem, jak uniosły się biało-czerwone szlabany. Tak, cud wolności i swobodnej wymiany towarowej w kurzu, pyle i szczerym polu, jakby miało powstać z nicości miasto, jakiego świat nie widział. Bo przecież znów miało być tak jak kiedyś, czyli karawany, przemarsz i transport, i nadprzyrodzona rzeczywistość zróżnicowanych cen i kursów walut, która wywabia z domów całe rodziny i plemiona i każe im puszczać się w niepewną drogę, tak jak kiedyś wypędzała za najdalsze morza, za umykający horyzont dawnych awanturników i odkrywców. No więc jechałem do Ubli, dalej było Vysne Nemecke i Cierna nad Cisą, więc jechałem niczym w dorzecze Tygrysu i Eufratu, jak do jakiejś nowej Niniwy. Nie na darmo zamiast dwu rzek

spotykały się tutaj trzy granice, niczym trzy nurty niosące żyzny osad przemycanych bogactw, sprytu, żądzy, podrabianej wódki, niebanderolowanych fajek, syberyjskich skór, egzotycznych papug i żółwi, amunicji makarowa i węgierskiej pornografii. Trzy granice jak trzy rzeki zbierały z głębi swoich krain wszystko, co najlepsze. Wyobrażałem sobie, że gdzieś między Cierną, Czopem i Zâhony wyrośnie wprost z nagiej ziemi miasto jak halucynacja wyklętych ludów, z dwudziestoczterogodzinnym handlem, nieograniczonym obrotem i popytem, i gdzie konsumpcja w mistycznej unii zjednoczy się na wieczność z inwestycją. Takie miałem myśli przez całą drogę.

Ale w Ubli nic nie było. Tylko dwa szeregi schludnych domów ciągnęły się po obu stronach drogi. Słowacki gliniarz sprawdzał starego ukraińskiego merca z łysym kolesiem w środku. Poza tym nic się nie działo. Jedzie się, jedzie i raptem kraj się kończy, ale wygląda na to, że trochę bez powodu, trochę jakby sam się sobą znudził. Mundurowy machnął ręką i Ukrainiec potoczył się wolno w stronę przejścia. Dwie dziewczyny wyszły spomiędzy domów i chwilę potem gdzieś przepadły, jakby wchłonęła je międzypaństwowa pustka. W próżni pogranicza przychodzą do głowy najdziwniejsze rzeczy. Wyobrażamy sobie, że po tamtej stronie staniemy się kimś innym. Tymczasem dziś jest 26 maja, noc, i na południu, nad Republiką Słowacką, niebo raz po raz jaśnieje od bezgłośnych błyskawic. Wróciłem z Ubli i nic się nie zmieniło. Wszystko trzeba zaczynać od początku. Na tym to polega. Na wyobraźni,

która nie wyciąga żadnych wniosków. Pamięć, meteorologia oraz urojenia.

Jeśli jutro spadnie deszcz, będę próbował odtworzyć tamten dzień, gdy w małej mieścinie wchodziliśmy na prom, który miał nas przewieźć na drugą stronę jeziora. Fale szarego dżdżu przetaczały się po tafli wody. Przystań była wyludniona. Bure trzciny, samotny sprzedawca w sklepiku z pamiątkami i wypłowiałe reklamy lodów z jakiegoś zamierzchłego sezonu. Trudno było uwierzyć, że tu w ogóle bywa ciepło. Wyszmelcowane kombinezony maszynistów nasiąkały deszczem. Tysięczny raz zwalniali cumy, podnosili ruchomą burtę, zapuszczali dudniącego diesla i żadnej ucieczki, bo wszystkie dopływy mogły unieść najwyżej dziecinną łódeczkę z kory albo tratewkę z patyków. Żeby rozproszyć melancholię śródlądowej żeglugi, próbowałem sobie wyobrazić, że oto kończy się długi transoceaniczny rejs i dopływamy właśnie do brzegów lądu znanego jedynie z mglistych opowieści. Gdzieś tutaj miały przebiegać granice realnego świata. Dalej wszystko przypominało rzeczy znane skądinąd i jak najbardziej prawdziwe, jednak jedynie rdzenni mieszkańcy byli w stanie uwierzyć, że to wszystko istnieje naprawdę, że nie jest odbiciem, cieniem, fatamorganą albo parodią rzeczywistych ziem. Krople spadały na pokład, na twarzach załogi nuda szła o lepsze z obojętnością, a ja próbowałem sobie wyobrazić, że wchodzimy właśnie w przesmyk, w którym przestrzeń traci ciągłość, traci dotychczasowy sens, tak jak materia zmienia stan skupienia. Jednym słowem stałem oparty o reling,

paliłem papierosa i próbowałem udawać przybysza, który zapuścił się w problematyczne kraje bez przewodnika, bez uprzedzeń i bez aroganckiej wiedzy. Był koniec kwietnia, ale powietrze, pejzaż i w ogóle cały ten dzień wypełniała jesień. Wilgoć snuła się jak szary dym. Po drodze widzieliśmy zamknięte na głucho domy.

1 potem, już na drugim brzegu, wciąż z burym lustrem wód w zasięgu wzroku, jechaliśmy przez kraj, którego naturalnym stanem było senne, a może letargiczne oczekiwanie. Cała okolica wyglądała na nieczynną. To wszystko miało się zmienić za miesiąc, może już za tydzień, w sobotę, w niedzielę, gdy wyjdzie słońce, bo w końcu był to jednak kurort, wczasowisko, które teraz po prostu czekało w półśnie, na zwolnionym oddechu i w oszczędności energii, półżywe. Trwało, żeby przetrwać, i tylko przybysze nadawali mu sens polegający na krótkotrwałej frenezji, na nieumiarkowanym trwonieniu sił, na karnawałowym marnotrawstwie, i potem znów nadchodziła nieruchomość, i życie powracało do starych sprawdzonych form, które miały je doprowadzić do w miarę bezbolesnego końca. A potem porzuciliśmy jezioro i odszukaliśmy inne, znacznie mniejsze, słynne z tego, że nie zamarza nawet w najsroższe zimy i cuchnie tak, jakby zasilały je podziemne wody piekieł. Wciąż padał deszcz. Drewniane pawilony i pomosty wokół gęstej, nieprzejrzystej toni butwiały od ciepła i wilgoci. Na powierzchni unosiły się białe ciała starców w dziecinnych kołach ratunkowych. Patrzyło się na to wszystko z góry, spacerując po śliskich deskach. To byli w

większości niemieccy albo austriaccy emeryci, ale ktoś mówił też po słowacku i ktoś po węgiersku. W budynkach na palach wisiał mokry upał. Było ciasno od ciał i biała skóra oślepiała jak jaskrawe światło. Nadzy, stłoczeni w zamknięciu, ludzie zawsze wyglądają na nieżywych. Nawet gdy się poruszają. Było coś ponurego w tym obrazie. Odór bagna, zgnilizny i siarki mieszał się z wonią parujących ciał. Byłem tam parę chwil i zaraz wyszedłem. Teraz to wspominam jak długie przywidzenie albo rzecz, o której się czytało. Wszystko więc wskazuje na to, że nic nie zostaje, że Ubla, Heviz, Lendava, Babadag, Leskovik i co tam jeszcze nie pozostawiają śladów na tyle wyraźnych, by uwierzyć, że ilość w końcu przejdzie w jakość, że jedno się zazębi z drugim i niczym cudowna maszyneria zacznie wytwarzać coś w rodzaju sensu.

Dwa dni temu znowu byłem w Gönc. Cukiernia w kolorze lilaróż wyglądała na nieczynną. Na drzwiach wisiała kłódka, a przez zakurzone szyby mogłem dostrzec czarne, puste, bezczynne brytfanny. Za każdym razem, gdy tu jestem, wszystko wydaje się mniejsze. Któregoś dnia przyjadę i nie zastanę Gönc. Miasteczko zniknie z mapy i tylko ja będę wiedział, jak wyglądało, i tylko ja zapamiętam mężczyznę w kraciastym kapeluszu i z wędką, czekającego na żółty autobus jadący na drugą stronę zielonych wzgórz Zemplén. To samo dotyczy wszystkich innych miejsc. Zużywają się od obecności. Tak jakbym w pamięci unosił ich zarysy, pozostawiając blaknące kolory i tlejące na brzegach kształty. Piłem kawę, patrzyłem na ulicę i czułem, jak ze

wszystkich stron, z powietrza, z murów, z bruku, z otchłani minionego i z przyszłości, sączy się szara nicość. Obok stolika przeszedł mężczyzna w zielonej koszuli. Widziałem jego plecy. Stary materiał był przetarty i ktoś troskliwie białą nitką próbował uratować nadwątlone miejsca.

Była niedziela i do Tornyosnémeti nie spotkałem żadnego auta. Potem też nic: trzydzieści kilometrów w zupełnej samotności i dopiero na przedmieściach Koszyc pojedyncze samochody toczyły się w absurdalnej pustce wielopasmówki. Wybrałem drogę numer 547 i skrajem Rudohoria ruszyłem na północny zachód. Jak zwykle wypatrywałem Cyganów. Wyglądałem ich rozpaczliwie żywej obecności w monotonnym i sennym pejzażu słowackich miasteczek i wsi. Bo to wygląda tak, jakby wszyscy coś przeczekiwali zmęczeni codziennością, jakby odprawiali jakąś niewyraźną sjestę klimatu umiarkowanego, ukryci za swoimi firankami, za krzewami pnących róż w ogródkach, za szybami przemykających chyłkiem aut, w dusznych wnętrzach szarych domów, i tylko oni, ciemnoskórzy i wyklęci, oddawali się życiu jako takiemu, korzystając z tego świata i ze swoich pięciu minut na nim jak ze szczęśliwej wygranej. No więc zawsze wypatruję rudych, rdzewiejących dachów i błękitnych smug sosnowego dymu. I skrawków wydeptanej nagiej gliny, na której nigdy nie zdąży nic wyrosnąć, ponieważ ich żywiołem jest nieustanny ruch, dreptanie, wieczne odwiedziny, nieskończone party pod gołym niebem, opowieści z ust do ust i zaglądanie we wszystkie kąty, bo ziemia i świat są

niczyje, i nikt nie ma prawa zagarniać ich dla siebie. W Krompachach ich osada wspinała się pod samo niebo. Na lewo od szosy na niemal pionowym urwisku dom wyrastał z domu i te położone najwyżej tkwiły już w bezmiarze błękitu niczym jakieś napowietrzne szalone konstrukcje, wsparte o czystą przestrzeń. Postrzępione, wystawione na wiatry i deszcze, zawieszone w pustce, urągające prawu powszechnego ciążenia, przywodziły na myśl kolonię ptasich gniazd przylepioną do skały. Wszystko wystawało, nie pasowało do siebie, zapadało się, jakby zaraz miało się osunąć, runąć na szosę, żerdzie, skrawki blachy, patyki, przyniesione skądś kawałki starych domów, w których nikt już nie chciał mieszkać, błoto i mech w szczelinach między belkami, ochłapy czarnej papy przyciśnięte kamieniami, wszystko gdzieś znalezione i dopasowane w paranoicznie pomysłowy sposób. Nicość wzgardzonej materii składała się w cud domostwa. Miałem wrażenie, że to wszystko łopocze na wietrze, że jest gotowe do odlotu i wystarczy chwila, by nie pozostał po tym napowietrznym mieście żaden ślad. Tak, wyobrażałem sobie, jak żeglują przez niebieskie niebo niczym strzępiasty obłok, niczym wielka zaburdlona tratwa ciągnąca za sobą ławicę ruchomego dobytku, to całe złomowisko i wysypisko nikomu niepotrzebnych rzeczy, z których tylko oni potrafią zrobić użytek. Widziałem, jak płyną nad Rudohoriem, nad Šarišem i Spiszem, i w ogóle nad światem, w mgławicy swojego ubogiego dobytku, tych skrawków, strzępków i okruchów, z których bezczelnie i wyzywająco składają normalne życie. Taką wizję miałem w

Krompachach. Zaraz potem zaczęło się miasteczko i ten rozdupczony w drobne chujki industrial w dolinie Hornadu po prawej. Rdza, nędza martwego metalu i rozpacz podupadłej technologii. Zbiorniki, kominy, rurociągi, taśmociągi, bocznice, hale z wytłuczonymi szybami i liszaj instalacji w zielonym pejzażu. Wprawdzie była niedziela, ale nic nie wskazywało na to, że cała ta maszyneria w cudowny sposób w poniedziałek powróci do życia. Nic też nie zapowiadało, że wzniesie się do nieba i zniknie bez śladu. Zdaje się, że miała trwać tutaj w nieskończoność albo do chwili, gdy Cyganie litościwie rozbiorą ją na kawałki i wymienią na papierosy, alkohol, ozdoby dla swych kobiet i słodycze dla dzieci albo skonstruują z tego jakieś nieziemskie pojazdy, którymi ruszą przez Europę, by tak jak niegdyś wywoływać wśród osiadłej ludności zabobonny lęk pomieszany z zazdrością i podziwem. Kiedyś zapytali starego Cygana, dlaczego Cyganie nie mają własnego państwa. „Gdyby państwo było czymś dobrym, Cyganie pewnie też by je mieli". Tak odpowiedział. No więc zjednoczona Europa to jest rzecz dla nich, ponieważ ma być czymś lepszym niż państwo i zdecydowanie bardziej nadającym się do przemieszczania i życia, niż jeden pojedynczy kraj.

Zamykam oczy i widzę, jak ci z Gjirokastër porzucają swoje przewiewne szałasy wybudowane na dachach betonowych komunalnych domów, w których nie mogli wytrzymać z duchoty i gorąca. Ci spod Krui zostawiają piece do wypalania wapna, ci z Iacobeni opuszczają

rozsiadłe saskie domostwa, ci z Porumbacu i Sambata de Sus gliniane chatynki, ci z Vlachów budy z nieokorowanych okrąglaków, ci z Podgrodzia parterowe domy dawnej żydowskiej dzielnicy, ci z Miszkolca ledwo wystający z ziemi slams przy wylotówce na Encs, ci ze Zborova swój biały barak wciśnięty w zbocze góry i cała reszta z tego tysiąca innych miejsc, których spis i opis — wciąż sobie to obiecuję — kiedyś sporządzę. Tak, Europa bez granic to jest cygański sen i co do tego nie ma dwóch zdań. Gnuśny, zasiedziały i strachliwy biały lud pozostanie w domach, tak jak pozostaje w słowacką niedzielę. Widać tylko ich, jak samotnie, po dwóch, trzech wędrują skrajem dróg ze wsi do wsi, a zielony pejzaż zamyka się za nimi tak łagodnie jak lustro wody. To jest tak, jakby nie mogli żyć bez przestrzeni. Uwolnieni od działania czasu, za nic mają nicość, która zniszczy Gönc i wszystkie inne miejsca, którym nadaliśmy nazwy, ponieważ tylko w taki sposób mogliśmy pojąć świat, jednocześnie skazując go na zagładę.

Gdzieś przed BrezovKką w szczerym polu dziesięcioletni może śniady chłopak ćwiczył pompki na środku asfaltu. Był całkiem goły. Na widok auta zerwał się przerażony i zasłaniając przyrodzenie, pomknął w przydrożne zarośla. A stamtąd, zanosząc się od śmiechu, podniosło się trzech jego ubranych kumpli i razem pomknęli w głąb chaszczy.

Stare kobiety z wiązkami chrustu na plecach, mężczyźni zgromadzeni wokół otwartych masek starożytnych aut, chłopiec w Podgrodziu tulący w dłoniach szczeniaka, wóz gdzieś w Siedmiogrodzie, zaprzężony w dwójkę koni, a na

wozie wystraszone parotygodniowe źrebię z rozstawionymi szeroko nogami i dziecko obejmujące kark źrebięcia w geście czułości, wtulone w lśniącą brązową sierść, jakby znalazło istotę mniejszą od siebie i bardziej bezbronną, czerwone kałderaskie spódnice na zakurzonej drodze u stóp Moldoveanu i bose stopy pokryte żółtym pyłem, dymiące wysypisko gdzieś w Erdőhát i drobne, szczupłe postacie wybierające z płonących hałd metal, plastik i szkło, i śmietnik w Tiszacsécse przy drodze wiodącej nad rzekę, gdzie stary mężczyzna z fajką w ustach wydobywał spomiędzy zwałów gruzu podłużne kawałki drewna, wiązał w pęczki i układał obok wiekowego roweru. Powinienem sporządzić katalog, encyklopedię tych wszystkich zdarzeń i miejsc, napisać historię, w której czas nie odgrywa żadnej roli, powinienem napisać historię cygańskiej wieczności, ponieważ mam wrażenie, że w pewien sposób jest ona trwalsza i mądrzejsza niż nasze państwa i miasta, i cały nasz świat, który drży przed unicestwieniem.

Tak, moją obsesją są Cyganie, pustka pogranicza oraz rzeczne promy we wschodnich Węgrzech. Mógłbym o tym w kółko gadać i rozmyślać. Zwłaszcza o tych ostatnich. Ten na Cisie, dziesięć kilometrów za Sárospatak, wyglądał jak jakaś Arka Noego. Fury z sianem, traktory, bydło i owce na postronkach, kolesie w gumowcach i bejsbolówkach, grabie, widły, butelki piwa, jakby porzucali swoją ziemię, bo im się znudziła albo stała się jałowa, i teraz puszczali się w poszukiwaniu nowej, i tylko domów brakowało na wyjedzonym przez wilgoć i słońce i osranym przez krowy

drewnianym pokładzie. Pan Ferenc Lenart z Gávavencsellő był właścicielem tego statku. Tak jest napisane na błękitnym bilecie za dwieście dziewięćdziesiąt forintów. Bo żyć nad Cisą to żyć na wyspie. Wciąż trzeba się przeprawiać. Rzeka się wije, zawraca, nie może się zdecydować, przesącza się gdzieś na boki, wybija bagiennie z ziemi i Szabolcs-Szatmár, i Erdőhát przypominają niepewny pływający ląd, oddzielony od głębi ziemi półpłynną błotnistą warstwą: mokradła, trzęsawiska, trzciny, słodki odór zgnilizny i nagrzanej w słońcu stojącej wody, domy na palach i wały ochronne wzniesione kilometr od głównego nurtu, żeby wiosenne wody Gorganów, Czarnohory i Maramureszu miały się gdzie zmieścić. Dwieście dziewięćdziesiąt forintów to jest nic za senną podróż w poprzek zielonego biegu wód na grzbiecie tego pięknego i dziwnego urządzenia, które niczym tkackie czółenko związuje zerwaną osnowę dróg. Jego ślad zaraz się zasklepia i wszystko zostaje tak jak przedtem. No więc dwieście dziewięćdziesiąt to jest nic, a w Szamossályi nawet mniej, bo tylko dwadzieścia od głowy, czyli jakieś trzydzieści parę groszy. Obok zjazdu z wysokiego brzegu była zagroda pełna kóz i owiec, a po drugiej stronie drogi mały domek i tablica z tymi wszystkimi śmiesznym cenami za przeprawę. Czarny dach i żółte ściany. Prom próbował się oderwać od przeciwległego brzegu. To był ten typ bez napędu, niesiony jedynie prądem rzeki. Uczepiony dwoma bloczkami długiej liny przeciągniętej w poprzek nurtu czekał, aż poniesie go woda, i potem nawijając stalówkę na

dwa kabestany, raz na jeden, raz na drugi, sunął w tę i z powrotem niczym najstarszy i najprostszy mechanizm, ledwo świadomy prawa powszechnego ciążenia. Jedynym pasażerem była kobieta z rowerem. Maszynista kręcił korbami, odpychał się drągiem od brzegu, lecz robił to wszystko od niechcenia i bez pośpiechu, zdając się na rzekę, na jej kaprys. Chwilami zostawiał wajchy i wiosła w spokoju i wdawał się w rozmowę z kobietą, która przycupnęła sobie na ławeczce. Widziałem to wszystko z góry: dwie małe postacie na prostokątnym pokładzie z grubych fosztów, których kolor był taki sam jak kolor piaszczystego brzegu, i wyglądało to tak, jakby czekali, aż skrawek lądu oderwie się od reszty Niziny Panońskiej i niczym ociężały latający dywan, przeniesie ich na drugą stronę Samoszu. Do rumuńskiej granicy było może z piętnaście kilometrów i znów czułem, jak czas się przyczaja, zanika, zamiera i przycicha, dając szansę czystej przestrzeni — tak przecież było w Ubli, tak jest w Hidasnémeti, gdzie znieruchomiałe pociągi wygrzewają się pod wysokim niebem niczym zaskrońce, w nawiedzonej Buzicy, i to samo w mojej Koniecznej. No, ale w końcu ruszyli, przepłynęli i dobili, i teraz ja mogłem zjechać na platformę. Patrzyłem w górę biegu i próbowałem sobie przypomnieć, kiedy i gdzie ostatni raz widziałem tę rzekę.

Na pewno rok temu przez chwilę w Satu Mare, gdy jechałem do Păltiniş, lecz to był tylko moment, most gdzieś w centrum miasta i jak zwykle szukałem wylotówki, wyglądając niebieskich pordzewiałych drogowskazów, więc

ten raz się nie liczy. Dwa lata wcześniej cały dzień błąkałem się w jej dorzeczu. Wlokłem się od Carei i nie bardzo wiedziałem, czy bardziej chcę do Klużu, czy do Oradei, na południowy wschód czy zachód, i w ogóle. Na 1F w Bobota zrobiło się jakieś ciężarówkowe piekło, te wszystkie cysterny, wywrotki pełne gruzu i ziemi, trąbienie, niby jeszcze Siedmiogród, ale jeśli idzie o styl powożenia, to już się robiły Bałkany, a ja byłem nieco nieodporny po długiej węgierskiej nocy z körte i kadarką z Szekszárd na przemian. Wypatrzyłem na mapie Crişeni i tam umknąłem na północ, by w Jibou zjechać w dolinę Samoszu. No, ale co z tego, skoro nic nie pamiętam z tej drogi poza kawą w jakimś miejscu bez właściwości, poza burzą z gradobiciem wśród zielonych wzgórz. Dopiero Baia Mare pamiętam wyraźnie, chociaż przypominało halucynację. Czarne wiadukty taśmociągów i zawieszone nad ziemią martwe wagoniki do transportu złotonośnej rudy, i rozpacz przedmieść, gdzie ludzie roili się przed robotniczymi blokami, które przypominały wypalone ruiny. Miasto wgryzało się w góry w poszukiwaniu kruszcu, lecz nędza trawiła to Eldorado niczym rdza. Baia Sprie konało tak samo, pokonane przez własną zachłanność.

Do przełęczy Gutîi było dziesięć kilometrów i tam, na dziewięciuset osiemdziesięciu siedmiu metrach, świat po prostu przełamywał się na pół. Tam, prawie kilometr nad poziomem morza, zrywała się ciągłość i hulała nicość. Szydercze memento Baia zostawało za plecami, a po drugiej stronie, na północnych stokach, w przedziwny

sposób istniało minione. Deseşti, Hărniceşti, Giuleşti wyglądały jak sny wyrzeźbione w drewnie. W snycerce domów, bram i płotów zamknięty był ogrom czasu, jego nieskończona obfitość. Żeby to wszystko wyciąć, wyrżnąć, wydłubać i uwolnić z pierwotnych kształtów, potrzebna była wieczność. Ten cud cierpliwości musiał się spełnić w jakimś innym czasie, bo ten normalny, z jakim mamy do czynienia, po prostu by nie pomieścił tych wszystkich pojedynczych gestów, koniecznych do wykonania drewnianej arkadii. Ani godziny, ani minuty nie były w stanie zawrzeć w sobie narodzin tego spokojnego szaleństwa kształtów. Wydawało się, że to wszystko po prostu wyrosło, że jest dalszym ciągiem powolnego przyrostu słojów i konarów, że natura porzuciła swoje dotychczasowe formy na rzecz kształtów przypominających ludzkie domostwa. Tak, to było szaleństwo, maramureska baśń tysiąca i jednej nocy, dendrologiczna Sagrada Familia, i tak do samego Sygietu, gdzie już zapadał zmierzch odcięty grzbietem Pietrii od reszty świata.

Rano poszedłem nad Cisę. Po ukraińskiej stronie leżała Sołotwina, gdzie dwa lata wcześniej wysiadłem z pociągu, żeby złapać okazję do Stanisławowa.

***

I znowu Babadag, tak samo jak dwa lata temu: autobus staje na dziesięć minut, kierowca gdzieś przepada, dzieciarnia w południowym skwarze żebrze bez przekonania, nic się nie zmieniło. Zniknęły tylko papierowe tysiąclejówki z Eminescu i teraz zamiast nich są aluminiowe

krążki z Constantinem Brancoveanu. Łatwiej wymacać je w kieszeni, wyjąć i wcisnąć w wyciągniętą dłoń. Trzydzieści siedem aluminiowych monet to jedno euro. Wjeżdżając do miasta, widziałem trzy kobiety w powłóczystych czerwonych sukniach do ziemi. Zapewne dobrudżańskie Turczynki. Wyglądały pięknie i dziwnie wśród sypiących się murów, wśród domów, które rozpadły się, zanim się naprawdę zestarzały. Babadag to było zmęczenie i samotność. Ludzie wysiedli z autobusu i stali oddzielnie z małymi plamami cienia u stóp. I jeszcze biały minaret niczym palec wskazujący puste i błękitne niebo. Rozdałem trochę lekkich monet. Mali żebracy brali je obojętnie, bez słowa, nie podnosząc wzroku. Jechałem z Tulczy do Konstancy. W przeciwną stronę niż dwa lata temu. Nic się nie zmieniło. Tylko wszystkie banknoty zrobione były teraz z plastiku.

Babadag: dwa razy w życiu, dwa razy po dziesięć minut. Z takich fragmentów składa się świat, z okruchów gorącego snu, z majaków, z autobusowej maligny. Zostają bilety. Z Tulczy do Konstancy — sto dwadzieścia tysięcy lei. Păstraţi biletul pentru control. Okolice Gara de Sud w Konstancy to smutek Bałkanów, czarna plątanina trakcji nad ulicami, chaos i syf, klaksony, psy, muchy, stosy jedzenia na straganach, wszystko wymieszane, połysk folii, zapalniczek, celofanu, śmieci, wir jednorazowej materii, swąd przypalonego tłuszczu, dym, mundurowi, cwaniacy bez zajęcia, ale ciągle w ruchu, złote łańcuchy, plastikowe klapki na bosych stopach, kabura z pistoletem na jakimś

cywilnym tyłku ledwo zakryta koszulą, łupiny arbuzów, pstrokacizna, dziesięciocentymetrowe obcasy, czarne makijaże, mrowisko, targowisko i obóz, i zostaje tylko wyliczanka, bo opis jest bezradny, ponieważ nie ma tutaj niczego stałego poza zmęczeniem i rozkładem, i ubytkiem sił, i frenetycznym mozołem pod wyblakłym od upału niebem.

Z Konstancy wyjeżdża się przez Valu lui Traian (czyli wieś Wał Trajana) z parterowymi chałupami zagrzebanymi w upale, z wynędzniałymi osłami, z przedwiecznym wzrokiem starych kobiet w czerni, wpatrzonych w pylistą pustkę. Gdyby tu wysiąść, zabrakłoby sił, by wyjechać. Od zawsze trwa tu teraźniejszość. Stąd te wszystkie nazwy z imionami bohaterów, buntowników, wodzów, wojewodów i polityków: Nicolae Bălcescu, Mihail Kogălniceanu, Cuza Vodă, Vlad Ţepeş, Mircea Vodă, Ştefan cel Mare, Dragoş-Vodă, Ştefan Vodă, Alexandru Odobescu i jeszcze Indepedenţa i Unirea, czyli Niepodległość i Zjednoczenie, i Valea Dacilor, czyli Dolina Daków. Nic tam nie ma. To tylko wsie rozrzucone w stepie wzdłuż drogi 3A albo trochę w bok. W płaskim krajobrazie ledwo wystają nad horyzont. Kozy, kukurydza, konne zaprzęgi, zgięte sylwetki ludzi na polach, te same ruchy od stu, od dwustu, od trzystu lat, od zawsze, tak samo niezmienne jak ruchy zwierząt. I tylko te nazwy, które mają poruszyć znieruchomiały czas, nadać mu sens i kierunek.

Parę dni później jechałem na północny wschód. Przeciąłem dolinę Seretu, w Tecuci poznałem skrzyżowanie

i płot, pod którym dwa lata temu przez parę godzin próbowałem złapać okazję na drugą stronę Karpat. Teraz zostawiłem góry po lewej, krajobraz wypłaszczył się, furmanki i furgonetki wiozły arbuzy i melony. Przy szosie leżały stosy owoców. Wśród pól stały szałasy z wyschniętych kukurydzianych liści. Nie było drzew i chłopi przeczekiwali południowy upał w tych szeleszczących budach. Za Crasną znów zaczęły się pagórki — długie senne grzbiety Wyżyny Mołdawskiej. To był stary i kruchy płaskowyż, wyżłobiony przez rzeki i zetlały od słońca. Trawiaste zbocza, białe osuwiska, wątłe grzebyki zagajników przywodziły na myśl jakąś geologiczną metaforę pogodzenia z własnym losem, z erozją i zanikiem. Ziemia odsłaniała tutaj swoje kości.

Zaraz potem było Husi. W Husi w 1899 roku urodził się Corneliu Zelea Codreanu. Powinienem tam stanąć, ale nie zrobiłem tego. Miasteczko pojawiło się na chwilę i zaraz przepadło, tak jak sto innych rumuńskich miast, przez które przejeżdżałem. Niczym się nie wyróżniało. Było niskie i melancholijne. Ogrody skrywały rozpad. Powinienem tam stanąć. Codreanu był w połowie Polakiem, w połowie Niemcem, lecz uważał się za Rumuna najbardziej rumuńskiego ze wszystkich Rumunów. Czytałem trochę tekstów, które po nim pozostały. Są patetyczne i grafomańskie. Wydawało mu się, że jest kimś w rodzaju rumuńskiego mesjasza. Do swoich planów bez przerwy mieszał Boga Ojca, Chrystusa i Michała Archanioła. Na niektórych fotografiach występuje przebrany w ludowy

strój: białą lnianą koszulę do kolan i białe portki. Spod przykrótkich nogawek wystają mu eleganckie miejskie buty. Pozdrawia tłumy gestem podobnym do hitlerowskiego heil, lecz chodzi zapewne o czysto rzymskie dziedzictwo, nieskażone barbarzyńskim pośrednictwem Germanów. Przemierza mołdawskie i besarabskie wsie na białym koniu. Chłopi słuchają go chętnie, ponieważ twierdzi, że całe zło przychodzi z zewnątrz.

Przejechałem Huşi w kilka minut. Do Prutu i granicy było dwadzieścia kilometrów. Na wzgórzach pasły się owce. O zmierzchu wracały do zagród na pustkowiu, między płoty sklecone z paru żerdzi. Obok stały szałasy dla pastuchów z dachami z sitowia. To wszystko można było zbudować niemal gołymi rękami. Niczym się nie różniło od pejzażu. W każdej chwili mogło przepaść bez śladu, nie pozostawiając żadnych ruin, żadnych wspomnień. Tam w środku, w tych szałasach, były pewnie jakieś rzeczy, wiadro, nóż, siekiera, ale na zewnątrz wyglądało to zupełnie roślinnie i nie miało wieku. Składało się z najprostszych form: drewno, trawa, trzcina, trochę zwierząt, owcze gówna.

Przed jadącym na siwku Codreanu noszono podobno ikonę z Michałem Archaniołem. Bez trudu można sobie wyobrazić ten pochód właśnie tutaj, pośród płaskich wzgórz i szałasów, albo trochę dalej, we wsi Valea Grecului z jedną cerkwią, krowim wygonem i białymi plamami gęsich stad na zielonej równi. To właśnie tam poczułem głęboką pewność, że oto oglądam znieruchomiałe, idealne „niegdyś” albo „tak było zawsze”, w każdym razie przeszłość, która

nigdy nie zmieni się w przyszłość, bo od samego początku miała być jedynie trwaniem.

Codreanu w swojej koszuli do kolan i ze swoją procesją tułającą się po zapadłych miasteczkach i wsiach przynosił dobrą nowinę o tym, że nic się nie zmieni, że minione będzie trwało, ponieważ już gdzieś w dalekiej przeszłości osiągnęło formę doskonałą. Wystarczy oczyścić je z mułu naniesionego przez strumień nowoczesności, ze szlamu demokracji, z brudu liberalizmu, z żydowskiej zarazy. Nędzna i bezsilna aktualność miały zostać uwznioślone poprzez swój heroiczny rodowód. Towarzysze Codreanu nosili amulety z ziemią zebraną z bitewnych pól, na których przodkowie opierali się Rzymianom, Gotom, Hunom, Słowianom, Tatarom, Węgrom, Turkom i Rosjanom. Magia, kult przodków i chrześcijaństwo traktowane niczym religia plemienna tworzyły coś w rodzaju mętnej tajemnej nauki o sposobach zbawienia narodu. Tych kilkanaście stron tekstów Codreanu, które przeczytałem, to w zasadzie bełkot: „Wojny były wygrywane przez tych, którzy potrafili przywołać niewidzialne siły z zaświatów i zapewnić sobie ich pomoc. Te tajemnicze siły to dusze zmarłych, dusze naszych przodków, którzy byli przywiązani do tej ziemi, do naszych pól i lasów, i którzy zginęli w obronie tej ziemi, a dzisiaj są przywoływani, dzięki pamięci o nich, przez nas — ich wnuków i prawnuków. Lecz ponad duszami zmarłych stoi Chrystus”.

Jeśli ktoś urodził się w Huşi i spędził tam młodość, miał prawo nie wierzyć w przyszłość. Założę się, że Codreanu

odwiedzał też Valea Grecului. Chłopcy są ruchliwi. W przyszłość wierzyli komuniści, a tych Codreanu nienawidził tak samo jak Żydów. Zdaje się, że jego mętny i prowincjonalny umysł z trudem odróżniał jednych od drugich. W gruncie rzeczy nigdy nie przestał być wizjonerem z zadupia. Świat dzielił się na Rumunię i na resztę, ale ta reszta nie przedstawiała żadnej wartości z tej prostej przyczyny, że nie była Rumunią, ani tym bardziej Huşi.

Podczas studiów w Berlinie nosi rumuński strój ludowy. Jednocześnie nędza zmusza go do handlu. We wsiach kupuje słoninę i masło, by z zyskiem sprzedawać je w stolicy. Jego berlińskie życie staje się parodią życia mołdawskich chłopów. Jednocześnie nie robi nic innego niż Żydzi z jego własnych wyobrażeń. W Grenoble, żeby przeżyć, szyje razem z żoną rumuńskie stroje ludowe i próbuje sprzedawać. Poza Rumunią, narodową konfekcją i handlem niewiele przychodzi mu do głowy. Na sali sądowej (próbował sił jako adwokat) wyjmuje pistolet i zabija prefekta policji. Jego towarzysze mordują „zdrajców" i znienawidzonych polityków, a potem oddają się w ręce glin, parodiując chrześcijańską samoofiarę. „Miłość jest kluczem do pokoju, który nasz Zbawiciel ofiarował narodom świata. Ale miłość nie zwalnia z obowiązku dyscypliny, tak samo jak nie zwalnia od obowiązku pracy i obowiązku wykonywania rozkazów" — bredzi w 1936 roku.

No więc brednia i parodia. Trzeba urodzić się w Huşi, żeby poczuć trującą woń smutku zjadającego umysł i duszę.

Trzeba urodzić się w Huşi, gdzie zawracają nawet wrony, żeby pojąć sens snu o wielkości własnego kraju, sens koszmaru. Wtedy zostaje tylko szaleństwo, zostaje obłęd, bo tylko tak można na chwilę podważyć porządek świata, który ma gdzieś Huşi, ma gdzieś wieś Valea Dacilor, i nawet wieś Decebal, z rozpaczą cygańskiego taboru na rogatkach, guzik go obchodzi. Huşi wzgardzone, Huşi odrzucone, Huşi śnięte i powłóczące nogami, Huşi rozgrzebane przez kury i na wieki wieków amen zatknięte w szczelinie czasu jak złamany patyk. Przyjść na świat w Huşi to żyć w zmaterializowanej wieczności. Tam kończy się kolej. Życie w Huşi to nieśmiertelność.

Tak w każdym razie myślał Corneliu Codreanu. Przeszłość była święta, więc miała trwać wiecznie, miała wciąż zmartwychwstawać, odpędzając widmo przyszłości. Przyszłość zawsze nadchodziła do Huşi z zewnątrz, była obca i przypominała najazd. Przyszłość to był gwałt zadany doskonałości trwania, które stanowiło sens, sedno i najgłębszą tajemnicę Huşi oraz okolic.

Ech, powinienem zostać w Huşi. Teraz muszę sobie wyobrażać, że tam wrócę. Najlepiej jesienią, gdy opadną liście, żeby szukać potwierdzenia tych wszystkich domysłów, szukać tego chrobotu, butwienia, pełznącej pleśni, która wchodzi niezauważalnie i cicho w kamień, mur i drewno, w schowane w szafie stroje na niedzielę. Drobnoustroje, grawitacja i wilgoć — to są składniki bytu mojej części kontynentu. Powinny być wypisane na etykietce: ingredients, powinny być w herbie. Kto myśli

inaczej, gorzko się rozczaruje któregoś dnia. Paroksyzm Codreanu wziął się stąd, że — wbrew temu, co myślał i głosił — zupełnie nie pojmował ducha miejsca, które tak bardzo chciał zmienić. Opętany pragnieniem wielkości własnego narodu staczał się w śmieszność naśladownictwa cudzego losu. Wszystko, co po nim zostało, to falsyfikat przeznaczenia.

Nic nie poradzę — lubię ten bałkański burdel. Zaczyna się już przed Satu Mare. Rozjebka, przeróbki, diabli wiedzą, gdzie kończy się szosa, gdzie pobocze, furmanki, wózki, w powietrzu od razu więcej kurzu niż na pohabsburskich Węgrzech, co rusz coś leży i trzeba wymijać, jakby te dacianki i aro nie do końca były poskręcane i gubiły części albo ich miały za dużo. Dziani grubi Cyganie stoją przy nówkach mercach z otwartymi maskami, że im się niby woda zagotowała albo poszedł pasek, i machają rozpaczliwie, żeby stanąć, a wtedy wciskają ci złoto oraz szlachetne kamienie za pół ceny. Dzieciarnia śmiga przez szosę w tę i z powrotem, jakby od szczeniaka była ćwiczona w słynnej rumuńskiej pogardzie dla śmierci, w getodackim fatalizmie. Nikt nie używa kierunkowskazów, bo ogólnie jest ciężko i trzeba oszczędzać. Za to klaksony słychać bez przerwy, bo się nie zużywają. Tak było w maju w 2000 roku i tak pozostanie na zawsze. Mogę to wspominać bez końca, tak jak się wspomina dzieciństwo. I w końcu okazuje się, że człowiek szuka tylko tego, co widział wcześniej. Okazuje się, że szatmarska rozpierducha, pustynne opłotki Suliny, Giurgiu nad Dunajem przypominają Sokołów Podlaski i

Kałuszyn. To jest ta sama materia, ta sama tymczasowość, która heroicznie udaje trwałość, w autobusach snuje się ten sam zapach mydła i mleka, gdy wieśniacy wyruszają w drogę, ta sama medytacja w cieniu płotów na próchniejących ławkach, ta sama beztroska i rozrzutność godzin, zegarki jako ozdoba, jako biżuteria — w końcu czas to tylko dostępna dla zmysłów forma wieczności, z której można wykrawać porcje wedle uznania.

Gdzieś między Bozieni i Valea Parjei widziałem dwóch mężczyzn przy drodze w środku zielonego pustkowia. Dziesięć kilometrów w jedną i piętnaście w drugą nic nie było i nic nie jechało. Siedzieli w cieniu włoskiego orzecha i grali w karty. Nawet nie podnieśli wzroku, by spojrzeć na autobus. Parę dni później wracałem tą trasą i znów ich widziałem. Przenieśli się może o kilometr, ale pejzaż się nie zmienił: przydrożny szpaler orzechów, łany kukurydzy, a oni wciąż zatopieni byli w leniwej, monotonnej grze, jakby mieli talię złożoną z miliona kart. Może przy grze zastawała ich noc i spali w szczerym polu, by znów zacząć o świcie, może ktoś ich tu przywoził do jakiejś pracy, lecz gdy tylko zniknął za szczytem wzniesienia, oni natychmiast podejmowali wiekuistą rozgrywkę. Nie mieli nic ze sobą, żadnej rzeczy, chyba że w kieszeniach. Siedzieli na pustkowiu jak w domu przy stole. Byli szarzy i wymięci jak większość mężczyzn w tamtych stronach, lecz radzili sobie bohatersko z napierającą przestrzenią i bezmiarem godzin. Krucha abstrakcja gry broniła ich przed nicością. Diabli wiedzą, może o zmierzchu zapalali jakiś ogarek, albo ich karty były

znaczone i nawet w ciemności czuli pod palcami kiery, piki i trefle. Tak sobie to wyobrażałem, jadąc do Cahul i z powrotem.

No więc lubię ten bałkański burdel, ten węgierski, słowacki i polski, to cudne ciążenie materii, tę piękną senność, tę olewkę faktów, to spokojne, konsekwentne pijaństwo w samo południe i te mgliste spojrzenia, które bez wysiłku biegną wskroś rzeczywistości, żeby bez trwogi otworzyć się na nicość. Nic nie poradzę. Serce mojej Europy bije w Sokołowie Podlaskim i w Huşi. Ni chu-chu nie bije ono w Wiedniu. Kto myśli inaczej, jest zwyczajnym dudkiem. Ani w Budapeszcie. Najbardziej nie bije w Krakowie. To wszystko poronione próby transplantacji. Lifting i lustro czegoś, co jest gdzie indziej. Sokołów i Huşi niczego nie naśladują. Spełniają się we własnym przeznaczeniu. Moje serce jest w Sokołowie, chociaż spędziłem tam wszystkiego może z dziesięć godzin. Zazwyczaj podczas przesiadek z pekaesu w pekaes we wczesnych latach siedemdziesiątych, gdy jeździłem do wujostwa na wakacje. Moja osobista pamięć nie jest gorsza od pamięci pokolenia, narodu albo sporej części kontynentu. Parterowe drewniane domy w centrum miasta, bzy, zarośla, okiennice, psy śpiące na asfalcie, pochylone słupki przystanków z żółtymi okrągłymi tarczami, brązowy i zielony kolor farby na futrynach, szalunkach i framugach, piasek w szczelinach płyt chodnikowych, lodziarnia o wnętrzu pachnącym niczym wiejska chałupa, cukrowe groszki w szklanych rurkach, wszystko ledwo odrosłe od

ziemi, ledwo zaczęte, no właśnie, butwienie, chrobot i drzemka, życie bez pretensji, żeby starczyło na dłużej, skrzypienie podłogi z wydeptanych desek, śmieszny heroizm codzienności kruchej jak waflowy rożek do lodów. Pamiętam wszystko i mógłbym wyliczać bez końca. Ponieważ to jest we krwi. Z tego samego powodu moje serce jest w Huşi, które przejechałem w pięć minut, ponieważ nie ma po co tam stawać.

Wszystko wskazuje na to, że chciałbym mieć własne państwo. Żeby po nim w kółko jeździć. Państwo bez wyraźnych granic, państwo, które samo nie wie, że istnieje, i państwo, które guzik obchodzi, że ktoś je wymyśla i ktoś do niego wjeżdża. Senne państwo z niejasną polityką i historią jak ruchome piaski, z teraźniejszością niczym kruchy lód i kulturą jak cygańskie pałace w mieście Soroca. Nic innego tutaj nie przetrwa bez ryzyka parodii. Co tam zresztą państwo. Niech będzie od razu cesarstwo z niesprecyzowaną liczbą prowincji, cesarstwo w ruchu, w pochodzie, opętane ideą ekspansji i sklerozą, która nie pozwala mu spamiętać ziem, ludów i stolic, i dlatego każdego ranka zaczyna wszystko od początku. To by mi odpowiadało, ponieważ sam sobie z tym nie radzę. Pamiętam tylko rzeczy i zdarzenia, ale nie wiem, co je rozdziela albo łączy poza moją przypadkową obecnością.

Trzy dni temu byłem w Bardejovie. U świętego Idziego zaczynała się popołudniowa msza. Spóźnieni wierni wciskali się cienką strużką przez uchylone drzwi. Wewnątrz musiało być już pełno, bo ze środka dobiegał

zwielokrotniony dudniący pomruk, ale wciąż przychodzili nowi. Turlali się w dół pochyłego rynku, odświętni i zaróżowieni od pośpiechu, i dopiero w cieniu świątyni zwalniali, by nadać ruchom nieco dostojeństwa. Ta scena powtarzała się od pięciuset lat. Pomyślałem sobie, że to przejście wskroś przestrzeni bardejowskiego rynku musi być wytarte od dotyku ciał, że sama przestrzeń w tym miejscu być może nawet nie istnieje, bo nie miała sił, by przez tyle czasu nieustannie się zasklepiać. Poszedłem w górę, w przeciwną stronę. Wszystko pustoszało. Ludwik Wielki nadał miastu prawo odbywania ośmiu jarmarków w roku i ścinania głów. To wszystko musiało zajmować wtedy dużo miejsca, i teraz bez handlu i sprawiedliwości rynek wyglądał na opuszczony. Skręciłem w Veterną, a potem w Stocklovą i dalej na prawo, by znaleźć się w wąskim przesmyku między murami obronnymi i resztą miasta. Znalazłem schodki i wdrapałem się na górę, chociaż najprawdopodobniej było to zabronione. Ten mur miał przynajmniej sześćset lat i tu i ówdzie sypał się, kruszał i wyglądał na swój wiek. Z góry było widać podwórka, ogródki, tylne wejścia, klatki, kurniki, psie budy, wszystko to, co małe miasta ukrywają przed spojrzeniem, tę całą swoją wiejskość, którą próbują przechować w ograniczonej, pomniejszonej przestrzeni. Tam była łagodna rozpierducha, senny bałagan, resztki rozpoczętych przedsięwzięć, wspomnienie po niedokończonych, składy rzeczy z wolna zmieniające się w śmietniki, folia, kompost, opadłe jabłka, kurze zagrody, zielsko, wydeptane ścieżki, jakaś wieczysta

teraźniejszość przycupnięta w cieniu orzechów i czereśni. Tutaj powoli rozpadał się gotyk, trzy kroki dalej ten sam rozkład wchodził w rzeczy pozbawione historii, obdarzone jedynie chwilowym losem i znikomym przeznaczeniem. Nowe starzało się tak jak zamierzchłe i to była jakaś sprawiedliwość, liberté, égalité, fraternité materii.

Wszędzie za tym węszę. Nie ma się co oszukiwać. Ślepy i głuchy na resztę. Najczęściej nie ma żadnej reszty.

Tak było półtora miesiąca temu w Uzlinie. Z Murighiol przypłynęliśmy motorówką. Wokół rozciągały się cztery tysiące kilometrów kwadratowych kanałów, jezior, martwych odnóg, bagien, mokradeł i ziemi płaskiej jak lustro wody. Można płynąć wiele godzin i nic się nie zmienia. Trwa gorący, nieruchomy sen. Przestrzeń wchłania wszystko bez śladu. Ruch nie zostawia żadnego znaku. Wielka rzeka niesie muł z wnętrza kontynentu i lepi z niego nowy, niepewny ląd. To wszystko wygląda na jakiś początek stworzenia, gdy pejzaż dopiero zbiera siły, by wydostać się nad powierzchnię wód. To jest hipnoza, podróż pod prąd czasu i wyprawa w prastare dzieciństwo.

No, ale najpierw była Uzlina. Mieli tam hotel, który wystawał z tej bagienności, płaskości i pradawności na trzy piętra. Wyglądał na rzecz zgubioną podczas jakiejś przeprowadzki. W promieniu dziesiątek kilometrów nie było nic wyższego. Przy pomoście czekała dziewczyna w mini i na wysokich obcasach. Trzymała tacę z kieliszkami śliwowicy, prostej chłopskiej cujki. W każdym kieliszku pływała oliwka. Przed hotelem był basen, parasole i leżaki.

Nic nie dało się zrobić. Ale pokój w bocznej przybudówce był jak Pan Bóg przykazał. Za oknem rozpościerała się umiarkowana rozjebka, jakieś baniaki na wodę, gruzowisko, warzywniki, samodziałowe płoty, i szczekały psy na łańcuchach, pilnujące kapuścianych zagonów. Pierwszej nocy pogryzły mnie pluskwy i nie było czym oddychać. W zasadniczym hotelu obok dudniła klimatyzacja. Wieczorem przy płonącym ognisku bawili się pracownicy firmy Coty i leciała jakaś durna ogólnoświatowa hitparada.

Następnego dnia zjawił się Mitka. Przysiadł się do naszego stolika w barze pod parasolami. Miał na sobie stuletnie spodnie od garnituru, gumowe klapki na bosych stopach, jakąś koszulinę i koło sześćdziesiątki. Wyglądał tak, jakby przybył tu wprost z bagien, z trzcinowych zarośli. Pił piwo za piwem i narzekał, że od kiedy lekarze coś mu wycięli, nie może już pić wódki. Mówił po rosyjsku, ale kelnerki przywoływał po rumuńsku. Pił w hotelu każdego wieczoru i nie płacił. Czasami przynosił do hotelowej kuchni barana albo prosię. Właściciel godził się na to, ponieważ chciał kupić od Mitki ziemię, żeby rozbudować interes. Bo Mitka był sąsiadem. Wokół wałęsały się jego krowy i wieprze. Miał tego dziesiątki sztuk. Wszystko łaziło luzem i szukało żeru wśród błot i piasków rozciągających się nad odnogą Świętego Jerzego.

O zmierzchu poszliśmy obejrzeć jego gospodarstwo. Było wielkie i płaskie. Przypominało labirynt złożony z zagród, przesmyków, płotów, półotwartych obór i chlewów przykrytych dachami z sitowia. Nigdzie nic się nie paliło,

żadne światło, żarówka, cokolwiek. W górze rozpościerało się świetliste, fosforyzujące niebo, ale tutaj ciemność była już gęsta, przesiąknięta wonią zwierzęcych ciał i odchodów. Wieprze zbiegały się do Mitki jak psy. W zakamarkach coś pochrząkiwało, postękiwało, trawiło i burczało, z kątów snuło się bydlęce ciepło, jakby w czeluściach obejścia mościł się jakiś ogromny przedwieczny stwór.

Tylko w izbie Mitki było jaśniej. Pod niskim sufitem paliła się słaba żarówka. Długie i wąskie pomieszczenie wypełniały najpotrzebniejsze sprzęty: posłanie, szafka z naczyniami, stół, i tyle. Mitka zniknął za małymi drzwiami i po chwili zjawił się z dubeltówką. Strzelba była stara, spod oksydowania przeświecał metal. Powiedział, że możemy sobie postrzelać, pod warunkiem że zapłacę za amunicję. Na zewnątrz była już noc i pomyślałem, że to trochę bez sensu. Powiedziałem, że może kiedy indziej. Trochę posmutniał i odłożył broń na posłanie. Na ścianie wisiała mała niewyraźna czarno-biała fotografia. Mężczyzna kogoś mi przypominał, ale nie byłem pewien, bo zdjęcie zrobione było dawno temu. Zapytałem Mitkę. — Tak, to Ceauşescu — odpowiedział z uśmiechem. Był zadowolony, że rozpoznałem wodza. Potem, tak jakby był to dalszy ciąg tego samego wątku, tej samej fotograficznej sytuacji, wydobył z szuflady zdjęcie zmarłej żony.

Taki był Mitka. Wielbił dyktatora, wspominał żonę i chciał strzelać w ciemność. Ułożył się do snu obok swojej strzelby. Za jego gospodarstwem nie było już nic, żadnych domostw ani ludzi. Nawet nie wiem, czy wszystkie jego zwierzęta

wracały na noc do zagród. Nie wiem, czy znał ich liczbę, czy w ogóle kiedykolwiek je liczył. Pół kilometra dalej bawiła się firma Coty, kobiety w bikini snuły się wokół basenu, a faceci przypominali włoskich amantów w białych spodniach. Drobny, żylasty, stary człowiek spał jak dziecko. Wyobrażałem sobie, że śnią mu się jego krowy, świnie, kury i psy, że otaczają go szczelnym ciepłym kręgiem i chronią przed zasadzkami i zdradami świata. Zgiełkliwy hotel, obok pogrążonego w mroku i dusznym zaduchu obejścia, wyglądał jak z papieru, jakby zaraz miał spłonąć od własnego bezmyślnego ognia.

No tak, jest druga połowa października, zmienia się pogoda, nadeszły chłody i poprószył już pierwszy śnieg. Zima zacznie się za dwa, trzy tygodnie. Znowu będę sobie mógł wyobrażać te wszystkie miejsca, które odwiedzałem wiosną i latem. Od tego świat robi się sporo większy. Można powiedzieć, że kontynent się rozrasta, że go przybywa. Każdy przecież pragnie wielkości. I Rozpucie, i Baurci, i Ubla, i Máriapócs, i Erind, i Huşi, i Sokołów Podlaski, i Hodoš, i Zborov, i Caraorman, i Delatyn, i Duląbka też pragnie. Widzieć wiosną Livov i wyobrażać sobie Livov zimą to tak, jakby Livov powiększył się dwukrotnie i dwukrotnie wypiękniał, chociaż i tak jest w porządku. To tam zaczyna się ta zniszczona droga wiodąca przez samo serce masywu Čergov. Zdaje się, że jest zamknięta dla ruchu, i człowiek jedzie trochę z duszą na ramieniu, bo słowaccy mundurowi prawdopodobnie nie mają poczucia humoru. W każdym razie kawałek pięknej trasy przez zupełną dzicz aż do

Majdanu. Ale przecież nie o tym chciałem. Chciałem o wielkości i chwale pamięci, która niczym płomyk zapałki przepala mapy na wylot i przenosi miejsca i rzeczy w dziedzinę wieczności zagrożonej jedynie ewentualną kosmiczną demencją, powiększa w nieskończoność kontynent i wywleka z nicości na światło. Kto był w Rozpuciu, w Baurci i Caraorman, wie, o czym mówię. Tam tli się ciemna dusza półwyspu i drzemie materia, która niczym szpik kostny produkuje gęstą, czarną krew ledwo uświadomionych pragnień. Być w Rozpuciu, w Baurci i Caraorman to widzieć minione, które jeszcze nie zwątpiło w sens przyszłego, ponieważ wciąż nie zaczęło się na dobre. Niewykluczone, że nigdy się nie zacznie i nie podzieli losu reszty, której przeznaczeniem będzie szloch nad własnym końcem. Ani Rozpucie, ani Caraorman nie umrą z wyczerpania. Są stare, ale umrą młodo, są zmęczone, ale umrą w pełni sił, w pół kroku, w drodze, której sensu i celu nie zdążą nawet pojąć. Jest październik, pada zimny nocny deszcz i mogę sobie wyobrażać, jak mokra ciemność zatapia wsie i miasta. Leżą na dnie wód i nie mają jeszcze nazw. Przypominają wielkie śpiące ryby z domami, ludźmi i drogami w brzuchach. Ludzie szepczą w mroku, skupieni, wtuleni w siebie, przeczekują potop i próbują odgadnąć los. Czas jeszcze nie zaczął się na dobre, nie ma światła i trzeba wyglądać świtu. Wieści przypominają obietnice i legendy. Świat jest tak odległy, że nim opowieść o nim dotrze, on sam może przestać istnieć.

W takie noce jak ta sięgam po plastikową skrzynkę ze zdjęciami. Jest ich tam coś koło tysiąca. Jak małpa kataryniarza wyciągam na chybił trafił pierwszy z brzegu kartonik i sprawdzam. Na ogół nie mam pojęcia, kiedy to było zrobione, ale zawsze wiem, gdzie. Wychodzi na to, że pamiętam tysiąc kawałków świata. W dodatku na fotach nic właściwie nie ma: konie pasące się na wysypisku, fragment płotu i odrapana ściana, zielone wzgórze, wiejska chałupa, skrawek górskiego pejzażu, czarny kot i właz kanalizacyjny, mgła, drzewo i rozjeżdżony śnieg, fasada domu, pusta ulica i tak dalej, całkowity brak sensu, ciągłości, czysta przypadkowość rzeczy nieważnych, chwil pozbawionych znaczenia, dziecinna zabawa i naiwna próba, czy „pstryk" rzeczywiście unieruchamia rzeczywistość. No, ale wszystko pamiętam i mogę bez pudła wymieniać nazwy geograficzne, kraje, miasta i wsie. Kot był we Lwowie, konie na przedmieściach Gjirokastër, narożna trójkątna fasada w Czerniowcach, płot w Tokaju, a góry to Kočevski Rog. Natomiast nie bardzo sobie przypominam, gdzie był rozjeżdżony śnieg. Na pewno gdzieś w okolicach Kecskemét, gdzieś na zachód od miasta, w którym zabłądziłem i potem z duszą na ramieniu szukałem wylotówki, bo wszystko wskazywało na to, że wyniesie mnie na budapeszteńską autostradę, a tego akurat bałem się jak ognia. No, ale w końcu się udało i zobaczyłem nad sobą czarne przęsła wiaduktu i długie cielska ciężarówek pełznące na północ. Zaplątałem się w sieć byle jakich żółtych dróg. Mgła ledwo odstawała od ziemi. W tych

poziomych przejrzystych szczelinach widziałem resztki węgierskich pegeerów, tak to przynajmniej wyglądało: rdzewiejące traktory, dogorywający kolektywizm, jakieś wielkie stodoły i obory, i zaraz za nimi kończył się widok, szary tuman zakrywał resztę świata i można było sobie wyobrażać Bóg wie co, całą Wielką Nizinę, Alföld, płaską i nasiąkniętą ziemię połączoną z niebem za sprawą gęstego mokrego powietrza, błotnisty bezkres pozbawiony horyzontu, coś w rodzaju trochę zmaterializowanej nicości. No więc gdzieś tam był ten rozjeżdżony śnieg i żółta trawa, gdzieś za Kecskemét, gdzieś w Kiskun.

Po to trzymam ten cały chłam, tę zbieraninę fotek 9x13: żeby sobie wyobrażać wszystko, co dzieje się poza nimi, to wszystko, co zakrywają przed wzrokiem i pamięcią. Talia z tysiąca śmieciarskich kart, fajansiarski połysk fuji albo kodaka, martwy blask dosłowności, taki ze mnie fotograf. W dodatku na tych wszystkich fotach prawie nie ma ludzi. Jakby walnęła bomba neutronowa i wymiotło wszystko, co się rusza, poza tym lwowskim kotem i albańskimi końmi. Ale to tylko buszmeński lęk przed kradzieżą cudzego życia i cudzej duszy. Tak sobie myślę. Niewykluczone jednak, że chodzi po prostu o bezludność pejzażu, o moją własną samotność. Bo przecież dobrze jest przybyć do gotowego kraju, w którym nikogo się nie zastaje. Można wszystko zacząć od początku. Historia zamienia się wtedy w legendę, a rzeczywistość we własne urojenia. Przecież nie sposób pojąć, dajmy na to, Voskopojë, Voskopojë można sobie najwyżej wyobrazić. Na zdjęciach z Voskopojë nie ma żywej

duszy, tylko dwa osły pasące się wśród ostów i kamieni. Wiem, że powinien być na nich kierowca Jani, popijający na przemian brandy i piwo, i Greczynka, właścicielka knajpy, i jej milczący mąż, i nawalony jak stodoła przyjaciel Janiego o słowiańskich rysach, i niedorozwinięty chłopak, którego wzięliśmy po drodze, ale przecież wtedy opowieść utknęłaby w miejscu na wieczność i już nigdy nie wywikłałbym się z plątaniny ich losów. Tak więc tylko dwa osły, kamienie i szaroniebieskie niebo nad zrujnowanym klasztorem. Ach, wiem, że powinienem wtedy pojechać do wsi Boboshticë — raptem trzydzieści parę kilometrów na południowy wschód — bo założyli ją podobno polscy rycerze wędrujący na którąś tam krucjatę. Mieszkańcy ponoć znali jeszcze jakieś polskie słowa, chociaż nie mieli już pojęcia, co znaczą. No więc powinienem tam pojechać, zamiast oglądać osły, kamienie i osty, ale mówiąc szczerze, guzik mnie to obchodziło, chociaż niewątpliwie było ciekawe. Po prostu wróciłem do Korczy i godzinami gapiłem się z okna hotelu na plac, tak jak gapi się pozostawiony samemu sobie aparat fotograficzny. W nicość, w pustkę, która jest taka sama na całym świecie. Tak samo było w Gjirokastër. Siatka przeciwko owadom rozmazywała kontur minaretu. Tak samo w Seregélyes. Deszcz, opustoszały dziedziniec, mokre gałęzie kasztanowców i blaszany turkot wody w rynnach. W Prelasko szron na trawie, parking z jednym autem i rozpadający się dom po drugiej stronie szosy. Wszędzie to samo. Nastawianie ostrości tak, by przebiła powłokę powietrza, przecięła skórę przestrzeni. Wystarczy okno w

nowym miejscu. W Cahul było opustoszałe nocne targowisko i cienie psów wielekroć większe od nich samych. W Kiszyniowie też padało i ulica Vasile Alecsandri zamieniała się w szarą rzekę. To były tropikalne ulewy i musiałem zamykać okno. Codziennie o dziewiątej mężczyzna otwierał biuro w parterowym domu po drugiej stronie. Zapamiętałem zwieńczenie bramy, falisty kształt, coś w rodzaju ślimaka, morskiej fali albo baranich rogów i niewiele więcej. Patrzyłem na to godzinami i wyobrażałem sobie całą resztę. Teraz robię to samo. Wyjmuję zdjęcia z plastikowej skrzynki, bilon z metalowej puszki po wódce absolut, bilety, mandaty i hotelowe rachunki z tekturowego pudełka, banknoty z szuflady, nigdy nic więcej, tylko tysiąckrotnie powielona codzienność. Tak było w Máriapócs we wrześniu.

Na wielkim płaskim wygwizdowie za miastem towary leżały na kawałkach folii wprost na ziemi. Żadnych cudów, chińska tandeta, dżins i podróbki adidasów i najków. Wszystko schludnie ustawione, ułożone w rzędach i oślepiająco nowe. Sprzedawcy stali nieruchomo nad towarem i czekali. Każdy miał właściwie to samo. Sucha, wydeptana trawa, zastygłe sylwetki handlarzy i nikt nic nie kupował, nikt się nawet nie przyglądał. Wyglądali jak ze starej opowieści, jak wędrowne plemię, które rozkłada swoje towary u bram miasta, a następnego dnia o świcie nie ma po nim śladu. Kawałek dalej stały karuzele i strzelnice, a potem jeszcze stragany ze słodyczami i winem, odpustowe kramy z cudeńkami, piernikowe serca,

rękodzieło, fujarki i kogutki oraz namioty z literaturą religijną. Wśród drzew ludzie rozbijali obozowiska, rozkładali jedzenie, jajka na twardo, butelki z piwem, kanapki, niektórzy zdejmowali buty i drzemali. Było kilka aut z Rumunii z rejestracją SM, więc z okolic Satu Mare, i parę ze Słowacji. Gdzieś z głośników leciała muzyka, lecz pod ogromnym niebem Niziny Węgierskiej wszystko wypadało cicho i znikomo. Przed barokową bazyliką telewizja z Budapesztu ustawiała kamery. Tłum przepadał w tej wielkiej płaskiej piaszczystej przestrzeni. Wsiąkał jak woda. Miałem nadzieję, że spotkam znajomych Cyganów z Mołdawii, barona Artura Cerari albo Roberta — w końcu to było cygańskie święto — ale nigdzie nie dostrzegłem ani beemy siedemsetki, ani iks piątki. Na pustynnym parkingu stały smutne dacianki, zmęczone łady, heroiczne trabanty i zajeżdżone diesle z reichu. W jedynym bankomacie zabrakło forintów.

Tak, Máriapócs wyglądało jak ostatnie miasteczko na skraju zamieszkanych ziem. Bez trudu mogłem sobie wyobrazić, jak zrywa się wiatr i wszystko zasypuje piasek. Na dziedzińcu kościoła trwała unicka liturgia. Cyganie z Maramureszu nosili się wytwornie i dostojnie. Czarne kapelusze, nabijane srebrem pasy, złote łańcuchy i kowbojskie buty. Niektórzy mieli piękne twarze. To było zamierzchłe niepokojące piękno, jakiego dzisiaj się już nie widuje. Wysokie obcasy kobiet grzęzły w piasku. Przejechałem trzysta kilometrów, żeby to wszystko zobaczyć. Nic się nie działo. Bóg wie czego się

spodziewałem: obozowiska namiotów, rżenia koni, połykaczy ognia? Zawsze wychodzę na idiotę, ponieważ jak zwykle wygrywa rzeczywistość. W dodatku nie miałem grosza. Mogłem tylko wracać. Máriapócs tamtego popołudnia to był skraj świata, kurz i oczekiwanie, aż się zacznie wieczorna msza. Do granicy rumuńskiej zostało trzydzieści kilometrów, miasteczko Nyírbátor i dwie wioszczyny. Ludzie przechadzali się i wspaniałomyślnie marnotrawili czas. Na karuzelach prawie nikt nie jeździł. Wszyscy się snuli jak w sennym karnawale i te podróbki superszybkich sportowych butów, leżące nieruchomo w pyle, wyglądały na kpinę, na parodię własnego przeznaczenia. Bez trudu mogłem sobie wyobrazić, jak z wnętrza Niziny nadciągają bydlęta, wielkie czarne świnie, i ryją wśród tandety w poszukiwaniu prawdziwego żeru, jak roztrącają mokrymi ryjami stosy ubrań, smakują i wypluwają malowany plastik, pokwikują i srają na emblematy wszechświatowych firm, zmieniają w chlew całe to fałszywe targowisko, smród wznosi się do nieba i płynie nad Máriapócs i Szabolcs-Szatmár, pomieszany z dźwiękiem dzwonów, drzewnym dymem, porykiwaniem krów i suchym wiatrem, i tak powinno być na wieki wieków amen.

Dwa dni temu były Zaduszki. Jak co roku kupiłem trochę zniczy i pojechałem na cmentarze. Wiało z południa i trudno było zapalać. Ale potem, przykryte blaszanymi kapturkami, już się paliły. Czasami ktoś był wcześniej i zastawałem płonące lampki. Zawsze mnie zastanawiało, kto na tym pustkowiu pali światła Bośniakom? Albo

Chorwatom? Albo Węgrom? Königliche Ungarische Landsturm Huzaren Regiment, po węgiersku Honwedzi. Albo Tyrolczykom. Tiroler Kaiser Jager Regiment. Nic tam nie ma. Trzeba specjalnie przyjechać i donikąd nie jest po drodze. W takiej Radocynie po prostu kończy się kraj: droga na furmankę albo terenówkę rozmywa się wśród łąk, przepada w zrudziałych trawach, rozpływa w mulistych kałużach, za dwa kilometry Słowacja, a jednak już się paliło. Czterech Austriaków z 27. regimentu infanterii i siedemdziesięciu dziewięciu ruskich, też z piechoty. Kiedyś to były nazwy: infanteria. Czyli gówniarstwo, dziecinada, szczeniaki z bagnetami, rzeź niewiniątek, większość z nich nie miała nawet pojęcia, gdzie wylądowała i po co. Musiały im wystarczyć wizerunki jednego albo drugiego cesarza. I pewnie wystarczały. Nie mieli wyjścia. Czterech Austriaków. To znaczy, że mogli być Słoweńcami albo Słowakami, albo Węgrami, albo Rumunami, Ukraińcami, Polakami. Bardzo kosmopolityczne miejsce. Leżą z widokiem na dolinę Wisłoki, na Dębi Wierch i na graniczną przełęcz.

No więc zapalam im lampkę i stawiam obok tej, co już się pali. Drzewa są nagie, ale świeci słońce i jest tak pusto i bezludnie, jakby nigdy nic tutaj się nie działo. Wszystko leży w ziemi. Metalowe guziki, sprzączki i kości. To samo na Długim. Tyle że tam leżą na zupełnym wygwizdowie. Ani drzewa, ani krzaczka i lampkę trzeba zasłaniać połami kurtki, zanim dobrze się rozpali. Znowu infanteria i feldjegrzy. Czterdziestu pięciu poddanych Cesarza i dwustu

siedmiu Rosjan. Za to w Czarnem mają cicho. Najpierw ich położyli, a potem zasadzili drzewa, i teraz jest cień i spokój. Latem panuje tu półmrok. Buki stykają się koronami i w środku robi się coś w rodzaju wielkiego pokoju, bo ja wiem, nawet może kaplicy albo kościoła. I oni leżą sobie w środku. Dwudziestu siedmiu Austriaków i trzystu siedemdziesięciu dwóch Rosjan. Z Rosjanami tak samo jak z Austriakami. Połowa to Ukraińcy, Polacy, Kirgizi, Finowie i kto tam jeszcze — wystarczy spojrzeć na mapę. Tutaj prawie nie wieje, więc zapalam bez trudu i stawiam na kamiennym postumencie z inskrypcją po niemiecku. Pod spodem leżą resztki ciał z połowy Europy i kawałka Azji. Dziwne uczucie wyobrażać sobie, powiedzmy, Adriatyk, palmy, kampanilę w Piranie, huculskie szałasy w Czarnohorze, fińską tundrę, stepy, Zaporoże, krymskich Tatarów, winnice Tokaju, wiedeńską dekadencję, azjatyckie piaski, preszowską secesję, dońskich Kozaków, siedmiogrodzki gotyk, jurty, wielbłądy i całą resztę, jak leży tutaj, półtora metra pod ziemią, ciasno obok siebie, przemieszana, przesiąka w głąb, łączy się z piaskiem, z kamieniami, z gliną, z korzeniami drzew, które od siedemdziesięciu paru lat karmią się ciałami Estończyków i Chorwatów tutaj, na końcu świata, gdzie nikt nie zagląda. No więc zapalam, stoję i patrzę, i odprawiam kult zmarłych, ponieważ ważne rzeczy zdarzają się jedynie w przeszłości. Tak jest w tych stronach. Przyszłość nie istnieje, dopóki nie minie. Zimne światło listopada pada na las, na drogę i łąki, i wszystko jest tak jaskrawe i twarde, jakby takie miało pozostać na wieki.

Przyszli tutaj umrzeć z daleka od domu. Pięćset, siedemset, tysiąc kilometrów. Nawóz Europy. Nie mają nawet imion ani wieku. Zupełna nicość i wspólnota. Lubię tu przychodzić i po nich stąpać. Czuję to wszystko pod stopami, te podziemne strumyki sączące się wskroś gruntu. Deszcze wypłukują minerały z kości i woda niesie je w głąb dolin, w zlewiska potoków i w dorzecza, i potem dalej, i w końcu wracają tam, skąd przybyli, bo przecież gdy umierali, byli niewinni, i nie mogą się błąkać niczym potępieńcy. Wchodzą do swoich domów, zegary zaczynają odmierzać minuty i nic się nie zmieniło. Czas tylko wstrzymał oddech i znowu jest 1914. Ponieważ już raz umarli, nie będzie wojny, rozwoju wypadków, napięta sprężyna historii przerdzewieje i pęknie. Takie rzeczy sobie wyobrażam w listopadzie, gdy przechadzam się półtora metra nad ich ciałami. Wyobrażam sobie miejsca, z których przybyli, i mam pewność, że w niektórych nawet byłem. Takie zamknięte koło się z tego robi i coś w rodzaju ceremonii. Niektórzy, jak ci na Beskidku, przy dobrym deszczu mogą spływać od razu na drugą stronę Karpat i potem Kamencem, Toplą, Latoricą Ondavą do Bodrogu, Bodrogiem do Cisy i Cisą do Dunaju. Wielu w ten sposób ma bliżej niż ci, co muszą przez Wisłę i morza. Beskidek to karpacki wododział i gdy dobrze leje, wody dzielą się sprawiedliwie na połowę, płyną na północ i południe i zabierają ich ze sobą. Stu sześćdziesięciu ośmiu Austriaków i stu trzydziestu pięciu Rosjan, wszyscy z piechoty. Ile czasu trzeba płynąć, powiedzmy, do Tiszalök, gdy jest się atomem, okruchem wapnia lub fosforu?

Wróciłem z wojennych cmentarzy i oglądam stare węgierskie zdjęcia, żeby poczuć coś w rodzaju żałoby i więzi z umarłymi. Nie wiem dlaczego, ale węgierska fotografia najlepiej odtwarza życie umarłych. W 1919 Rudolf Balogh wykonał pięć zdjęć. Jest na nich tylko fragment muru, szubienica i pięć postaci. Czterej wykonawcy wyroku mają wyglansowane buty. Słoneczne światło odbija się w nich jak w lusterkach. Skazaniec jest bardzo spokojny. Na młodej twarzy nie widać rozpaczy ani strachu. Raczej smutek i powagę. Rękawy jego munduru są za długie. Słup szubienicy zrobiony jest ze starej zniszczonej belki. Widać na niej ślady ciesielskich zaciosów. Wygląda jak fragment więźby dachu, kawałek zniszczonego domu. To musiało trwać nieznośnie długo, bo na pierwszej fotografii, gdy chłopak stoi samotnie obok słupa i czegoś w rodzaju trzystopniowych drewnianych schodków, towarzyszy mu cień rzucany przez fragment muru. Na następnej, gdy zakładają mu stryczek, stoi już w pełnym słońcu. Wciąż jednak nie widać w nim rozpaczy ani strachu. Wszedł trzy stopnie w górę, ale jego postać właściwie pozostała taka sama jak przedtem: ręce zwisają spokojnie wzdłuż tułowia i lekko pochylona głowa. Tak będzie do końca. Tylko w momencie, gdy dwóch żołnierzy wyszarpnie mu spod stóp szubieniczny podnóżek, prawe ramię powędruje do góry. Potem jego ciało znów powróci to tej samej spokojnej pozycji i znów będzie widać, że ma za długie rękawy. Natomiast wykonawcy są w ciągłym ruchu. Jakby chcieli się wydostać z tego miejsca otoczonego

murem, uciec w swoich lśniących butach. Przechadzają się żołnierskim krokiem, przystają na szeroko rozstawionych nogach, sterczą im wąsy i spuszczają wzrok, gdy jest już po wszystkim. Ich cienie na nagiej wydeptanej ziemi wokół szubienicy tworzą skomplikowany chaotyczny rysunek. W podpisie fotografii nie ma dokładnej daty ani miejsca. Tylko 1919 i w prześwicie nad murem gałąź drzewa z liśćmi, więc gdzieś między kwietniem a październikiem, czyli Węgierska Republika Rad i Béla Kun pisze odezwę *Do Wszystkich!:* „.robotnicy nie chcą już więcej jęczeć w jarzmie wielkich kapitalistów i obszarników. Tylko socjalizm i komunizm może uratować kraj od anarchii". W kwietniu od wschodu wchodzą Rumuni, a od północy Czesi. Rumuni zdobywają Szolnok i potem muszą wziąć Abony, bo nie ma innej drogi na Budapeszt. Młodszy o dwa lata niewidomy skrzypek Kertésza na pewno ich słyszy. Muszą wieczorami odpoczywać gdzieś we wsiach i palą ognie pod gołym niebem. Na pewno piją i śpiewają, ponieważ rozrywki wojska nie zmieniają się od wieków. Są smutne i głośne. Dwa lata temu szli tędy w węgierskich mundurach, by umrzeć w Ożennej, teraz idą w rumuńskich, żeby 3 sierpnia zdobyć Budapeszt. Przynajmniej ci z Siedmiogrodu. Wszystko wskazuje na to, że podbijają własny kraj, więc piją więcej i głośniej śpiewają, żeby zagłuszyć hałas i chaos czasów i własnych serc, bo przecież trudno być węgierskim Rumunem i zaraz potem Rumunem rumuńskim i nienawidzić tego, za co się parę lat wcześniej ginęło. W każdym razie skrzypek na pewno ich słyszy i jego ucho

bezwiednie wchłania i zapamiętuje melodie, i kto wie, co usłyszał Kertész tamtego niedzielnego poranka pod swoim oknem. Może to był kawałek gdzieś z Karpat, może doina, rumuński blues niepiśmiennych pastuchów, a może verbunk znany wszystkim węgierskim rekrutom, więc temu wieszanemu też.

Takie mniej więcej mam myśli w okolicy Zaduszek. Śniegu wciąż nie ma. Na bezlistnych drzewach widać opuszczone ptasie gniazda. Czarne nieregularne kule z patyków. Światło nie zna litości. Cienkie cienie rzeczy przypominają szkielety. Dzień kończy się o czwartej po południu. Słońce znika za górą. Resztę drogi przemierza ukryte przed wzrokiem. Dziwna sprawa: znika tam, gdzie zazwyczaj wyobrażam sobie południe, Konieczną i te wszystkie rzeczy leżące dalej, po drugiej stronie Karpat. Tutaj jest już wieczór, a tam świat dopiero dogorywa w złotoczerwonym blasku. Zwęgla się Bardejov, dopala się Spisz, Rudohorie i Mátra, i Wielka Nizina Węgierska, i miasteczko Mezőkövesd, gdzie jest muzeum maszyn rolniczych i gdzie stawałem dwa razy w życiu: raz w poszukiwaniu bankomatu i raz, żeby kupić coś do jedzenia i picia. Na pewno wino i salami, i coś jeszcze, i tego wieczoru spałem gdzieś w Lesie Bakońskim, a następnego dnia, a właściwie nocy, zaniosło mnie aż do Ankaranu na kemping nad Adriatykiem i grubo po północy musiałem wbijać śledzie w kamienistą ziemię, i kompletnie mi nie szło, więc poszedłem spać w sflaczałym namiocie. A rano zobaczyłem, że wśród wysokich sosen ci wszyscy wczasowicze, którzy zjechali tutaj na długie

tygodnie, wybudowali coś w rodzaju wsi. Wielkie wieloosobowe namioty, przyczepy kempingowe, parasole, płócienne altany, kuchnie i jadalnie pod gołym niebem tworzyły coś w rodzaju wiejskich zagród. Niektóre z nich otoczone były nawet ogrodzeniami ze sznurków i pasków folii. Plastik, laminat, blacha, ortalion formowały się w bałaganiarskie obejścia, przysiółki, opłotki i brakowało tylko wałęsających się bydląt, jakichś tymczasowych wakacyjnych wieprzy, urlopowych krów, rekreacyjnych baranów i kóz. Tak, miasto przyjechało tutaj, żeby udawać wieś, zrobić sobie psychoanalizę i powrócić do minionego. Kurortowy blichtr, złote sandały, powiewne gacie w palmy i papugi, fikuśne okulary, wonie kremów i olejków, opalone cycki i półgołe tyłki, to wszystko składało się w z lekka rozpirzoną wioszczynę, z całą tą swojskością, zaglądaniem sobie do garnków, pogaduszkami przy płotach, z tą wymuszoną bliskością skrzętnie podzieloną na swoje i obce. Badminton, piłka, opalanie, smarowanie pleców, grillowanie, spacery, czynności zabijające czas i nudę przypominały w istocie chłopskie, gospodarskie zajęcia. Lublana i Maribor odpoczywały, odtwarzając życie przodków w wersji soft.

Jest listopad, a ja przypominam sobie myśli i miejsca sprzed półtora roku. Opisuję przeszłość i przestrzeń, bo nic innego nie ma. Wieczne Zaduszki. Nagrobki faktów.

Żyjemy dłużej od zdarzeń. To wszystko, co mamy. Stamtąd, z tego kempingu, pojechałem do Triestu, ale to już nie było takie ważne. Triest leży już gdzie indziej.

Powinienem wtedy pojechać na południowy wschód. Przez całe Bałkany, wzdłuż wybrzeża, potem przez Cetinje i Podgoricę wjechać do Albanii granicznym przejściem we wsi Hani i Hoti, minąć Szkodrę i zatrzymać się dopiero w Milot, ponieważ spędziłem tam kiedyś ledwo godzinę i prawie nic nie zapamiętałem: niskie domy, tłum na drodze, konne zaprzęgi, był chyba dzień targowy, stare kobiety w białych szarawarach siedziały na ławkach przed chatami z kamienia, i to właściwie wszystko. Jeszcze tylko podwórko przed parterowym domem, kilka stolików w cieniu drzew i wydeptana ziemia, gdzie można było napić się raki i kawy, i weszła tam trzydziestoletnia kobieta z wielkimi piersiami w jaskrawoczerwonym kostiumie, ściągnięta w talii szerokim czarnym pasem, obwieszona złotą biżuterią, w chmurze farbowanych na granatowo włosów, na wysokich obcasach, w obcisłych czerwonych spodniach, z połyskliwą torebką na ramieniu. To było w Milot, wśród konnych zaprzęgów i kobiet w białych szarawarach, tam gdzie zaczyna się albańska Północ i wciąż żyją stare czasy, i „Nie można wejść do czyjegoś domu, nie wołając najpierw zza płotu", ale „Chleb, sól i serce, ogień na kominku i jakieś posłanie znajdą się dla gościa o każdej porze dnia i nocy". Kobieta w czerwieni mówiła do kogoś bardzo głośno i gestykulowała. W poszarzałym od upału i kurzu zaułku wyglądała jak płomień, od którego wszystko się zajmie, spłonie, i nic nie pozostanie takie jak kiedyś.

A potem była wieś Rreth-Baz i w domu Xhemala Cakoni pierwszy raz w życiu popijałem raki zsiadłym mlekiem.

Siedzieliśmy boso przy niskim stoliku. Na ścianie wisiała makatka z widokiem Mekki. Jedliśmy winogrona. Kobiety podawały naczynia, wracały do kuchni albo przystawały w drzwiach. Wznosiliśmy toasty za pomyślność, szczęście i zdrowie. Xhemal przedstawił nam z dumą swojego syna. Chłopak był drobny, szczupły i nieśmiały. Pracował w Niemczech. Zaraz sobie poszedł. Xhemal rozmawiał z Illyetem i wspominali dawne czasy, gdy Illyet był w tej okolicy nauczycielem. Mieszkał w samotnym domu obok cmentarza i bał się upiorów. Próbowałem sobie wyobrazić los duchów w państwie Envera Hodży, który 29 kwietnia 1967 roku proklamował Albanię pierwszym ateistycznym państwem świata. To było niemal tak dziwne, jak widok grobu Ceausescu rok później na cmentarzu Ghencea w Bukareszcie. Nagrobek miał trochę więcej niż metr i wieńczył go biały krzyż. Tam, gdzie wyobraźnia w naturalny sposób widzi głowę Chrystusa w cierniowej koronie, widniała czerwona pięcioramienna gwiazda. Z wrażenia musiałem zapalić. Dokoła był płotek z żelaznych prętów. Paranoiczny szewc nawet po śmierci brnął w obłęd. Krzyż i komusza gwiazda miały mu przyświecać w zaświatach. Za życia zżerał go strach, więc truchlał i potem. Dlatego na wszelki wypadek wyposażono go na drogę w jedno i drugie. Że niby jakoś się przemknie. Chyba nie był pewien, kto rozdaje karty po tej drugiej stronie. Prawdopodobnie jednak gnił w całości w tej żelaznej zagrodzie, gnił razem z duszą. Jakieś resztki stearyny tam były, ślady po wypalonych świeczkach. Ktoś tu przychodził, żeby

odprawiać nędzny kult. Kto wie, może tajni wysłannicy królowej angielskiej? W końcu woziła go po Londynie własną bryczką i przenocowała w Buckingham. Któż zrozumie ludzi Zachodu, kto zrozumie ich uczucia. W każdym razie myślałem, że to piękna kara, tak sobie leżeć na zwykłym cmentarzu trochę tylko przysypany, bez żadnych marmurów, jakieś dwa kilometry od Domu Ludowego, tej piramidy wybudowanej według szewskiego gustu i o wymiarach dwieście kilkadziesiąt na dwieście kilkadziesiąt u podstawy. Żeby w ogóle do tego podejść, nawet najkrótszą drogą, trzeba zrobić ćwierć kilometra przez wypalony bezdrzewny wygon. Dlatego nigdy tego nie zrobiłem i oglądałem z daleka. Wolałem oglądać jego grób, bo to było ciekawsze. Przy wejściu na cmentarz zatrzymał nas ochroniarz. Miał dwa metry, wyglądał jak śniady Rambo, cały na militarnie, z dziesiątkami kieszeni, z krótkofalówką, i zapytał, czy mamy tu kogoś bliskiego. Roland odpowiedział mu po rumuńsku, że jak najbardziej, rodzina i krewni. Więc jednak się bali i pilnowali. Żeby się nie wygrzebał w którąś księżycową noc, nie przeszedł na drugą stronę alejki i nie odkopał Eleny. Bo leżeli osobno. Dzieliło ich jakieś dwadzieścia metrów. Ona miała znacznie gorzej. Tylko żelazna zagródka i żelazny krzyż pociągnięte czarną antykorozyjną farbą. W środku była goła sucha ziemia. Ktoś coś tam powtykał, żeby rosło, ale nie chciało. Cmentarz w ogóle był zielony, lecz u nich wszystko wyglądało pustynnie. Jakby wydzielali jakieś trucizny, które niszczą korzenie. Wszędzie wokół coś rosło, chwasty,

krzaki, paprocie, młode drzewka, a tutaj nic. Była druga połowa sierpnia, a u nich coś ledwo wyłaziło z ziemi, jak na początku kwietnia, jakieś pięć listków na krzyż, jakby rytm wegetacji ich omijał, jakby ktoś to czymś polewał, defoliantami, kwasem, randapem. Myślę jednak, że to oni wypuszczali coś ze swoich ciał, że pozbawieni głosu, wzroku i ruchu, próbowali się porozumieć przy pomocy rozkładu, przy pomocy swoich trupich soków. A potem zobaczyłem, że on ma jeszcze jeden nagrobek. Zrobiony był z brązowego marmuru i stał plecy w plecy z tym z czerwoną gwiazdą. Sporo wyższy, zwieńczony krzyżem, z fajansową, cmentarną fotografią, na której szewc występował w garniturze, białej koszuli i pod krawatem. Na cokole było wykute: „Olacrima pe mormitul tau din partea poporlui roman", czyli mniej więcej: łza narodu rumuńskiego na twym grobie. Nic dodać, nic ująć. Wcześniej naród rumuński bawił się do upadłego i pękał ze śmiechu. Jakby tego wszystkiego było mało, tkwił tam jeszcze jeden krzyż. Taki sam jak u małżonki. Czarny i żelazny. Ktoś go po prostu wbił w ziemię tuż obok marmuru. Jakaś ponura parodia Golgoty się z tego robiła. W kamiennym garnku udającym urnę tkwił zeschnięty badyl. Podstawa nagrobka była okopcona, utytłana żółtą stearyną, walały się wypalone lampki, smutek prowizorki i tandetna podróbka wiecznego odpoczywania. Nieopodal na płycie grobowca z białego kamienia stał czarny pies i się przyglądał. Zdaje się, że też pilnował, żeby się nie wygrzebał. Gdy wychodziliśmy,

podszedł do nas ochroniarz i powiedział: „I tak wiedziałem, że przyszliście do niego".

Dzisiaj znów przejeżdżali wozacy. Tak samo wczoraj i przedwczoraj. Monotonnie, powoli, we mgle. Na białej drodze zostają końskie gówna. Teraz jest ich tylko dwóch. Są ciężcy, zwaliści i mają dobrze po czterdziestce. I dwa bure konie. O wpół do trzeciej ruszają w górę doliny. O wpół do czwartej robi się ciemno i wtedy już są w domu. Wyprzęgają, odprowadzają zwierzęta, poją je i karmią. Słychać, jak uwiąz dźwięczy o blaszane wiadro. Konie przestępują z nogi na nogę i dudni dylowana podłoga stajni. Ciemne wnętrze jest ciepłe. Pachnie gnojem i sianem. Na zardzewiałych gwoździach wiszą uprzęże.

Kilka dni temu byłem w Mezőkövesd. Padał deszcz i od razu zamarzał. Wszystko się szkliło. W niedzielny poranek Węgrzy zajmowali się handlem w brezentowych budach na placu. Przemykali się po śliskim z torbami zakupów. Smętne świąteczne dekoracje pokrywał lód. Bankomat był przy ulicy króla Macieja, tego z bladoniebieskiej tysiącforintówki. Wyjechałem na autostradę. Trzy samochody na krzyż wyglądały jak automobilowe duchy w tej mgle i tężejącej mżawce. Jechałem na Miszkolc. Tak, wszystko lśniło. Bezlistne topole, żółta trawa, niebieskie tablice drogowskazów. Rany boskie, jaki ten pejzaż był pusty i prosty. Nic, tylko płaszczyzna i rzadkie grzebyki nagich drzew gdzieś na samym końcu. I miałem wrażenie, że od tego mroźnego szkliwa dźwięczy całe powietrze. Gdzieś koło Emőd były rozjazdy na Debreczyn i

Nyíregyháza. Szare błyszczące wstęgi Moebiusa przepadały w nicości Wielkiej Niziny i trudno było uwierzyć, że tam są te wszystkie miasta, miasteczka i wsie ze swoimi domami, dymem z kominów, życiem i całą resztą. Zdaje się, że w okolicach Emőd na początku grudnia po raz kolejny objawiła mi się nieskończoność. Ale to trwało krótką chwilę, bo zaraz potem przypomniał mi się Esterházy i jego *Wozacy*. „Nadjechali! Nadjechali wozacy! Ich pokrzykiwania rozrywają świt — daleki, szary, wytarty — cisza krucha i pusta. (...) Lejce powiewały lekko, drobinki lodu dzwoniły pod obręczami kół". Ach, zawsze chciałem o *Wozakach* coś napisać i tylko szukałem okazji. Dwadzieścia pięć stron druku. Mokre, niewyraźnie powietrze rozstępuje się i wyglądają tak, jakby wychodzili ze snu, który śni ktoś silniejszy od nas, jakby zjawiali się na ziemi niczym wysłannicy pokusy. Nie do odróżnienia od swoich ciężkich zwierząt, rozgrzani i gnuśni, zrobieni od stóp do głów z mięsa. „Twarze mają szerokie, prawie każdy brodę, ale nie są przyjaźni, ani trochę nawet! W tyle wozu słychać ich śmiech krótki i bezgłośny. Rozumieją się, widzę. Uda mają potężne, spodnie muszą mieć ciasne". Tak, widziałem ich gdzieś pod Emőd, na gołej równinie w niedzielę w grudniu rano, w pogodzie, która wymykała się czasowi. Świat był tak śliski, że nawet powietrze nie było w stanie do niego przylgnąć. Oni przejeżdżali tędy, powiedzmy, sto lat temu o tej samej porze roku, gdy gruda wreszcie pokrywa błotniste gruntowe drogi i kończy się jesień. Od wieków tak samo. Powiedzmy, sól z dalekich stron i wino z Egeru wiezione na

południe na drugi brzeg Cisy, powiedzmy, do Temeszwaru, i wszystko tak jak w jakiejś historycznej awanturniczej powieści albo w filmie, gdy zza płaskiego horyzontu wynurzają się zaprzęgi i potem jest zbliżenie, cichnie muzyka i słychać tylko turkot, brzęk kutych obręczy, skrzyp i chrapliwe oddechy koni. Ci, co przemierzają ziemię, zawsze naruszają jej spokój i nakłaniają do złego, ponieważ budzą strach pomieszany z tęsknotą. Po ich przejściu nic już nie jest takie jak dawniej. Widnokrąg pęka raz na zawsze i już nigdy się nie zasklepi.

Na szczęście zaraz był koniec autostrady, na szosie zrobiło się gęsto i trzeba było przestać myśleć. Węgierski wariat na przedmieściach Miszkolca wyprzedzał zafirą po trzy samochody na raz. Było trochę cieplej. Lód spadał z drzew. Po drugiej stronie miasta przy wylotówce widziałem wielkie stada aut pod supermarketami. Ich dachy wyglądały jak grzbiety zimnych bydląt na betonowych pastwiskach. Za Encs znów zrobiło się pusto. Nikt nie jechał za granicę. Trochę mi się spieszyło, ale jak zwykle skusiło mnie Gönc i zjechałem parę kilometrów w bok. W cukierni urzędował starszy mężczyzna. Kobieta z małym chłopcem wzięła cappuccino na wynos w styropianowych kubkach. Przeszli na drugą stronę Kossuth utca na przystanek autobusowy. Czekał na nich mężczyzna z małym srebrnym radiomagnetofonem i dwiema wypchanymi reklamówkami. Był niewysoki, palił papierosa i chronił go w dłoni przed wielkimi płatkami mokrego śniegu. Dokąd jechali z tym grającym sprzętem i dzieckiem? Z tymi wytartymi

reklamówkami wielokrotnego użytku? Wyglądali ubogo i smutno. Mała rodzina w drodze na dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem. Matka i syn popijali w milczeniu, drobnymi, szybkimi łykami, jakby chcieli zdążyć, ale autobus nie nadjeżdżał. Autobus do Telkibánya, Pálháza, do Sátoraljaújhely, na drugą stronę Gór Zemplén. Śnieg padał coraz gęściej. Tamci nie rozmawiali ze sobą. Przypominali bezrobotnych. Mieli to w twarzach, w gestach, znałem to ze swoich stron. Czas, jego główny nurt, po prostu ich omijał. Byli jak wyrzuceni na brzeg, pozostawieni własnemu losowi, który przestał się splatać z jakimkolwiek innym losem. Budzisz się któregoś dnia i ten sam świat staje się zupełnie innym światem, chociaż wcale się nie zmienił. Takie myśli miałem w Gönc. Może nie byli wcale bezrobotni, może musiałem to wymyślić jako pretekst, żeby nie wyjeżdżać z niczym. Bezrobotni, tak samo jak wozacy, są potrzebni, by jakoś sensownie powracać we własne strony.

Tym razem wracałem z wyspy Cres, sześćdziesiąt osiem kilometrów długości i trzy tysiące mieszkańców. Płynie się dwadzieścia minut promem z Brestovej. Prócz nas były tylko dwie ciężarówki i stary mercedes. Zanim przybiliśmy w Porozine, kierowca merca zdążył w barze wypić dwie brandy. Z pokładu wyspa Cres wyglądała na opustoszałą. Prom dudnił i cuchnął ropą. Barman chyba też popijał. Piętnaście rejsów w ciągu dnia to jest poważna sprawa. Tego dnia na niebie było trochę chmur i pejzaż nabierał ciężaru. Wszystko się zgadzało, pasowało do siebie. I ten

zdezelowany prom, i barman, i popijający kierowca, i ciemne, wyraziste wody zatoki, i pustka przystani, i niskie niebo, i powolne, senne ruchy marynarzy, i grudniowe światło, i cała reszta. Po prostu wszystko żyło własnym życiem. Wyspa w środku rzeczywiście była pusta. Szosa biegła przez całą jej długość jak kręgosłup.

Białe gołoborza, karłowate zarośla i wiatr. Tak to wyglądało. Gdzieś po drodze zobaczyłem stado owiec. Stały tak nieruchomo, że trudno je było odróżnić od skał. Miały ten sam kolor co kamienie. Nikogo przy nich nie było. Na mapie wyspa Cres wygląda jak stara, zniszczona kość. Zima ogołaca ją ze wszystkiego i podmuchy od morza wypełniają najmniejsze szczeliny. Tak było we wsi Lubenice na szczycie trzystumetrowego urwiska. Nigdy nie widziałem ludzkiej siedziby, która byłaby bardziej naga. Kilkanaście domów z szarego kamienia i trochę figowych drzewek bez żadnej osłony. Wiatr miał dostęp ze wszystkich stron, ze wszystkich stron otwierał się bezmiar powietrza. Są takie miejsca, gdzie ma się poczucie, że to koniec, że można tylko wracać, bo rzeczywistość powiedziała ostatnie słowo. Przyszło mi do głowy, że te domy są takie szare właśnie od wiatru, że wiatr ściera z murów barwy, że kolory mogą przetrwać jedynie ukryte gdzieś we wnętrzach. Jeśli Cres było wyspą, to Lubenice były wyspą podwójnie, ponieważ od ziemi oddzielały je i woda, i powietrze. Tuż za ścianą sypialni zaczynała się przepaść. Przez kuchenne okno widać było morskie ptaki unoszone przez powietrzne prądy. Tak wyglądało tutaj życie. Na cmentarzu połowa nieboszczyków

nazywała się Muskardin. Cmentarz leżał na skraju skalnej półki. Śmierć musiała być przekleństwem grabarzy. Mogiłę trzeba było wykuć. Wszystko razem przypominało czyściec. Żeby tutaj w ogóle dojść, musieli mieć jakiś ważny powód. Może to było przekleństwo, a może strach. W każdym razie gdy już było po wszystkim, prawdopodobnie nie mieli sił wrócić.

Żeby się tu dostać, zjechałem w szczerym polu z asfaltu. Droga istniała na mapie, ale w rzeczywistości przypominała wyschnięte łożysko potoku albo zniszczone, wiodące gdzieś w nieskończoność schody. Kilkanaście kilometrów na jedynce. Wokół były tylko białe rumowiska. Ciągnęły się do nieba, przełamywały i opadały w dół gdzieś po drugiej stronie. W górze krążyły wielkie ptaki i wypatrywały czegoś żywego. Ale dla nas, dla ludzi, wszystko tam było martwe, zimne i wymiecione do czysta wiatrem. Ktoś podzielił cały ten wygwizdów kamiennymi murkami. Pięły się po horyzont i wykrawały z pustaci prostokątne skrawki. Myślałem, że chodzi o jakiś paranoicznie skrupulatny podział własności, ale później powiedzieli mi, że ten labirynt kamiennych ogrodzeń miał powstrzymać wypłukiwaną przez deszcze glebę. Czasami było tak wąsko, że musiałem składać lusterka. Na tych troskliwie ogrodzonych spłachetkach leżały tylko kamienie. Nie było tam żadnej ziemi. Jakieś patyki wyrastały spomiędzy głazów. Minąłem dom z zapadniętym dachem i potem drugi, tak samo zniszczony, i znowu zrobiło się bezludnie. Wyobrażałem sobie lato, rozpaloną biel i wygrzewające się jaszczurki. Jak okiem

sięgnąć, nie było widać jakiejkolwiek rzeczy, która mogłaby rzucać cień. I potem wysoko wśród skał ukazały się Lubenice. Można było dostać się do nich wąską asfaltową wstążką od drugiej strony, od morza, od miejscowości Valun, lecz to było zbyt proste i nie mówiło całej prawdy o wyspie Cres, o jej pustoszejącym wnętrzu, nad którym krążą ptaki w poszukiwaniu żeru.

Czasami wyobrażam sobie mapę złożoną z miejsc, do których chciałbym powrócić. Ta mapa jest niepoważna. Nic właściwie na niej nie ma: mokry śnieg w Gönc, Zborov ze zrujnowanym kościołem, Caraorman ze swoim pustynnym piaskiem i rdzewiejącymi maszynami, które miały odzyskiwać złoto z dunajskich wód, upał w Erind, Biała Spiska i tonący w półmroku sklep spożywczy, świt i woń kocich szczyn w Piranie, wieczorne Răşinari z zapachem snującym się z piernikowej manufaktury, wieprze niedaleko Oradei, świnie w Mátészalka, Delatyn ze swoją stacją kolejową w porannej szarówce, Duląbka, Rozpucie i Jabłonna Lacka, Huşi i Sokołów, i teraz jeszcze te Lubenice. Zamykam oczy i projektuję drogi, linie kolejowe, odległości i krajobrazy między pustkowiami, między jedną znikomością i następną, i próbuję ułożyć jakąś geografię, która uniesie to wszystko na swoim płaskim grzbiecie, żeby stało się chociaż trochę trwalsze, trochę bardziej nieśmiertelne.

Parę dni temu jechałem do Krakowa koszyckim pospiesznym 10:11 ze Stróż. Na polach leżały resztki śniegu. Spod wszystkiego wychodziła szarość, wyłaziła

czerń. Mój Boże, smutek przytorowych rupieciarni, druciane płoty, sznury zapomnianych świątecznych lampek płonących w sinym świetle stycznia, nagie drzewa w ogródkach, stosy gratów, zużyty metal, zniszczone drewno, spękane cegły, wszystko ujęte w ramy kanciastej geometrii, jakiejś nadprzyrodzonej precyzji, która nagle obnażyła szkielet świata. Bobowa, Ciężkowice, Tuchów, Pleśna — jakby jęzor mrozu wylizał do kości ludzki pejzaż i zostawił tylko to, co najważniejsze, to, czego usunąć już się nie da, bo wtedy przyjdzie nicość. Dochodziło południe, lecz w niektórych oknach w domach blisko toru widziałem żółtawy blask żarówek. Podwórka były chorobliwie schludne. Wszystko złożone, oporządzone i uładzone jak na jakąś paradę martwoty. To ten śnieg, jego cienka warstwa rysująca ostry kontur wokół rzeczy sprawiały, że nędza codzienności, cały ten heroizm trwania, rozpacz rozpadu zyskiwały postać niemal idealną. Dochodziło południe, ale trudno było wypatrzyć człowieka. Nie mieli po co wychodzić. Pejzaż zmierzał w stronę abstrakcji, więc woleli siedzieć w domach. Otwierałem okno, żeby poczuć, jak powietrze pachnie węglowym dymem, i wtedy wyobrażałem sobie rozgrzane kuchenne płyty, brzęk fajerek, zręczne ruchy pogrzebacza, te chwile, gdy płomień wymyka się spod żeliwnych krążków, czarna woń rozchodzi się w powietrzu i czerwony blask wypełnia kuchnię. Ile było tych domów po drodze? Setki, tysiące, i wszędzie to samo, ta sama szara wyrazistość, ten sam smutny porządek wystawiony do walki z chaosem świata.

Wagon był słowacki. Miał kanapy z czerwonego skaju. Zanim do niego wsiadłem, przejechał Preszów, Sabinov i Lipany. Tam było tak samo. Domy stały trochę ciaśniej i bardziej były do siebie podobne, ale reszta się zgadzała, zgadzała się ta przycupnięta tymczasowość, ta niepewność losu, to życie jako improwizacja. Cóż takiego było w Sabinovie dwa albo trzy lata temu wczesną wiosną? Czterospadowy gotycki hełm na wieży kościoła i zegar, i obok żółty budynek w renesansowym guście, okopcony od frontu i z kratami w oknach, i potem resztki obronnych murów, kałuże z odbitym szarym niebem i kilka kur szukających suchego skrawka, żeby sobie pogrzebać. Sabinov. Pewnie trafiłem tam przy okazji. Pewnie szukałem nowych dróg na pograniczu Spisza i Šariša. Może jechałem skrótami od szosy numer 18 z tą starą myślą, że za którymś razem uda mi się przedostać na drugą stronę pejzażu, że widząc to wszystko, co widzę, dostrzegę coś wielekroć większego, jakiś nadpejzaż, który w cudowny sposób połączy okruchy i skrawki, wszystkie Lipany i Sabinovy, a one raz na zawsze odnajdą w nim swoje miejsce, razem ze swoimi kurami, błotem, węglowymi kuchniami, dymem, schludną rozpaczą podwórek, oczekiwaniem, i staną się dwakroć, tysiąckroć większe i nigdy już, przenigdy, nie będą dumać nad własnym przypadkowym, tymczasowym istnieniem. Z tą starą myślą będę jeździł do usranej śmierci. Wszystko na to wskazuje.

W Piotrkowie równolegle do wylotówki na Kielce i Radom biegną tory wąskotorówki. Od dawna nic już nimi nie jeździ.

Dwie rude nitki raz po raz pochłania piaszczysta ziemia i potem znów się pokazują po prawej stronie szosy. Mój *Narodowy atlas Polski* mówi, że linia powstała w 1904 roku, a w 1971 jeszcze działała. Była sobota, luty, świeciło słońce i nie mogłem oderwać wzroku od tych lilipucich kolejowych resztek. W Uszczynie uchowała się nawet stacyjka. Czerwony ceglany budynek miał przywodzić na myśl gotyk, ale wyglądał na budowlę ze starych klocków. Jego naiwna ozdobność miała w sobie coś z kreskówki albo filmu kukiełkowego. Zresztą cała okolica wydawała się jakoś tak dziecinnie pomniejszona. Domy po obu stronach szosy składały się głównie z fasad. Właśnie w Uszczynie, w Przygłowie i na przedmieściach Sulejowa. I na tych fasadach bez wieku i stylu czasami był jakiś gzyms, jakieś okrągłe okienko, jakiś pilaster, coś więcej niż prosta funkcja, po prostu chęć, żeby było inaczej niż zwykle i trochę lepiej niż na co dzień. No i wydawało się, że za tymi ścianami nic nie ma, że tam się wszystko kończy, że hula wiatr, mieszka domowe ptactwo i psy mają swoje budy, bo cały wysiłek poszedł w ubożuchne frontony, w ostatnią osłonę przed światem i formę, którą ledwo można odróżnić od bezkształtnej materii. I zamiast oglądać dwunastowieczne cysterskie opactwo, zniosło mnie w sulejowskie opłotki pełne błękitnych kałuż, w jakieś na wpół obumarłe placyki, podwórka i balkony, gdzie warstwami narastały stare sprzęty, zjedzone pogodą kredensy i reszta śmiertelnych szczątków człowieczego czasu. Na cienkiej kolumnie niczym Szymon Słupnik siedział miejscowy anioł.

Przypominał domy, których strzegł. Wykonany był z tego samego, co one, i miał z nimi zostać tu do końca. Matka Boska obok kościoła na wzgórzu miała przynajmniej daszek z kątownika i pleksiglasu. Anioł nie miał nic, tylko gołe niebo. Kawałek dalej stał kontener na śmieci. Trzydzieści kilometrów prosto na południe leżała wieś Wygwizdów. Powinienem tam pojechać i zostać. Tego dnia nad równiną niebo było zimne i jasne. Po drodze spotkałbym trzy albo cztery wynędzniałe samochody.

Tak, powinienem pojechać do Wygwizdowa i tam zostać. Tylko jedna taka miejscowość jest w kraju, ale musiałem ruszać dalej, żeby przed zmierzchem zdążyć do Solca. Taki miałem plan. Nigdy tam nie byłem. Kiedyś widziałem jedną fotografię. Przedstawiała kino. Wejście zarastało trawą. W gablocie wisiały jakieś resztki. Niebo było zachmurzone. W głębi stała drewniana wiejska chałupa. Kino nazywało się po prostu „Kino". Taki był napis na frontonie. Obok rosła wierzba. Od dawna nic nie grali i nikt nie przychodził. W środku, w ciemności, próchniały fotele. Próbowałem sobie wyobrazić, co jest wokół. Są takie fotografie i takie miejsca, które nie dają spokoju, chociaż nic tam nie ma. To kino na fotografii było jak wspomnienie z czasów, gdy rzeczom wystarczały najprostsze nazwy. Fronton wznosił się łagodnym łukiem, w sam raz, by zrobić miejsce dla prostych liter. Samotność i opuszczenie hulały w kadrze jak zimny wiatr. Dlatego właśnie tam jechałem w połowie lutego z resztkami śniegu na polach i tym przenikliwym uczuciem, że gdzieś między Sulejowem, Wygwizdowem i Solcem jest

tak, jakby czas zamarł albo po prostu się ulotnił jak powietrze albo sen i przestał nas oddzielać od najdalszego dzieciństwa. Może nawet od tego, co było przedtem. Dlatego tam jechałem, w tę znikomość materii, w tymczasowość rzeczy. Z drogi numer 777 skręciłem w prawo i zaczęła się pusta przestrzeń, i ziemia lekko zaczęła się wznosić, taka niby równina, lecz jedzie się pod górę, coraz bliżej nieba, ale to jest tak, jak w ciężkim śnie, gdy nie można osiągnąć celu albo uciec. Tak się jechało do tego Solca: w pejzażu, który chce cię wystrychnąć na dudka, i na skutek obejrzenia czarno-białej fotografii.

Solec był jak Sokołów Podlaski sprzed trzydziestu lat i jak Huşi sprzed ośmiu miesięcy. Solec był jak kolejny kandydat na stolicę mojej części kontynentu. Nie chciałem się zatrzymywać, nie chciałem wysiadać, bo bałem się, że to wszystko zniknie — tak było nietrwałe, tak kruche i w gruncie rzeczy na niby. Za kościołem na wzgórku zaraz się wszystko kończyło i ja też zawróciłem. Konie chodziły luzem w środku tej gminnej wsi. Miały długą, zmierzwioną zimową sierść. Pomyślałem, że przyjadę tu przed śmiercią, przyjadę, gdy już nie będzie mi się chciało żyć. Tutaj nikt nie zauważy, że opuściły mnie siły.

Nocami będę przesiadywał w kinie i oglądał zjawy filmów ze wszystkich minionych lat. Porządna śmierć powinna nieco przypominać życie. Powinna być jak sen albo film. Tak jest w tej części kontynentu, gdzie rzeczywistość miewa wygląd zaświatów. Zapewne po to, by ludzie mniej lękali się śmierci i umierali z mniejszym żalem.

Stanąłem dopiero pod kinem. Wyglądało tak jak na fotografii. Istniało i nie istniało zarazem. Nie do końca umarłe i już niezbyt żywe. Tak jakby materia naśladowała świat duchów. Może było nawet bardziej martwe niż na zdjęciu. Nadchodził wieczór i w powietrzu czułem przymrozek. Mogłem sobie wyobrazić, jak w jego ciemnym wnętrzu mróz ścina przejrzyste obrazy z dawnych filmów. Tak, są takie miejsca, w których dopada nas pewność, że coś jest za nimi, że coś zasłaniają, coś skrywają, ale jesteśmy bezradni, zbyt głupi, zbyt tchórzliwi, a może nie dość starzy, by znać sposób przejścia na drugą stronę. Stałem tam jak palant, marzłem i wyobrażałem sobie, że otwierają się koślawe dwuskrzydłowe drzwi, wchodzi się i dalej jest przesmyk, którego wszyscy i zawsze szukali, a tam zaczyna się po prostu Solec, Wygwizdów, Sulejów, Huşi, Lubenice, i biegnie tam linia kolejowa ze Stróż do Tarnowa, i jadą czerwone wagony z Koszyc, i jest tam wszystko, co już było, lecz trwałe, niezniszczalne i bez końca, i jest tam nawet ta sobota sprzed paru dni, gdy jechaliśmy doliną Hornadu, znów u stóp napowietrznej cygańskiej wsi, ale tym razem cuda działy się w dole, na płaskim wygonie między idącą wysoko szosą a rzeką. Była odwilż i chyba wszystkie dzieciaki z osady wyległy na tę równ. Wielka śnieżna forteca padała pod bezlitosnymi atakami zdobywców. Zwalone wieże, wykruszone mury, obrońcy nie mieli już gdzie się kryć. Ale prócz tej gasnącej batalii widać było jeszcze coś innego. Na całej łące wielkiej jak parę piłkarskich boisk leżały ogromne śnieżne kule.

Dzieciarnia turlała je, dopóki starczało jej sił, i potem porzucała, by zaczynać nowe. Niektóre miały z metr średnicy. Leżało ich tam kilkanaście. Wyglądały tak, jakby spadły z nieba. To było piękne i nierzeczywiste. Pomiędzy nimi turlały się barwne dziecięce figurki w kolistym, niewyczerpywalnym ruchu. Nie było nic żywszego w całej okolicy, na którą rzucała cień ogromna huta. Pojechałem tam. Zza bramy wychodziło akurat kilkunastu mężczyzn. Szli ciężkim, znękanym krokiem, szarzy jak dym, smutni jak całe Krompachy i tragiczni jak zmierzch proletariatu. Tymczasem cygańskie dzieciaki zmieniały energię w śnieżne kule, które za dzień, dwa miało rozpuścić słońce i zamienić w wodę, i potem w rzekę Hornad, płynącą skomplikowaną siecią dopływów i zlewisk do Morza Czarnego, do którego państwo słowackie nie miało nawet dostępu.

A potem, gdzieś dalej, gdzieś we wsi niedaleko Sabinova, w jednej zagrodzie było świniobicie. Na płocie z czarnej drucianej siatki wisiały połcie mięsa. W tym szaro-białym pejzażu odwilży mięso świeciło jak ogień. I dom, i droga, i niebo, i uwijający się ludzie, i reszta wsi z czujnie truchtającymi kundlami, wszystko jak okiem sięgnąć tonęło w burej mgle i nie miało żadnych kolorów, i tylko od tych kawałów mięsa bił blask okrucieństwa. Przez szybę auta czułem ciepło czerwonych płatów. W tej słowackiej senności, w tej nieruchomości, w tym spokojnym smutku moich stron odbywała się rzeź. Nikt nie ukrywał bezwstydu śmierci. Psy i dzieciarnia patrzyły na szybkie poruszenia

noża, na wnętrzności w miskach i wiadrach i na krew. Wszystko odbywało się jak przed tysiącem lat. Nic się nie zmieniło. Zapadał zmierzch.

Na przejściu w Koniecznej paliło się czerwone światło. Czekałem kilka minut. Gdzieś w półmroku ktoś się poruszył, przeszedł do kantorka, gdzie się stempluje, coś nacisnął, zapaliło się zielone i podniósł się szlaban. W środku siedział tylko nasz. Słowaków nie obchodziło, kto opuszcza ich kraj. „Skąd powrót". „Kiedy był wyjazd". „Którędy". Patrzyłem, jak paszport przesuwa się w szczelinie czytnika. „Tędy i dzisiaj", odpowiedziałem. U celników uchyliło się okienko. „Jakieś zakupy". „Wszystko w normie". Nie dostrzegłem twarzy, tylko gest, żeby jechać. Nie miałem poczucia, że skądś wracam. Zaraz za zakrętem, we wsi, zaczęła się mgła.

NOTY

Niektóre teksty zamieszczone w *Jadąc do Babadag* zostały opublikowane w „Rzeczpospolitej", „Tygodniku Powszechnym", „Krasnogrudzie", „Przekroju" i „Gazecie Wyborczej".

RĂŞINARI

Str. 29, 30, 31, 41-42, 43: Emil Cioran, *Historia i utopia,* w tłumaczeniu Marka Bieńczyka.

NASZ BAT'KO

Str. 53, 55, 56: Adam Bogusz, *Wieś Siedliska Bogusz,* Kraków 1903.

KRAJ, W KTÓRYM ZACZĘŁA SIĘ WOJNA

Str. 105: Emil Cioran, *Historia i utopia,* w tłumaczeniu Marka Bieńczyka.

Str. 109: Drago Jančar, *Drwiące żądze,* w tłumaczeniu Joanny Pomorskiej.

Str. 112: fragment *Notatek paryskich* Edvarda Kocbeka w tłumaczeniu Jerzego Snopka.

SHQIPERIA

Str. 128-129: Illyet Aliçka, *Kompromis,* w tłumaczeniu Doroty Horodyskiej.

Str. 136-137: Fatos Lubonja, *Piramidy z błota,* w tłumaczeniu Doroty Horodyskiej.

JADĄC DO BABADAG

Str. 219: Mircea Eliade, *Rumuni. Zarys historii,* w tłumaczeniu Anny Kaźmierczak.

Str. 224: Miodrag Bulatović, *Czerwony kogut leci wprost do nieba,* w tłumaczeniu Marii Krukowskiej.

Str. 253: Danilo Kiś, *Ogród, popiół,* w tłumaczeniu Danuty Cirlić--Straszyńskiej.

Str. 275, 276: teksty Corneliu Zelea Codreanu pochodzą z pisma „Fronda” (6/1996), przekład: Bogdan Kozieł.

Str. 300: *Kanun Leka Dukagjini,* w tłumaczeniu Rigelsa Halili.

Str. 305: Peter Esterhazy, *Wozacy,* w tłumaczeniu Elżbiety Sobolewskiej.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Fatosowi Lubonji, Astritowi Beqiri, Rigelsowi Halili i Illyetowi Aliçce za przyjaźń, gościnność i pomoc. Ich pomoc w tłumaczeniu swojego świata ze „shqiptarskiego” na albański i potem na polski była nieoceniona.

Wielkie dzięki dla Piotra Marciniaka i ambasady RP w Kiszyniowie za gościnę oraz dla Wojtka Marchlewskiego za mądre rady i pomoc.